wolnelektury.pl

Heinrich Mann
(tłum. Marceli Tarnowski)

Błękitny anioł (Profesor Unrat)



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

HEINRICH MANN

Błękitny anioł (Profesor Unrat)

TŁUM. MARCELI TARNOWSKI

UWAGA OD TŁUMACZA

Bohater tej powieści występuje stale pod przezwiskiem „Unrat", stanowiącym zręczną grę słów z jego nazwiskiem. Wydało mi się niepodobieństwem stworzyć w języku polskim daleki choćby odpowiednik tego związku między nazwiskiem a przezwiskiem, zwłaszcza, że wyraz *Unrat* posiada w niemieckim bardzo rozległy zakres znaczeniowy, autor zaś stara się w książce jak najobficiej wykorzystać rozmaite jego znaczenia, aby raz po raz dociąć czyimiś ustami nieszczęsnemu profesorowi. Nie widziałem więc innego wyjścia, jak przy przekładzie pozostawić bohaterowi jego niemiecki przydomek, na czym ucierpieć musiały oczywiście liczne aluzje i przycinki w związku z tym przezwiskiem.

Dla lepszej orientacji czytelnika postaram się określić tu bliżej rozmaite znaczenia tego wyrazu. W pierwotnym sensie oznacza *Unrat* wszelki *stan niepomyślny, nieszczęśliwy wypadek, szkodę*; w tym znaczeniu zachował się w niemczyźnie dzisiejszej tylko dla określenia *grożącego nieszczęścia* w zwrotach: *Unrat wittern* albo *merken* — *przeczuwać coś złego*. W drugim znaczeniu używa się wyrazu *Unrat* na określenie wszystkiego, co się nie nadaje do użytku, wszelkich więc *odpadków, nieczystości, brudu, śmiecia*; stąd znaczenia pochodne: *plugastwo*[1] (także w przenośni), a wreszcie *kał*. W wyrażeniach nieosobowych mamy na przykład: *es riecht nach Unrat* — *cuchnie, czuć*.

Przeważnie tłumaczyłem dosłownie wyrażenia, zawierające w jakimś znaczeniu słowo *Unrat*, dla zaznaczenia zaś, że przetłumaczone zdanie zawiera grę słów z tym wyrazem, podaję je kursywą, zaopatrując niekiedy w odnośnik z brzmieniem oryginału.

M. T.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ponieważ nazywał się Raat, cała szkoła przezywała go Unrat. Nic nie mogło być prostszego i naturalniejszego. Ten i ów profesor zmieniał niekiedy swój pseudonim. Nowa gromada uczniów przybywała do klasy, krwiożerczo obnażała w nauczycielu komizm, nie dość jeszcze uczczony w poprzednim roku szkolnym, i bezlitośnie nadawała mu przezwisko. Unrat piastował jednak swoje od wielu pokoleń, znało je całe miasto, koledzy jego używali go poza gimnazjum, a nawet w murach szkoły, gdy tylko profesor odwrócił się tyłem. Panowie, którzy przyjmowali uczniów na stancję i czuwali nad ich nauką, mówili do swoich pensjonarzy o profesorze Unracie. Zuchwały umysł, który chciałby jeszcze raz poddać wychowawcę „*niższej sekundy*"[2] obserwacji i na nowo go ostemplować, nic by nie wskórał; już choćby dlatego, że rozpowszechnione przezwisko starego profesora wywierało dzisiaj równie silne wrażenie, jak przed dwudziestu sześciu laty. Wystarczyło tylko, kiedy przechodził, zawołać na dziedzińcu:

Wzrok, Przekleństwo

— Czy tu nie *czuć*?[3]

Albo:

[1] *plugastwo* — uwspółcześniono: obrzydliwość a. zepsucie. [przypis edytorski]
[2] *niższa sekunda* — odpowiada naszej szóstej klasie gimnazjum. [przypis tłumacza]
[3] *Czy tu nie czuć* — (niem.) *Riecht es hier nicht nach Unrat?* [przypis tłumacza]

— Oho! Przeczuwam *coś złego*![4]

A staruszek natychmiast wzruszał gwałtownie ramieniem, zawsze prawym, za wysokim, i rzucał zza okularów zielone spojrzenie, które uczniowie nazywali fałszywym, a które było lękliwe i mściwe: spojrzenie tyrana o nieczystym sumieniu, który w fałdach płaszczów szuka okiem sztyletu. Drewniany jego podbródek z rzadką, szarożółtą bródką opadał i podnosił się. Nie mógł „niczego udowodnić" uczniowi, który to krzyknął, i musiał powlec się dalej na chudych, ugiętych nogach, pod wytłuszczonym kapeluszem mularskim[5].

Na jubileusz jego w ubiegłym roku gimnazjum urządziło pochód z pochodniami. Profesor wyszedł na balkon i przemawiał. Gdy wszystkie głowy, przechylone do tyłu, spoglądały ku niemu w górę, rozległ się nagle brzydki, sepleniący głos:

— *Niebezpieczeństwo* w powietrzu![6]

Wszyscy inni powtórzyli:

— *Niebezpieczeństwo* w powietrzu! *Niebezpieczeństwo* w powietrzu!

Zemsta

Profesor u góry począł się jąkać, chociaż przewidział ten wypadek; spoglądał przy tym każdemu z krzyczących w otwarte usta. Inni panowie stali w pobliżu; Unrat czuł, że znowu nie może „niczego udowodnić"; ale zapamiętał sobie wszystkie nazwiska. Już nazajutrz ten z sepleniącym głosem, nie znając wsi rodzinnej Dziewicy Orleańskiej[7], dał profesorowi sposobność do zapewnienia, że nieraz jeszcze w życiu stanie mu na przeszkodzie. I istotnie ten Kieselack na Wielkanoc nie zdał do następnej klasy. Wraz z nim pozostali na drugi rok prawie wszyscy, którzy krzyczeli w dniu jubileuszu, także von Erztum. Lohmann nie krzyczał, a jednak też nie zdał. Pierwszy ułatwił Unratowi zadanie przez brak zdolności, drugi przez lenistwo.

Następnej późnej jesieni zdarzyło się pewnego przedpołudnia o jedenastej, podczas przerwy przed wypracowaniem klasowym o Dziewicy Orleańskiej, że von Erztum, który ciągle jeszcze nie zapoznał się bliżej z dziewicą i przewidywał katastrofę, w napadzie ociężałej rozpaczy szarpnął okno i na chybił trafił krzyknął dzikim głosem w mgłę:

— *Obrzydliwość*!

Nie wiedział, czy profesor jest w pobliżu, i było mu to obojętne. Biednego, barczystego junkra ziemiańskiego uniosła tylko potrzeba udzielenia jeszcze krótkiej swobody swemu głosowi, zanim będzie musiał na dwie godziny pochylić się nad białym arkuszem papieru, który był pusty, i pokrywać go słowami ze swej głowy, która była również pusta. W istocie jednak Unrat przechodził właśnie przez dziedziniec. Gdy uderzyło go słowo, krzyknięte z okna, wykonał zygzakowaty skok. We mgle rozróżnił kanciasty kontur von Erztuma. Na dziedzińcu nie było ani jednego ucznia, do nikogo nie mógł von Erztum krzyknąć tego słowa. „Tym razem — pomyślał Unrat triumfalnie — mnie miał na myśli. Tym razem mogę go przyłapać!"

W pięciu skokach przesadził schody, szarpnął drzwi klasy, przebiegł szybko między ławkami, i wpijając się w katedrę, wskoczył na schodki. Stanął tam drżąc i musiał zaczerpnąć oddechu. Uczniowie powstali na jego powitanie, a najwyższa wrzawa zatonęła nagle w milczeniu, które formalnie ogłuszało. Spoglądali na swego wychowawcę, jak na niebezpieczną bestię, której niestety nie wolno było zabić i która nawet chwilowo posiadała nad nimi dręczącą przewagę. Pierś Unrata pracowała gwałtownie; wreszcie rzekł głębokim głosem:

— Krzyknięto mi przedtem... *ciągle raz po raz*... pewne słowo, pewne określenie... *więc tedy* pewne przezwisko: nie jestem skłonny pozwalać na to. Nigdy nie ścierpię obelg z ust takich ludzi, jakimi mi się niestety daliście poznać, zapamiętajcie to sobie! Będę was łapał, gdzie tylko się da. Co do twojej nikczemności, von Erztum, to nie dość, że wzbudza ona we mnie odrazę, ale rozbije się jak szkło o niezłomność postanowienia, które ci oto oznajmiam. Dzisiaj jeszcze powiadomię o twoim czynie pana dyrektora, a cokolwiek

[4]*Przeczuwam coś złego* — (niem.) *Ich wittre Unrat!* [przypis tłumacza]

[5]*kapelusz mularski* (niem. *Maurerhut*) — kapelusz z dość szerokim rondem, zbliżony kształtem do fedory, najczęściej zrobiony z filcu. [przypis edytorski]

[6]*Niebezpieczeństwo w powietrzu* — (niem.) *Unrat in der Luft*. [przypis tłumacza]

[7]*wsi rodzinnej Dziewicy Orleańskiej* — Joanna d'Arc (Dziewica Orleańska, fr. *la Pucelle d'Orléans*) urodziła się w 1412 r. w Domrémy w płn.-wsch. części Francji, wieś nosi dziś na jej cześć nazwę Domrémy-la-Pucelle. [przypis edytorski]

leży w mojej mocy, to się... *istotnie zaprawdę*... stanie, aby zakład nasz uwolniony został przynajmniej od tej najlichszej szumowiny społeczeństwa ludzkiego!

Zerwał potem płaszcz z ramion i syknął:

— Siadać!

Klasa siadła, tylko von Erztum stał nadal. Jego tęga, żółto nakrapiana głowa była teraz tak czerwona, jak zarastające ją kępki włosów. Chciał coś powiedzieć, gotował się wiele razy, rezygnował znowu. Wreszcie wyrzucił z siebie:

— To nie ja byłem, panie profesorze!

Kilka głosów poparło go z ofiarnością i solidarnie:

— To nie był on!

Unrat tupnął nogą:

— Cicho!... A ty, von Erztum, zapamiętaj sobie, że nie jesteś pierwszym swego nazwiska, którego ja w jego karierze... *owszem więc niewątpliwie*... poważnie powstrzymałem, i że i na przyszłość, jeśli nie uniemożliwię ci zupełnie życia, to jednak, jak niegdyś twemu stryjowi, utrudnię ci je niemało. Chcesz zostać oficerem, prawda, von Erztum? Twój stryj chciał także. Ale że nie udało mu się uzyskać *zaliczenia*, zaś świadectwo dojrzałości potrzebne do jednorocznej służby ochotniczej... *zważcie więc tedy*... musiało mu być stale odmawiane, dostał się do tak zwanej „prasy”[8], gdzie jednakowoż również musiał się zachwiać, tak iż wreszcie jedynie dzięki specjalnemu aktowi łaski swego władcy... *więc zatem wszelako*... uzyskał dostęp do kariery oficerskiej, którą jednak potem, zdaje się, rychło musiał przerwać. Otóż! Los twego stryja stanie się zapewne i twoim, von Erztum, a w każdym razie podobnie się twój los ukształtuje. Życzę ci szczęścia na drodze do tego, von Erztum. Mój sąd o twojej rodzinie, von Erztum, ustalony jest od piętnastu lat... A teraz...

W tym miejscu głos Unrata wzmógł się z piekielną grozą.

— Nie jesteś godzien ostrzyć swego bezdusznego pióra na dostojnej postaci dziewiczej, do której obecnie przechodzimy. Precz do „kabufu”!

Von Erztum, chłopiec o powolnym umyśle, słuchał jeszcze. W wysiłku uwagi nieświadomie naśladował szczękami ruchy, jakie wykonywały szczęki profesora. Podbródek Unrata, na którego górnej części sterczało sporo żółtych szczecin, toczył się przy mówieniu między drewnianymi fałdami ust niby na szynach, a ślina jego tryskała aż na pierwszą ławkę. Krzyknął:

— Ośmielasz się, smarkaczu!... Precz, powiadam, do „kabufu”!

Von Erztum wysunął się zalękniony z ławki. Kieselack szepnął do niego:

— Człowieku, brońże się!

Lohmann, siedzący za nim, zapowiedział stłumionym głosem:

— Czekaj, już my mu przytrzemy rogów!

Skazany przecisnął się obok katedry, do pokoju, który służył klasie za szatnię i w którym panowały zupełne ciemności. Unrat jęknął z ulgą, gdy drzwi zamknęły się za barczystym młodzieńcem.

— Teraz nadgonimy czas — rzekł — który skradł nam ten chłopak. Angst[9], masz tutaj temat, napisz go na tablicy.

Prymus podniósł kartkę do krótkowzrocznych oczu i wolno począł pisać. Wszyscy patrzeli z napięciem, jak pod kredą powstawały litery, od których tak wiele zależało. Jeśli przypadkowo dotyczyły sceny, której się nie „przygotowało”, w takim razie „nie miało się pojęcia” i „leżało się”. Przez zabobon szeptało się, zanim jeszcze sylaby na tablicy otrzymały sens:

— O Boże, wpadłem.

Wreszcie można było przeczytać:

„Joanna: Trzy modlitwy wzniosłeś tej nocy do Boga,
Uważajże, delfinie, czy ci je powtórzę!”

[8] *prasa* — potoczna nazwa wojskowej szkoły przygotowawczej. [przypis tłumacza]

[9] *Angst* — nazwisko znaczące; niem.: lęk. [przypis edytorski]

(*Dziewica Orleańska*, akt pierwszy, scena dziesiąta)[10].
Temat: Trzecia modlitwa delfina.

Kiedy uczniowie przeczytali to, wszyscy spoglądali wzajem po sobie. Gdyż wszyscy „leżeli". Unrat „wpakował" ich. Z krzywym uśmiechem siadł na krześle za katedrą i począł przewracać kartki notesu.

— No? — zapytał, nie podnosząc wzroku, jakby wszystko było jasne. — Czy chcecie jeszcze coś wiedzieć?... Więc zaczynać!

Większość pochyliła się nad zeszytami, udając, że już piszą. Niektórzy z rozpaczą spoglądali przed siebie.

— Macie jeszcze pięć kwadransów — rzucił Unrat obojętnie, triumfując w duchu. Tego tematu nie wymyślił żaden z owych niesumiennych nauczycieli, którzy drukowanymi podręcznikami ułatwiali tej bandzie przeprowadzenie bez trudu i na sposób leniuchów analizy każdej sceny dramatu.

Niektórzy w klasie przypominali sobie dziesiątą scenę aktu pierwszego i znali pobieżnie pierwsze dwie modlitwy Karola. O trzeciej nic więcej nie wiedzieli, zdawało się im, że nigdy o niej nie czytali. Prymus i jeszcze dwóch czy trzech, między innymi także Lohmann, byli nawet pewni, że nigdy o niej nie czytali. Delfin kazał przecież prorokini powtórzyć tylko dwie spośród swoich próśb nocnych; to mu wystarczyło, aby uwierzyć w boskie posłannictwo Joanny. Trzecia prośba bezwarunkowo nie była wymieniona. Później była pewnie wspomniana w innym miejscu, albo wynikała w jakiś sposób pośrednio z wydarzeń; albo może spełniła się sama przez się, tak że nie wiedziało się nawet, iż się tutaj coś spełnia? Nawet prymus Angst przyznawał w duchu, że mogło istnieć miejsce, na które nigdy nie zwrócił uwagi. W każdym razie trzeba było coś powiedzieć o tej trzeciej modlitwie, ba, nawet o czwartej i piątej, gdyby tego Unrat zażądał. Ćwiczenia niemieckie od lat uczyły uczniów pokrywać pewną ilość stronic frazesami o rzeczach, co do których istnienia bynajmniej nie mieli pewności, jak o obowiązkowości, o błogosławieństwie szkoły i miłości dla służby wojskowej. Temat był rzeczą obojętną; ale pisało się. Utwór poetycki, z którego ten temat pochodził, był dla ucznia obmierzły, gdyż od miesięcy już służył do tego tylko, aby go „pakować"; ale pisało się z polotem. Szkoła, Nuda, Przemoc

Dziewicą Orleańską zajmowała się klasa od Wielkiejnocy, od trzech kwartałów. Drugoroczni znali ją nawet z ubiegłego roku. Czytano ją od początku i od końca, uczono się scen na pamięć, zaopatrywano w komentarze historyczne, uprawiano na niej naukę poetyki i gramatyki, przekładano wiersze jej na prozę, a prozę z powrotem na wiersze. Dla wszystkich, którzy przy pierwszym czytaniu dostrzegali w tych wierszach blask i urok, zgasły one od dawna. W rozstrojonej katarynce, która co dzień na nowo zaczynała grać, nie rozróżniało się już melodii. Nikt nie słyszał osobliwie miękkiego głosu dziewczęcego, pod którego brzmieniem wznosiły się upiorne, surowe miecze, gdy pancerz nie przykrywa już serca, a skrzydła anielskie, rozpostarte szeroko, wznoszą się jasne i okrutne. Kto z tych młodzieńców drżał kiedyś wobec dławiącej niemal niewinności tej pasterki, kto kochał w niej triumf słabości, kto płakał kiedy nad dziecięcą wzniosłością tej, która opuszczona przez niebo staje się biedną, bezradnie zakochaną małą dziewczynką, ten nieprędko przeżyje to znowu. Dwudziestu lat może będzie mu trzeba, aż Joanna stanie się dlań znowu czymś innym, niż tylko zakurzoną pedantką.

Pióra skrzypiały; profesor Unrat, niczym innym niezajęty, obserwował pochylone grzbiety. Dobry to był dzień, gdy kogoś „złapał", zwłaszcza jeżeli to był ktoś, kto mu nadał „jego przezwisko". Przez to samo cały rok stawał się dobry. Niestety od dwóch już lat nie mógł „złapać" żadnego z tych krzyczących podstępnie.

Złe to były lata. Rok był dobry lub zły zależnie od tego, czy Unrat „złapał" kilku, czy też nie mógł im „niczego udowodnić". Nauczyciel, Uczeń, Władza

[10] *Trzy modlitwy wzniosłeś (…) czy ci je powtórzę!* — dramat Friedricha Schillera *Dziewica Orleańska* z 1801 r. można przeczytać w przekładzie A.E. Odyńca np. tutaj: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schiller-dziewica-orleanska.html#fi1070 (cytowana wypowiedź znajduje się w wersie 1070 i następnych). [przypis edytorski]

Unrat, który czuł, że uczniowie oszukują go i nienawidzą, traktował ich ze swej strony jak śmiertelnych wrogów, których trzeba było „pakować" i przeszkadzać im w osiągnięciu „zaliczenia". Ponieważ całe życie spędził w szkole, nie danym mu było widzieć chłopców i ich spraw w perspektywie człowieka doświadczonego. Widział ich tak z bliska, jak ktoś spośród nich, kto niespodzianie wyposażony został we władzę i wyniesiony na katedrę. Mówił i myślał ich językiem, używał ich żargonu, garderobę nazywał „kabufem". Przemówienia swoje utrzymywał w stylu, jakiego by i oni w podobnych wypadkach używali, mianowicie w latynizowanych okresach, przetykanych takimi zwrotami jak „istotnie zaprawdę", „więc tedy" i podobnymi zbiegami wtrącanych bez sensu słówek, nawyknieniami z lekcji Homera w najstarszej klasie; gdyż lekka rozwlekłość Greków musiała być niezdarnie tłumaczona dosłownie. Że on sam stał się sztywny, wymagał tego i od innych w szkole. Nieustanna potrzeba młodzieńczych ciał i młodzieńczych umysłów — u chłopców, u młodych psów — ich potrzeba biegania, hałasowania, rozdawania szturchańców, zadawania bólu, płatania figli, pozbywania się w bezużyteczny sposób nadmiaru odwagi i sił: o tej potrzebie Unrat zapomniał, nigdy jej nie rozumiał. Gdy karał, nie czynił tego z wyrozumiałym zastrzeżeniem: „Jesteście hultaje, jak się patrzy, ale porządek musi być"; lecz karał z powagą i zagryzionymi zębami. Wszystko, co się działo w szkole, posiadało dla Unrata wagę i rzeczywistość życia. Lenistwo podobne było do nikczemności bezużytecznego obywatela, nieposłuszeństwo i śmiech były oporem przeciwko władzy państwowej, strzelanie grochem było początkiem rewolucji, „usiłowane oszustwo" zbezczeszczało na zawsze. W takich wypadkach Unrat bladł. Gdy wysłał kogoś do „kabufu", doznawał uczucia samowładcy, który znowu skazał gromadę wywrotowców na zesłanie do kolonii karnych i który z lękiem i triumfem czuje zarazem swoją najpełniejszą władzę i jakieś niesamowite podrywanie jej korzeni. Temu, kto powrócił z „kabufu", i wszystkim, którzy go dotknęli, nigdy tego Unrat nie zapominał. Ponieważ pracował w szkole od ćwierć wieku, miasto i okolica pełne były jego byłych uczniów, takich, których „przyłapał" na wołaniu jego przezwiska, lub takich, którym nie mógł „niczego udowodnić", a którzy wszyscy teraz jeszcze go tak nazywali! Szkoła nie kończyła się dla niego w murach dziedzińca; rozciągała się na okalające je domy i na wszystkie klasy wieku ich mieszkańców. Wszędzie siedzieli oporni, nikczemni chłopcy, którzy „swego" nie „przygotowali" i nienawidzili nauczyciela. Nowy uczeń, nieświadomy jeszcze, u którego w domu starsi krewni śmiali się z profesora Unrata jak z miłego i zabawnego wspomnienia młodości, a który przy promocji wielkanocnej dostał się do klasy Unrata, mógł przy pierwszej złej odpowiedzi usłyszeć:

„Od was miałem tu już trzech. Nienawidzę twojej całej rodziny!"

Na swym dostojnym posterunku ponad wszystkimi głowami zaznawał Unrat wątpliwego bezpieczeństwa; a tymczasem gotowało się nowe nieszczęście. Pochodziło ono od Lohmanna.

Lohmann załatwił się krótko ze swoim ćwiczeniem i poświęcił się potem prywatnemu zajęciu. Nie mógł się z nim jednak uporać, gdyż sprawa przyjaciela jego von Erztuma dręczyła Lohmanna. Narzucił się on niejako na moralnego obrońcę krzepkiego młodego szlachcica i uważał za nakaz własnego honoru gdzie tylko się dało kryć słabość duchową przyjaciela własnym tak rozwiniętym mózgiem. W chwili gdy von Erztum miał palnąć jakieś niesłychane głupstwo, Lohmann chrząkał głośno i podpowiadał mu później właściwą odpowiedź. Najniezrozumialsze odpowiedzi przyjaciela tłumaczył potem kolegom, twierdząc, że von Erztum chciał tylko nauczyciela „doprowadzić do wściekłości".

Uczeń, Literat

Lohmann był młodzieńcem o czarnych włosach, piętrzących się nad czołem i opadających melancholijnymi pasmami. Posiadał bladość Lucypera i pełną talentu mimikę. Układał wiersze w stylu Heinego[11] i kochał się w trzydziestoletniej damie[12]. Pochłonięty zdobywaniem wykształcenia literackiego, niewiele tylko uwagi poświęcać mógł szkole. Grono nauczycielskie, zwróciwszy uwagę na to, że Lohmann dopiero w ostatnim kwartale brał się do pracy, w dwóch już klasach pozostawiło go na drugi rok, mimo

[11] *wiersze w stylu Heinego* — zob. np. w bibliotece Wolne Lektury https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heine-dysputa/. [przypis edytorski]

[12] *kochał się w trzydziestoletniej damie* — nawiązanie do cyklu opowiadań Honoré de Balzaca *Kobieta trzydziestoletnia*, zob. np. w bibliotece Wolne Lektury https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-kobieta-trzydziestoletnia/. [przypis edytorski]

dostatecznych pod koniec postępów. Siedział więc jeszcze Lohmann, podobnie jak jego przyjaciel, mimo siedemnastu lat pomiędzy samymi chłopcami czternasto- i piętnastoletnimi. A gdy von Erztum dzięki swemu rozwojowi fizycznemu wyglądał na dwadzieścia, to wiek Lohmanna powiększał się pozornie przez to, że nawiedził go duch.

Jakież wrażenie musiał na takiego Lohmanna wywierać ten drewniany błazen na katedrze; ten bałwan, cierpiący na *idée fixe*. Gdy Unrat wywoływał go, Lohmann bez pośpiechu rozstawał się ze swoją odległą od klasy lekturą, i zmarszczywszy szerokie, żółtawoblade czoło w zdumione fałdy poprzeczne, spod pogardliwie opuszczonych powiek badał żałosną zaciekłość pytającego, brud na skórze bakałarza, łupież na jego kołnierzu. Potem rzucał spojrzenie na własne wypielęgnowane paznokcie. Unrat nienawidził Lohmanna bardziej może niż innych za jego nieprzystępną oporność i nieomal za to, że Lohmann nie nazywał go jego przydomkiem; gdyż czuł niejasno, że ma to jeszcze gorsze znaczenie. Przy najlepszej woli nie potrafił Lohmann odpowiedzieć na nienawiść biednego starca inaczej, jak obojętnym lekceważeniem, z domieszką zaprawionego odrobiną wstrętu współczucia. Ale przez obelgę, zadaną von Erztumowi, uczuł się dotknięty osobiście. Jedyny spośród trzydziestu uczniów odczuł wygłoszony przez Unrata opis życia stryja von Erztuma jako podłość. Za wiele nie należało temu tam hołyszowi pozwalać. Lohmann zdecydował się więc. Wstał, oparł ręce o brzeg pulpitu, bacznie i z zaciekawieniem spojrzał profesorowi w oczy, jakby zamierzał uczynić osobliwy eksperyment, i zadeklamował z wytworną swobodą:

— Nie mogę tutaj pracować dłużej, panie profesorze. Okropnie tu *czuć*[13].

Unrat poderwał się z fotela, wyciągnął rękę jak do zaklęcia i w milczeniu zatrzasnął szczęki. Na to nie był przygotowany — przed chwilą dopiero zagroził jednemu nikczemnikowi relegowaniem. Czyżby miał teraz i tego Lohmanna „złapać"? Nic nie mogło być dlań bardziej pożądane. Ale — czy mógł mu to „udowodnić"?... W tej chwili powstrzymanego oddechu mały Kieselack wyciągnął niebieskie palce z poobgryzanymi paznokciami, trzasnął nimi i zawołał sepleniącym głosem:

— Lohmann nie daje myśleć spokojnie, ciągle mówi, że tu *czuć*.

Rozległy się chichoty, niektórzy szurgotali nogami. Wówczas Unrata, który czuł już wicher buntu na twarzy, ogarnęła panika. Zerwał się z krzesła i wymachując na wszystkie strony rękoma nad pulpitem, jakby zadawał ciosy niezliczonym napastnikom, zawołał:

— Do „kabufu"! Obaj do „kabufu"!

Nie chciał się uspokoić; Unrat sądził, że może się jeszcze uratować tylko zamachem. Zanim Lohmann mógł się tego domyślić, rzucił się na niego, chwycił go za ramię, szarpnął i zawołał zduszonym głosem:

— Wynoś się precz, nie jesteś godzien być dłużej członkiem społeczeństwa ludzkiego!

Lohmann usłuchał, znudzony i niemile dotknięty. Pod koniec Unrat pchnął go i zamierzał rzucić na drzwi szatni; ale nie udało mu się. Lohmann otrzepał miejsce, w którym go Unrat dotknął, i spokojnym krokiem udał się do „kabufu". Nauczyciel rozejrzał się za Kieselackiem. Ale chłopiec przecisnął się za jego plecami i z wykrzywioną miną skradał się już do lokalu aresztowego. Prymus musiał profesorowi wyjaśnić, gdzie jest Kieselack. Niespodzianie zażądał teraz Unrat, aby wypadek ten ani na chwilę nie odciągnął klasy od dziewicy.

— Dlaczego nie piszecie? Jeszcze piętnaście minut! A prac niedokończonych nie będę... *ciągle znowu raz po raz*... przeglądał!

Na skutek tej groźby większość na dobre już nie wiedziała, co pisać, i powstały zalęknione miny. Unrat był zbyt podniecony, aby się tym należycie rozkoszować. Czuł potrzebę przełamania wszelkiego możliwego oporu, udaremnienia wszelkich planowanych zamachów, zmuszenia wszystkich do większego jeszcze milczenia, stworzenia ciszy cmentarnej. Trzej buntownicy byli usunięci, ale z zeszytów ich, otwartych na ławkach, ciągle jeszcze zdawał się płynąć duch buntu. Unrat zabrał je i udał się z nimi na katedrę.

Ćwiczenia von Erztuma i Kieselacka były niezdarnie i z wysiłkiem skleconymi szeregami zdań, które aż nazbyt świadczyły o dobrej woli. Co do Lohmanna, to niepojętym wręcz było, że nie uczynił „dyspozycji", podziału swojej rozprawy na A, B, C, a, b, c,

[13] *Okropnie tu czuć* — (niem.) *Es riecht nach Unrat*. [przypis tłumacza]

i 1, 2, 3. Napisał też jedną tylko stronicę, którą Unrat przyjął do wiadomości z szybko wzrastającym oburzeniem. Ćwiczenie brzmiało:

> Trzecia modlitwa delfina (Dziewica Orleańska I 10).
>
> Młoda Joanna zręczniej, niżby się można spodziewać po jej wieku i chłopskiej przeszłości, zyskuje sobie na dworze posłuch sztuczkami magicznymi. Podaje delfinowi wyciąg z treści trzech próśb, jakie ostatniej nocy skierował do nieba, i oczywiście przez swą zręczność w odgadywaniu myśli wywiera silne wrażenie na nieświadomych wielkich panach. Powiadam: trzech próśb; ale w istocie powtarza ona tylko dwie: z trzeciej zwalnia ją przekonany delfin. Na jej szczęście: gdyż wątpliwe, czy znałaby trzecią. Wszak już przy pierwszych dwóch powiedziała mu wszystko, o co mógł był prosić swego Boga, mianowicie: jeśli istnieje jeszcze jakiś nieodpokutowany grzech jego ojców, niechaj Bóg przyjmie jego samego jako ofiarę zamiast jego ludu; a jeśli już ma stracić kraj i koronę, niechaj mu pozostawi przynajmniej zadowolenie, przyjaciela i ukochaną. Z najważniejszej rzeczy, z panowania, zrezygnował więc tym samym. O cóż więc mógł się jeszcze modlić? Nie szukajmy długo: on sam nie wie, Joanna także nie wie. Schiller także nie wie. Poeta nie zataił nic z tego, co wiedział, a jednak powiedział jeszcze „i tak dalej". To jest cała tajemnica, a kto zna niezbyt rozważne usposobienie artysty, nie będzie się temu dziwił.

Kropka. To było wszystko — a Unrat, którego przejął dreszcz, doszedł nagle do przeświadczenia: *tego* ucznia usunąć, przed *tym* siedliskiem zarazy ustrzec społeczeństwo ludzkie, to jest zadanie daleko donioślejsze, niż usunięcie głupiego von Erztuma. Równocześnie rzucił okiem na następną stronicę, gdzie jeszcze coś było naskrobane; kartka ta była zresztą na wpół wyrwana z zeszytu. Ale nagle, w chwili, gdy to zrozumiał, coś niby różowa chmura przemknęło po kanciastych policzkach nauczyciela. Zamknął zeszyt, szybko i ukradkiem, jak gdyby nie chciał nic widzieć; otworzył go jeszcze raz, wepchnął go natychmiast pod dwa pozostałe, oddychał z trudem. Odczuwał nieprzeparcie: nadeszła chwila, tego trzeba „złapać"! Człowiek, który doszedł do tego, że tę... *owszem tedy niewątpliwie*... artystkę Różę... Różę... Po raz trzeci sięgnął po zeszyt Lohmanna. W tej chwili rozległ się już dzwonek.

— Oddawać! — krzyknął Unrat, w gwałtownej obawie, że jakiś uczeń, który nie skończył dotychczas, mógłby może w ostatniej chwili osiągnąć jeszcze dostateczny stopień. Prymus zebrał ćwiczenia; niektórzy uczniowie oblegali drzwi garderoby.

— Precz tam! Czekać! — zawołał Unrat, w nowej trwodze. Najchętniej byłby zadecydował, że zatrzyma tych trzech nędzników pod kluczem tak długo, aż się upewni co do ich zagłady. Ale to nie mogło być uskutecznione tak szybko, trzeba się tu było logicznie zastanowić. Sprawa Lohmanna chwilowo oślepiała go jeszcze przez swój nadmiar nikczemności.

Niektórzy z najmłodszych otoczyli katedrę z urażonym poczuciem prawa.

— Nasze rzeczy, panie profesorze!

Unrat musiał uwolnić „kabuf". Z tłoku wynurzyli się kolejno trzej banici, już w paltach. Lohmann stwierdził zaraz na progu, że zeszyt jego znajdował się w rękach Unrata, i z nudą ubolewał nad zbytnim pośpiechem starego głupca. Teraz możliwe, że rodzic jego będzie się musiał ruszyć i pogadać z dyrektorem!

Von Erztum uniósł tylko nieco wyżej rudawoblond brwi na twarzy, którą Lohmann nazywał „pijanym księżycem". Co do Kieselacka, to przygotował on sobie w „kabufie" obronę.

— Panie profesorze, to nieprawda, ja nie powiedziałem, że *czuć*. Ja tylko powiedziałem, że *on* zawsze mówi...

— Milcz! — krzyknął na niego Unrat, drżąc. Wysuwał i cofał szyję, opanował się i dodał głucho:

— Los wasz wisi *teraz obecnie stale* tuż nad waszymi głowami. Idźcie!

Trzej uczniowie poszli na obiad, każdy ze swoim losem nad głową.

Rozdział drugi

I Unrat zjadł, a potem położył się na kanapie. Ale, jak to się działo codziennie, we właściwej chwili, gdy miał się zdrzemnąć, gospodyni jego przewróciła w sąsiednim pokoju jakieś naczynie. Unrat zerwał się i natychmiast sięgnął znowu po zeszyt Lohmanna, oblewając się rumieńcem, jakby po raz pierwszy czytał napisane tam słowa, obrażające uczucie wstydu. Zeszyt do ćwiczeń nie dawał się już przy tym zamknąć, tak bardzo odgięty był w miejscu, gdzie znajdowała się „Oda na cześć wzniosłej artystki panny Róży Fröhlich[14]". Po tym tytule następowało kilka nieczytelnie przekreślonych wierszy, potem odstęp, a potem:

„Zepsuta jesteś aż do szpiku kości,
A jednak jesteś wielką artystką;
Jeśli cię chwycą kiedy ciąży mdłości —"

Rymu jeszcze sztubak nie znalazł. Ale tryb warunkowy w trzecim wierszu mówił wiele. Pozwalał się domyślać, że Lohmann jest w tym osobiście zainteresowany. Wyraźne potwierdzenie tego było może zadaniem czwartego wiersza. Dla odgadnięcia tego brakującego czwartego wiersza czynił Unrat takież właśnie rozpaczliwe wysiłki, jak jego klasa dla wymyślenia trzeciej modlitwy delfina. Zdawało się, że uczeń Lohmann tym czwartym wierszem kpi sobie z Unrata, i Unrat zmagał się z uczniem Lohmannem, ze wzrastającą namiętnością, w gwałtownym pragnieniu okazania mu, że ostatecznie on jest silniejszy. Już on go wpakuje!

Nieukształtowane jeszcze plany przyszłego działania przenikały Unrata. Nie pozwalały mu już usiedzieć bezczynnie, musiał narzucić starą pelerynę i wyjść. Padał rzadki i zimny deszcz. Z rękoma na grzbiecie, z czołem pochylonym, z jadowitym uśmiechem w kącikach ust omijał Unrat kałuże ulicy przedmiejskiej. Wóz z węglem i kilkoro dzieci — poza tym nie spotykał nikogo. U sklepikarza na rogu wisiało za drzwiami ogłoszenie teatru miejskiego: *Wilhelm Tell*. Unrat, tknięty jakąś myślą, skierował się ku niemu z ugiętymi kolanami... Nie, Róża Fröhlich nie była na afiszu wymieniona. Mimo to osoba ta mogła być zatrudniona w tym instytucie sztuki. Pan Dröge, sklepikarz, który powiesił program w swoim oknie, był prawdopodobnie obeznany ze szczegółami. Unrat trzymał już rękę na klamce; ale cofnął ją z przerażeniem i oddalił się szybko. Pytać o aktorkę, na swojej własnej ulicy! Nie powinien zapominać o plotkarskim usposobieniu takich nisko postawionych, niedoświadczonych w wiedzy humanistycznej mieszczuchów. Przy zdemaskowaniu ucznia Lohmanna musiał Unrat jąć się dzieła potajemnie i zręcznie... Skręcił w aleję, wiodącą ku miastu.

Jeśli mu się uda, wówczas Lohmann, padając, pociągnie za sobą także von Erztuma i Kieselacka. Przedtem postanowił Unrat nie meldować dyrektorowi, że nazwano go jego przydomkiem. Okaże się samo przez się, że ci, którzy to czynili, zdolni są i do wszelkiej innej niemoralności. Unrat wiedział o tym; doświadczył tego na własnym synu. Miał go od wdowy, która niegdyś jako młodzieńca wspomagała go materialnie do dalszych studiów, którą potem, gdy tylko otrzymał stanowisko, zgodnie z umową poślubił, która była koścista i surowa, a teraz nie żyła już. Syn jego nie wyglądał piękniej, niż on sam, a nadto był jednooki. Mimo to jako student, przybywając do miasta, pokazywał się na publicznym placu z dwuznacznymi dziewczynami. A gdy z jednej strony trwonił wiele pieniędzy w złym towarzystwie, z drugiej nie mniej jak cztery razy ściął się na egzaminie, tak że teraz mógł jeszcze wprawdzie zostać zdatnym urzędnikiem: ale jedynie na zasadzie świadectwa abiturialnego. Olbrzymia przepaść dzieliła go od wyższego człowieka, który zdał egzamin państwowy. Unrat, który ze stanowczością rozłączył się z synem, rozumiał wszystko, co się stało; ba, przewidział to niemal, gdy niegdyś podsłuchał syna, jak w rozmowie z kolegami nazywał własnego ojca jego przezwiskiem!

Rodzina

Podobnego losu można się więc było spodziewać dla Kieselacka, von Erztuma i Lohmanna, zwłaszcza jednak dla Lohmanna, który przecież, dzięki artystce Róży Fröhlich, był na najlepszej do tego drodze. Z zemstą na Lohmannie było Unratowi śpieszno. Dwaj

Uczeń, Władza

[14] *Fröhlich* — nazwisko znaczące; niem.: wesoła, radosna. [przypis edytorski]

pozostali znikali niemal obok tego człowieka, z jego obojętnymi manierami i zaciekawionym ubolewaniem, z jakim przyglądał się rozgniewanemu nauczycielowi. Co to był w ogóle za uczeń?... Ze świdrującą nienawiścią myślał Unrat o Lohmannie. Pod bramą miejską ze spiczastym dachem zatrzymał się nagle i powiedział głośno:

— To są najgorsi!

Uczeń był mysio szarą, podwładną i podstępną istotą, bez innego życia niż życie szkolne i stale w podziemnej wojnie przeciwko tyranowi: takim był Kieselack; albo głupim, silnym chłopakiem, którego tyran swoją przewagą duchową stale utrzymuje w zmieszaniu — jak von Erztum. Ale Lohmann — on przecież zdawał się *wątpić* w tyrana! Unrat wrzał z upokorzenia źle opłacanego autorytetu, przed którym podwładny pyszni się w eleganckim ubraniu i pobrząkuje pieniędzmi. Wszystko to — uświadomił sobie nagle — było tylko bezwstydem i niczym więcej! Że Lohmann nigdy nie wyglądał brudno, zawsze nosił czyste mankiety i robił takie miny: bezwstyd. Dzisiejsze ćwiczenie, wiadomości, jakie uczeń ten nabywał poza szkołą i z których najnikczemniejszą była artystka Róża Fröhlich: bezwstyd. I bezwstydem okazało się teraz z pewnością, że Lohmann *nie* nazywał Unrata jego przydomkiem!

Potem przebył Unrat resztę stromej ulicy między domami o szczytowych dachach, znalazł się przed kościołem, gdzie panował wicher, i zacisnąwszy wokół siebie pelerynę, zszedł znowu kawałek w dół. Teraz nastąpiła boczna uliczka, a przed jednym z pierwszych budynków Unrat zawahał się. Na prawo i na lewo od drzwi wisiały dwie skrzynki drewniane, a za ich drutami widniał program *Wilhelma Tella*. Unrat przeczytał go najpierw w jednej skrzynce, potem w drugiej. Wreszcie, rozglądając się lękliwie, wszedł do bramy i otwartej sieni. Za małym okienkiem zdawał się ktoś siedzieć przy lampie; w podnieceniu swoim Unrat źle rozpoznawał. W tym miejscu z pewnością nie był od dwudziestu lat; i cierpiał jak władca, trapiący się, że opuścił swoje państwo: mógł go ktoś nie poznać, przez nieświadomość potraktować go zbyt poufale, zmusić go, aby się uczuł człowiekiem.

Stał już przez chwilę przed okienkiem, chrząkając. Gdy nic nie nastąpiło, zapukał końcem zagiętego wskazującego palca. Głowa za okienkiem poderwała się w górę i natychmiast wychyliła się zza odsuniętej szybki.

— Pan sobie życzy? — zapytano ochryple.

Unrat poruszał tylko wargami. Przyglądali się sobie, on i wysłużony aktor o głębokich, granatowych rysach, płaskim nosie i binoklach na nim. Unrat wyjąkał: Teatr

— Tak? Więc dajecie *Wilhelma Tella*. To bardzo słusznie.

Kasjer rzekł:

— Jeżeli pan myśli, że robimy to dla własnej przyjemności.

— O to was nie posądzam — zapewnił Unrat, obawiając się powikłań.

— Nic się przecież nie sprzedaje. Tylko że przedstawienia klasyczne objęte są umową dzierżawną, jaką mamy z miastem.

Unrat uznał za wskazane dać się poznać.

— Jestem mianowicie profesor Un... profesor Raat, wychowawca niższej sekundy w tutejszym gimnazjum.

— Bardzo mi przyjemnie, moje nazwisko jest Blumenberg.

— I bardzo chętnie przybyłbym ze swymi uczniami na przedstawienie klasycznego dzieła dramatycznego.

— Ach, to przecież pięknie z pańskiej strony, panie profesorze. Wiadomością tą osiągnę największy sukces u naszego dyrektora, nie wątpię ani na chwilę.

— Ale — i Unrat podniósł palec — musiałby to być... *zaprawdę atoli*... ów z dramatów naszego Schillera, który czytamy w klasie, mianowicie... *ciągle znowu raz po raz*... *Dziewica Orleańska*.

Aktor spuścił wargi, pochylił głowę i od dołu, z żalem i wyrzutem, spoglądał na Unrata.

— Niezmiernie mi przykro. Gdyż musielibyśmy ją dopiero przygotować, wie pan. Czy rzeczywiście nie zadowoliłby się pan *Tellem*? To przecież także bardzo ładne dla młodzieży.

— Nie — zadecydował Unrat — to się w żaden sposób nie da zrobić. Potrzeba nam dziewicy. I szczególnie... *baczność więc tedy*!...

Unrat zaczerpnął oddechu, serce mu biło.

— ...szczególnie zależałoby na odtwórczyni roli Joanny. Gdyż musi to być wzniosła artystka, która ukaże uczniom... *ciągle raz po raz*... dostojną postać dziewicy.

— Oczywiście, oczywiście — rzekł aktor ze zgodą bez zastrzeżeń.

— Pomyślałem więc tedy o jednej z waszych dam, o której słyszałem, spodziewam się nie bez słuszności, największe pochwały.

— No, no!

— Mianowicie o pannie Róży Fröhlich.

— Jak, proszę?

— Róży Fröhlich — i Unrat wstrzymał oddech.

— Fröhlich? Nie mamy takiej wcale.

— Czy pan to wie na pewno? — zapytał Unrat, tracąc głowę.

— Za pozwoleniem, nie zwariowałem przecież jeszcze.

Unrat nie ważył się już spojrzeć na niego.

— W takim razie nie umiem sobie tego wcale...

Kasjer przyszedł mu z pomocą:

— Zachodzi tu zapewne omyłka co do osoby.

— Ach tak — rzekł Unrat z dziecięcą wdzięcznością. — Niechże pan wybaczy.

I płaszcząc się odszedł od okienka.

Kasjer był stropiony. Wreszcie zawołał za nim:

— Ależ panie profesorze, o sprawie tej można mimo to pomówić. Ile biletów wziąłby pan wówczas? Panie pro...

W drzwiach Unrat odwrócił się jeszcze raz, uśmiech jego był skrzywiony z lęku przed prześladowcą.

— Niechże pan wybaczy.

I uciekł.

Nie spostrzegłszy tego, poszedł w dół ulicy i ku portowi. Otaczały go tupiące kroki mężczyzn, którzy nosili worki, i głośne okrzyki innych, którzy windowali je do otworów w szczytach. Czuć było zapach ryb, smoły, oliwy, spirytusu. Maszty i kominy na rzece spowijał już mrok. Pośrodku tej zabiegliwości, wybuchającej jeszcze przed zmierzchem, kroczył Unrat ze swymi trawiącymi myślami: „złapać" Lohmanna, stwierdzić miejsce pobytu artystki Fröhlich.

Popychali go panowie w ubraniach angielskich, biegający z frachtami, i robotnicy, którzy wrzeszczeli na niego: „Uwaga!". Ogarnął go powszechny pośpiech; zanim się spostrzegł, nacisnął klamkę drzwi, nad którymi widniało słowo „Heuerbas"[15] i jakiś szwedzki czy duński napis. W sklepie leżały zwinięte liny, suchary okrętowe, małe baryłki o ostrym zapachu. Papuga wołała: „Golnąć sobie!". Wielu marynarzy piło, inni z rękoma w kieszeniach spodni przemawiali do olbrzymiego, rudobrodego mężczyzny. Trwało sporą chwilę, zanim wyłonił się on z chmur dymu tytoniowego, stanął za ladą, tak że blaszany reflektor latarni ściennej oświetlił silnie jego łysinę, wsparł się łapami o brzeg i zapytał grubiańsko:

— Chce pan czego ode mnie, panie?

— Niech mi pan da — zażądał Unrat swobodnie — bilet wstępu do teatru letniego.

— Co pan gada? — zapytał mężczyzna.

— No tak, do teatru letniego. Ponieważ pan wszak przecież oto ogłasza w swoim oknie wystawowym, że sprzedaje pan bilety do teatru letniego.

— Co ja mam sobie o tym myśleć, panie — i mężczyzna otworzył szeroko usta. — Letni teatr nie gra przecież zimą.

Unrat upierał się sztywno przy swoim prawie.

— Ale macie to w oknie, człowieku.

— A niech tam sobie w oknie siedzi!

Było to wykrzyknięte ordynarnie; ale *Heuerbas* przypomniał sobie zaraz o szacunku, należnym panu w okularach. Zastanawiał się nad argumentami, które mogłyby przekonać nieznajomego, że teatr letni jest teraz zamknięty. Aby sobie fizycznie dopomóc

[15] *Heuerbas* (niem.) — wyraz z gwary marynarzy, oznaczający szefa lub pośrednika, który zatrudnia pracowników i wypłaca im zarobek; tu również w znaczeniu: impresario. [przypis edytorski]

w wysilonej pracy myśli, ostrożnie gładził straszliwą, czerwono owłosioną ręką brzeg lady. Wreszcie znalazł:

— To przecież najgłupszy malec wie — rzekł łagodnie — że zimą nie ma letniego teatru.

— Za pozwoleniem, szanowny panie — rzekł Unrat z wyższością.

Mężczyzna zawezwał pomoc:

— Hinnerich! Laurenz!

Marynarze zbliżyli się.

— Nie wiem, co się temu stało, bij-zabij chce się dostać do ogrodu.

Marynarze żuli w ustach tytoń. *Heuerbas* i oni spoglądali na Unrata z napięciem, jakby był przybyszem z bardzo daleka, czymś w rodzaju Chińczyka, którego oto trzeba było zrozumieć. Unrat wyczuł to; postanowił zakończyć to szybko.

— Więc może potrafi mi pan przynajmniej powiedzieć, człowieku, czy ubiegłego lata grała w rzeczonym teatrze niejaka panna Fröhlich — Róża Föhlich.

— A ja skąd mam to wiedzieć, panie? — Mężczyzna był zupełnie stropiony. — Myśli pan może, panie, że ja się zadaję z cyrkówkami?

— Albo chociażby — rzekł Unrat na łeb i szyję — czy wspomniana dama w przyszłym roku... *ciągle znowu raz po raz*... zaszczyci nas swymi występami.

Heuerbas miał wygląd przerażony; nie rozumiał już ani słowa. Jeden z marynarzy wpadł na pomysł:

— On sobie kpinki stroi, Pieter, on sobie z ciebie dworuje!

Przechylił głowę i roześmiał się, gulgocząco i grzmiąco, z czarno rozwartej paszczy. Inni przyłączyli się do śmiechu. *Heuerbas* nie miał co prawda zupełnie wrażenia, jakoby nieznajomy żartował; ale spostrzegł, że respekt, jaki należał mu się od gości, był w niebezpieczeństwie, respekt tych ludzi, którymi dyrygował, których ładował kapitanom na pokład razem z sucharami i jałowcówką. Bez przejścia popadł w sztuczną wściekłość, zaczerwienił się dziko, uderzył w stół i wyciągnął władczy palec.

— Panie! Mam co innego do roboty, pańską małpą nie jestem! Przypatrz no się pan drzwiom, co tam są za panem!

A gdy Unrat ogłuszony trwał jeszcze przez chwilę na miejscu, gospodarz począł się gotować do wyjścia zza lady. Unrat szybko otworzył drzwi. Papuga wołała za nim: „Golnąć sobie!". Marynarze wyli ze śmiechu. Unrat zamknął drzwi.

Szybko skręcił na najbliższym rogu i uszedł z dzielnicy portowej na cichsze ulice. Oceniał wypadek.

— To był błąd. To był... *owszem więc tedy*... błąd.

Artystkę Fröhlich trzeba było odszukać na innej drodze. Unrat przyglądał się przechodniom pod tym kątem widzenia, czy wiedzą coś o niej. Byli to tragarze, służące, zapalacz latarni, gazeciarka. Z ludem niepodobna się było porozumieć: uczynił to doświadczenie. Ostatnie przeżycie skłaniało go także do ostrożności przy nawiązywaniu rozmowy z nieznajomymi. Rozsądniej było rozejrzeć się za jakąś znajomą już twarzą. Z najbliższego zaułka wynurzyła się właśnie taka twarz; w twarz tę Unrat w zeszłym jeszcze roku ze wściekłą intonacją wykrzykiwał wiersze łacińskie. Uczeń, który „swego" nie „przygotował", był teraz widocznie praktykantem biurowym. Zbliżał się z paczką listów w ręku i wyglądał fircykowato. Unrat skierował się ku niemu, otworzył już usta, czekał tylko na ukłon młodzieńca. Ale ukłon ten nie nastąpił. Były uczeń szyderczo spojrzał profesorowi w oczy i przeszedł tuż obok wzniesionego ramienia Unrata, a na jego blond twarzy uśmiech stał się przeraźliwie szeroki. Lud

Unrat znikł szybko w zaułku, z którego wyszedł spotkany. Była to jedna z uliczek, spadających ku portowi; a że spadała ona stromiej niż inne, zebrało się tu mnóstwo dzieci, które w małych, hałaśliwych wózkach o pełnych kołach zjeżdżały z góry. Matki i służące stały na chodniku, podnosiły ręce i wołały na kolację; ale młody światek nieustannie zjeżdżał z hałasem po wyboistym bruku, klęcząc w swoich wózkach albo z nogami w powietrzu, z powiewającymi śliniaczkami, z czapkami zasuniętymi na uszy i ustami otwartymi do okrzyków radości. Przechodząc przez ulicę, musiał Unrat wykonywać skoki, aby się nie dostać pod dyszel. Dokoła niego rozpryskiwały się kałuże. Z przejeżdżającego pędem wózka zawołał nagle przenikliwy głos:

— *Błoto*![16]

Unrat wzdrygnął się. Natychmiast kilku innych powtórzyło to słowo. Ci uczniowie szkoły ludowej lub miejskiej dowiedzieli się pewnie jego przezwiska od gimnazistów; a inni, którzy nie wiedzieli wcale, co przez to rozumiano, krzyczeli także. Wśród zawiei, jaka się przeciw niemu podniosła, musiał Unrat wdrapywać się po stromej ulicy. Dysząc dotarł do kościoła.

Wszystko to było mu dobrze znane; byli uczniowie, którzy mu się nie kłaniali, lecz śmiali się, młodzież uliczna, wykrzykująca jego przezwisko. Tylko że dzisiaj w zapale nie liczył się z tym: gdyż teraz ludzie winni mu byli odpowiedź. Jeśli dawniej nie znali wierszy Wergilego[17], musieli teraz wiedzieć przynajmniej o artystce Fröhlich!

Unrat przybył na rynek i przeszedł obok handlarza tytoniu, ucznia sprzed dwudziestu lat, od którego kupował niekiedy pudełko cygar... niekiedy tylko: nie palił dużo, pijał rzadko; nie posiadał żadnego z nałogów mieszczańskich... Rachunki tego człowieka nosiły stale nagłówek: Wielmożny Pan Profesor U..., i potem dopiero U przerobione było na R. Czy była to złośliwość czy bezmyślność, tego Unrat nigdy nie mógł stwierdzić; ale stracił nagle odwagę, aby wejść do sklepu, na którego progu już się znajdował. Człowiek w tym sklepie był opornym uczniem, którego niepodobna było „złapać".

Szybko ruszył dalej. Nie padało już; wiatr rozpędził chmury. Latarnie gazowe migotały czerwonawo. Ukosem nad szczytem jakiegoś dachu wynurzał się niekiedy żółty półksiężyc: szydercze oko, które natychmiast spuszczało znowu powiekę, tak, że nie można mu było jego szyderstwa „udowodnić". Księżyc

Nagle zapłonęły jaskrawo wielkie okna Café Central. Unrat uczuł chęć, aby tam wejść, wypić coś niezwykłego. W osobliwy sposób wytrącony był dzisiaj z torów swego dnia. Tam, w kawiarni można by się z pewnością dowiedzieć czegoś o artystce Fröhlich; mówiono tam o wszystkim. Unrat wiedział o tym z dawnych czasów, gdyż za życia żony pozwalał sobie niekiedy — bardzo rzadko — na godzinkę urlopu w Café Central. Odkąd nie żyła, miał w domu tyle spokoju, ile pragnął, i nie potrzebował kawiarni. Zresztą bywanie tam utrudnił mu pod koniec nowy właściciel, także były uczeń, który po wielu latach powrócił do miasta. Obsługiwał on swego byłego nauczyciela własnoręcznie, i z największą uprzejmością, tak iż Unrat nie mógł mu tego żadną miarą „udowodnić", tytułował go stale profesorem Unratem. Goście byli bardzo podnieceni; Unrat doznał wrażenia, że gdyby przychodził częściej, służyłby jako reklama lokalu.

Odwrócił się więc, szukając w duchu innych miejsc, gdzie mógłby zadać swoje pytanie. Ale nic mu nie przychodziło na myśl. Znajome głowy, które pamięć jego przywoływała, miały wszystkie takie same miny, jak spotkany wcześniej praktykant biurowy, jego uczeń. Oświetlone sklepy kryły wszystkie, jak trafika i kawiarnia, zbuntowanych uczniów. Unrat popadł w gniew, ogarniało go już zmęczenie i był spragniony. Znad brzegów okularów rzucał na sklepy, na drzwi mieszkań z nazwiskami byłych uczniów niższej sekundy zielone spojrzenia, które klasa jego nazywała jadowitymi. Wszyscy ci chłopcy prowokowali go. Także artystka Fröhlich, która ukrywała się w jednym z tych domów, zajmowała jednego z jego uczniów sprawami pobocznymi i wymykała się mocy Unrata, i ona go prowokowała! Niekiedy tabliczka na drzwiach wymieniała jakiegoś nauczyciela; wówczas Unrat z podnieceniem odwracał wzrok. Ten przed jego własną klasą nazwał go przydomkiem; a że się potem poprawił, to niczego nie naprawiało. Ów widział syna Unrata z dziewczyną na rynku i rozgadywał to. Ze wszystkich stron zagrożony wrogami, mijał Unrat ulice. Przemykał się koło domów z uczuciem napięcia; gdyż lada chwila; niby wiadro pomyj, które by mu ktoś wylał na głowę, mogło paść z jakiegoś okna jego przezwisko! A że nie widział wołającego, nie mógł go „złapać"! Zbuntowana klasa pięćdziesięciu tysięcy uczniów szalała wokół Unrata.

Schronił się więc, zanim to sobie jeszcze uświadomił, do najodleglejszej okolicy, gdzie na końcu długiej, cichej ulicy znajdowało się przytulisko starych panien. Było tu zupełnie ciemno. Kilka przemykających się postaci w półdługich „mantylach" i z chustkami na głowach powracały spóźnione z herbatki, z nabożeństwa wieczornego, dzwoniły ukrad-

[16] *Błoto!* — niem. *Unrat*. [przypis tłumacza]

[17] *Wergili*, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — poeta rzymski, por. https://pl.wikipedia.org/wiki/Wergiliusz, zob. np. w bibliotece Wolne Lektury https://wolnelektury.pl/katalog/autor/wergiliusz/. [przypis edytorski]

kowo, znikały w szparze drzwi. Nietoperz kreślił zygzaki nad kapeluszem Unrata. Unrat myślał, zerkając z ukosa ku miastu:

„Wtedy nie będzie tam ani jednego, ani jednego człowieka".

Powiadał pewnie:

„Jeszcze ja was, bandę, kiedyś wpakuję!"

Ale że czuł swoją niemoc, nienawiść poczęła w nim drżeć i szarpać go gwałtownie; nienawiść do tych tysięcy leniwych, złośliwych uczniów, którzy stale wykręcali się od roboty, jaką mu byli winni, stale nazywali go jego przydomkiem, stale myśleli tylko o psotach; którzy teraz drażnili go artystką Fröhlich, nie pomagali przyłapać jej ani ucznia Lohmanna, lecz zachowywali się jak „ordynarna" klasa, solidaryzująca się przeciwko nauczycielowi; którzy siedzieli teraz wszyscy przy kolacji, jego zaś zmuszali, aby się tutaj włóczył; i którzy w ogóle — przeczuł to w tej chwili — zobili z niego coś złego, którzy podczas tych długich lat, gdy był pośród nich, okropnie go skrzywdzili.

On, który od dwudziestu sześciu lat miał przed sobą klasę, klasę z zawsze tymi samymi złośliwymi twarzami, nie spostrzegł nigdy, że twarze te tutaj i gdy czas mijał, wkrótce stawały się obojętne na myśl o profesorze Unracie, i że później przybierały nawet miny życzliwe. W naprężeniu walki nie był nigdy skłonny uznać, że starsi w mieście, nawet gdy rzucali mu jego przezwisko w twarz, nie wymawiali tego słowa, aby go dotknąć, ale gwoli wspomnień młodości, które teraz wydawały się im niewinnie wesołe; i że był on w mieście figurą, która dla każdego miała w sobie jakiś komizm, ale dla niektórych komizm czuły. Nie słyszał wymiany zdań między dwoma uczniami z najstarszej generacji, którzy zatrzymali się na rogu i spoglądali za nim, jak sądził, z szyderstwem:

— Co się stało z tym Unratem? Starzeje się.

— I coraz jest brudniejszy.

— Nigdy nie znałem go innym.

— O, nie pamięta pan już chyba. Jako pomocnik nauczyciela był on jeszcze zupełnie schludnym człowiekiem.

— Tak? Czego to nie robi przezwisko. Nie potrafię go sobie wcale wyobrazić czystego.

— Wie pan, co myślę? Że on też sobie tego nie potrafi wyobrazić. Przeciw takiemu przezwisku nikt nie zdoła przez dłuższy czas walczyć.

Rozdział trzeci

Unrat wbiegł szybko z powrotem po cichej uliczce, gdyż powziął myśl, której słuszność sprawdzić chciał natychmiast, ale to natychmiast. Dzięki nagłemu objawieniu wiedział, że Róża Fröhlich jest ową bosonogą tancerką, o której teraz tyle mówiono. Przyjechała podobno i produkowała się w sali Towarzystwa Ducha Obywatelskiego. Unrat przypomniał sobie wyraźnie, jak starszy nauczyciel Wittkopp, członek tego towarzystwa, opowiadał o tym. W pokoju nauczycielskim podszedł do swojej szafki ściennej, otworzył ją, włożył do niej paczkę zeszytów z ćwiczeniami i rzekł przy tym:

— Będziemy więc tu mieli teraz także ową słynną Różę Fröhlich, która bosymi stopami wykonuje greckie tańce.

Unrat widział przed sobą Wittkoppa, jak sobie dodawał powagi, z pychą spoglądał ponad binoklami i wysuwał wargi, mówiąc: „Róża Fröhlich". Bez wątpienia, powiedział: Róża Fröhlich. Unrat słyszał przecież każdą z tych czterech sylab, wypowiedzianą sztuczną mową Wittkoppa z szorstkim r. Powinien to sobie był wcześniej przypomnieć! Niewątpliwie bosonoga tancerka Fröhlich przybyła już, a uczeń Lohmann nawiązał z nią kontakt. Unrat był na najlepszej drodze, aby ich oboje „złapać".

Dotarł do Siebenbergstrasse, przebiegł ją już w połowie, gdy nagle opadła hałaśliwie żaluzja na jakimś oknie wystawowym, a Unrat przystanął zdruzgotany o kilka kroków od tego miejsca. Gdyż żaluzja ta należała do właściciela sklepu z instrumentami muzycznymi, Kellnera, który przy takich sposobnościach sprzedawał bilety. Zdawało się, że Unrat nie dogoni już dzisiaj pary, którą ścigał.

Mimo to nie mógł sobie wyobrazić, że pójdzie teraz do domu i zje kolację. Ogarnęła go gorączka polowania. Udzielił sobie jeszcze kilku minut wolności, wykonał ostatnią drogę okrężną. Koło Rosmarinweg zatrzymał się przejęty przed wydeptanymi schodkami drewnianymi. Wznosiły się one stromo do wąskich drzwi sklepowych z napisem:

„Johannes Rindfleisch, majster szewski". Wystawy nie było; za szybami dwóch małych okien stały doniczki z kwiatami. Unrat ubolewał, że opatrzność nie sprowadziła go już wcześniej tutaj, do domu sprawiedliwego i rzetelnego człowieka, herrnhutczyka[18], w którego ustach nie zabrzmiało nigdy obelżywe słowo, który nigdy nie skrzywił się niechętnie i który bez sprzeciwu udzieli mu informacji o artystce Fröhlich!

Otworzył drzwi. Zabrzmiał dzwonek, a ton jego drgał przyjaźnie. Warsztat, uprzątnięty czysto, spowity był w półmrok. W obramieniu drzwi do sąsiedniego pokoju widać było łagodnie oświetlony obraz rodziny szewca przy wieczerzy. Czeladnik żuł u boku córki pana domu. Małym dzieciom dawała matka kartofli i surowej kiełbasy. Ojciec postawił brzuchatą butlę ciemnego piwa obok lampy, wstał i spojrzał na klienta.

— Dobry wieczór, panie profesorze. — Starannie przełknął najpierw kęs. — I czym mogę służyć?

— Tak — odparł Unrat, z niepewnym uśmiechem zatarł ręce i przełknął, z pustym gardłem.

— Niech pan wybaczy — dodał szewc — że tu już ciemno zupełnie. Punkt o siódmej robimy *fajerant*[19]. Reszta wieczora należy do Pana. Kto by jeszcze wtedy pracował, na dzieło jego nie spłynie błogosławieństwo.

— To może być *owszem z jednej strony*... zupełnie słuszne — wyjąkał Unrat.

Szewc podniósł głowę wyżej. Miał kościste ramiona, a pod skórzanym fartuchem spiczasty brzuch. Siwiejące kosmyki, nieco tłustawe, okalały łukiem jego długą, ołowianą twarz, której policzki przechodziły w klinowatą brodę i która uśmiechała się wolno. Rindfleisch nieustannie splatał palce nad brzuchem, rozsuwał je i łączył znowu.

— Ale to nie jest z drugiej strony wszelako powodem, dla którego przychodzę — oświadczył Unrat.

— Pan profesor, dobry wieczór panu profesorowi — rzekła szewcowa od progu i dygnęła. — Czego stoisz z panem profesorem po ciemku, Johannes, wpuśćże go. Panie profesorze, nie weźmie nam pan za złe, że jemy surową kiełbasę.

— Dalekie to ode mnie, poczciwa kobieto.

Unrat zdecydował się na ofiarę.

— Majstrze Rindfleisch, ubolewam, że panu przerwałem posiłek, ale przechodziłem właśnie i przyszło mi na myśl, żeby mi pan... *baczność więc tedy*!... zdjął miarę na parę trzewików.

— Do usług pana profesora — i kobieta dygnęła — do usług.

Rindfleisch zastanowił się; potem zażądał lampy.

— No to zostaniemy wszyscy przy jedzeniu po ciemku — zauważyła kobieta wesoło. — Nie, panie profesorze, niech pan wejdzie, zapalę dla pana światło w niebieskim pokoju.

Poszła pierwsza do izby, gdzie było zimno, i na cześć Unrata zapaliła dwie nietknięte różowe świece, które odbijały się w lustrze nad swymi wygiętymi ramionami, mając u boków dwie wielkie muszle. Pod jaskrawo niebieskimi ścianami stały w niedzielnej postawie pradziadowskie meble mahoniowe. Na szydełkowej kapie kanapy błogosławiący Chrystus wyciągał biszkoptowe ramiona.

Unrat zaczekał, aż pani Rindfleisch wyszła. Gdy miał już szewca za zamkniętymi drzwiami i niejako w swojej mocy, zaczął:

— Naprzód więc tedy, teraz musi pan pokazać, że pan, który wykonał niektóre drobne roboty ku zadowoleniu nau... ku memu zadowoleniu, potrafi też stworzyć przyzwoitą parę trzewików.

— O tak, panie profesorze, o-o-och tak — odpowiedział Rindfleisch pokornie i gorliwie, jak prymus.

— Aczkolwiek bądź co bądź posiadam już dwie pary, to jednak przy panującej obecnie wilgoci nikomu nie może być za wiele dobrego, ciepłego obuwia.

Rindfleisch uklęknął, zdejmując miarę. Miał ołówek między zębami i mruczał tylko.

— Z drugiej strony jest to pora roku, która zazwyczaj wnosi do miasta coś nowego, nieco... *owszem na pewno*... rozrywki duchowej. Tego bo też istotnie człowiekowi potrzeba.

Rindfleisch podniósł wzrok.

---

[18] *herrnhutczycy* — sekta protestancka „Braci Morawskich". [przypis tłumacza]

[19] *fajerant* — dziś częściej: fajrant; koniec dnia pracy. [przypis edytorski]

— Niech pan to jeszcze raz powtórzy, panie profesorze. Tak tak taak, tego człowiekowi potrzeba. I o tym wie także nasza gmina braterska.

— Tak, tak — rzekł Unrat. — Ale mam na myśli odwiedziny wybitnych, wyróżniających się pośród ludzi jednostek.

— O tym i ja myślę, panie profesorze, i myśli też o tym nasza gmina; to też zbiera nas braci jutro wieczorem na modlitwę ze słynnym misjonarzem. Tak, o taak.

Unratowi trudno było przejść do artystki Fröhlich. Zastanawiał się przez chwilę, a nie znajdując drogi okrężnej, poszedł prosto.

— Także w Towarzystwie Ducha Obywatelskiego ukaże się nam niezadługo... *ciągle raz po raz*... pewna sława. Pewna artystka... słyszał pan pewnie o niej, podobnie jak wszyscy, majstrze.

Rindfleisch milczał, a Unrat czekał niecierpliwie. Był przekonany, że to, czego mu potrzeba, tkwi w tym klęczącym człowieku, trzeba to tylko wydobyć z niego. Artystka Fröhlich figurowała w gazecie, omawiana była w pokoju nauczycielskim, wisiała w oknie u Kellnera. Całe miasto wiedziało o niej, prócz Unrata. Każdy inny miał więcej od Unrata znajomości spraw świeckich i osób: nie zdając sobie z tego sprawy, piastował to przekonanie; i z pełnym zaufaniem zwracał się do szewca herrnhutczyka po informacje o tancerce.

— Tańczy ona, majstrze. Tańczy w Towarzystwie Ducha Obywatelskiego. Ejże, to dopiero ludzie będą się zbiegali.

Rindfleisch skinął głową.

— Ludzie nie wiedzą, panie profesorze, gdzie mają biec — rzekł głosem stłumionym i znacząco.

— Tańczy wszak boso, to przecież szczególna zdolność, majstrze.

Unrat nie wiedział, w jaki jeszcze sposób zachęcić ma tego człowieka.

— Niech pan tylko pomyśli: boso!

— Boso — powtórzył szewc. — O-o-och! Takoż tańczyły kobiety Amalekitów, które tańczyły przed bałwanami.

I wybuchnął pustym śmiechem, tylko z pokory, że on, nieuczony człowiek, poważył się zdobić swoją mowę słowami Pisma.

Unrat kręcił się z udręką, jak przy tłumaczeniu ucznia, który się jąkał i za chwilę mógł utknąć. Uderzył pięściami w poręcze fotelu i zerwał się.

— Więc niech pan da spokój z mierzeniem, majstrze, i niech mi pan powie... *naprzód więc tedy*!... czy bosonoga tancerka Fröhlich już przybyła! Pan to przecież powinien wiedzieć!

— Ja, panie profesorze? — i Rindfleisch wstał zakłopotany. — Ja... o tancerce?

— Przez to nie stanie się pan gorszy — twierdził Unrat niecierpliwie.

— O-o-och, daleką niechaj będzie ode mnie pycha duchowa i wyrozumiałość względem siebie. A miłość w Panu, panie profesorze, niechaj będzie we mnie dla tej mojej bosonogiej siostry, o taak, będę błagał, aby Pan uczynił jej to, co uczynił grzesznicy Magdalenie.

— Grzesznicy? — zapytał Unrat z wyższością. — Dlaczego uważa pan artystkę Fröhlich za grzesznicę?

Szewc spojrzał cnotliwie na naoliwioną podłogę.

— Ejże — ciągnął Unrat, coraz bardziej niezadowolony z majstra — gdyby pańska żona, albo pańska córka chciały rozpocząć tryb życia artystki, toby im... *owszem więc tedy*... nie odpowiadało. Natomiast bywają sfery i zasady moralne... ale dość o tym.

I wykonał ręką ruch, który wskazywał, że poruszono tu w „tercji" przedmiot, który należał co najmniej do „primy".

— I żona moja jest grzesznicą — rzekł szewc cicho, splótł palce nad żołądkiem i podniósł oczy ze wzrokiem kajającego się. Seks, Pobożność

— A ja sam muszę mówić: Panie nad Pany. Gdyż grzesznikami cielesnymi jesteśmy aż nadto.

Teraz zdumiał się Unrat.

— Pan i pańska żona? Jesteście przecież prawnie zaślubieni?

— O o oh taak, to prawda. Ale grzechem cielesnym, panie profesorze, pozostaje to mimo wszystko, a Bóg zezwala na to tylko...

Herrnhutczyk wyprostował się do wypowiedzenia czegoś ważnego. Oczy jego zaokrągliły się i pobladły zupełnie z tajemniczości.

— No? — zapytał Unrat wyrozumiale.

A szewc, szeptem:

— Inni ludzie nie wiedzą, że Bóg zezwala na to tylko dlatego, aby mieć w niebie więcej aniołków.

— Tak, tak — rzekł Unrat — to przecież *owszem* bardzo piękne.

I z podstępnym uśmiechem spojrzał na rozświetloną twarz szewca.

Ale stłumił wnet szyderstwo i skierował się do odejścia. Począł wierzyć, że Rindfleisch istotnie nie wie nic o artystce Fröhlich. Szewc powrócił do świata ziemskiego i zapytał, jakie wysokie mają być cholewki. Unrat odpowiedział niedbale i z niewielką też życzliwością pożegnał rodzinę Rindfleischów. Po czym szybko ruszył ku domowi.

Gardził Rindfleischem. Gardził niebieskim pokojem, ciasnotą tych duchów, tymi pokornymi duszami, tą pietystyczną przesadą i zapamiętałością moralną. I w domu Unrata wyglądało raczej skromnie; ale posiadał on natomiast w głowie możliwość dyskutowania z licznymi starożytnymi książętami ducha, gdyby kiedy powrócili, w ich własnym języku o gramatyce ich dzieł. Był ubogi, nieuznany; nie wiedziano, jak ważną pracę tworzył od dwudziestu lat. Kroczył wśród tego ludu niepozorny, wyśmiewany nawet — ale w świadomości swej należał do panujących. Żaden bankier i żaden monarcha nie posiadał większego udziału w potędze, nie był bardziej zainteresowany w zachowaniu porządku rzeczy, niż Unrat. Stawał gorliwie w obronie wszelkich autorytetów, w odosobnieniu swego gabinetu srożył się potajemnie przeciwko robotnikom — którzy, gdyby osiągnęli swoje cele, prawdopodobnie sprawiliby także, że i Unrat byłby sowiciej opłacany. Młodych pomocników nauczycieli, lękliwszych jeszcze niż on, wobec których odważał się mówić, ostrzegał posępnie przed fatalnym dążeniem ducha współczesnego do wstrząsania podstawami. Pragnął usilnie: wpływowego kościoła, mocnej szabli, bezwzględnego posłuszeństwa i zesztywniałych obyczajów. A przy tym był absolutnie niewierzący i wobec siebie samego zdolny do najdalszego wolnomyślicielstwa. Ale jako tyran wiedział, jak się utrzymuje niewolników; jak należy poskramiać motłoch, wroga, pięćdziesiąt tysięcy miejscowych uczniów, którzy go dręczyli. Lohmann zdawał się być w stosunkach z artystką Fröhlich; Unrat zaczerwienił się na myśl o tym, gdyż nie mógł się nie zaczerwienić. Ale przestępcą stawał się uczeń Lohmann przez to dopiero, że przy zakazanych przyjemnościach wymykał się spod surowej dyscypliny nauczyciela. Nie prostota obyczajów skłaniała Unrata do gniewu...

Nauczyciel, Pozycja społeczna, Władza, Polityka

Dotarł do swego mieszkania i na palcach przemknął się obok kuchni, gdzie gospodyni, oburzona na jego spóźnienie, brząkała garnkami. Potem dostał na kolację surowej kiełbasy z kartoflami. Były rozgotowane, ale zimne. Unrat nie ważył się powiedzieć na to ani słowa; dziewczyna ta natychmiast wsparłaby ręce na biodrach. Unrat chciał ją uchronić przed buntem przeciwko panu.

Sługa, Pan, Bunt

Po jedzeniu stanął przed swoim pulpitem. Ze względu na krótkowzroczność Unrata był on niezwykle wysoki; a trzydziestoletni wysiłek, aby oprzeć na nim prawą rękę, wykrzywił Unratowi ramię. „Prawdą jest tylko przyjaźń i literatura", powiadał przy tym zazwyczaj. Zdanie to podchwycił gdzieś i przyswoił sobie; czuł potrzebę powtarzania go sobie w myśli, ilekroć zabierał się do pracy. Co powinien rozumieć pod przyjaźnią, nie dowiedział się nigdy. Ale literatura! To było przecież jego ważne dzieło, o którym ludzie nic nie wiedzieli, które dojrzewało tutaj w ciszy od długiego czasu i które może kiedyś, wzbudzając podziw, wykwitnie z pieczary Unrata. Traktowało ono o partykułach[20] u Homera!... Ale zeszyt Lohmanna leżał obok i nie pozwalał mu się skupić. Musiał sięgnąć po niego i myśleć o artystce Fröhlich. Było coś, co go bardzo niepokoiło: nie był już pewien, że słynna bosonoga tancerka nazywała się Róża Fröhlich. Ta panna Fröhlich mogła być kimś zupełnie innym. Tak, była kimś zupełnie innym: po zastanowieniu stało się to dla Unrata pewnym. Ciągle jeszcze musiał ją odszukać, aby „przyłapać" ucznia Lohmanna.

[20] *partykuła* — nieodmienna część mowy pozbawiona samodzielnego znaczenia, wpływająca na znaczenie zdania (wprowadza przypuszczenie, wzmocnienie, negację itp.), np. już, no, nie, zaiste, wprawdzie, by. Profesor nadużywa ich w swoich wypowiedziach, często zamiast właściwej treści, jak w poniższym akapicie: „To by przecież owszem... zaprawdę..." i „Więc tedy naprzód!". [przypis edytorski]

W walce z tym nędznikiem czuł się znowu odepchnięty daleko i dyszał w samotnym podnieceniu.

Nagle rzucił się ku swojej pelerynie i wypadł z domu. Brama zamknięta już była na łańcuch: Unrat szarpał go jak zbieg. Gospodyni złorzeczyła, słyszał, jak się zbliża. W lęku ostatniej minuty wykonał prawidłowy ruch, drzwi otwarły się, znalazł się w ogródku przed domem i na ulicy. Aż do bramy miejskiej na zmianę to biegł kłusem, to szedł przyśpieszonym krokiem; potem pohamował się, ale serce jego biło. Czuł się samotny, jak na zakazanych drogach. Szedł przez opustoszały szereg ulic, przez góry i doliny, ciągle prosto przed siebie. Zaglądał w uliczki i zaułki, zatrzymywał się przed gospodami i z naprężoną nieufnością podnosił wzrok ku oknom, za których zasuniętymi storami zdawał się migotać promień światła. Szedł po ciemnej stronie, na przeciwnym chodniku leżał jasny księżyc. Niebo było rozgwieżdżone, wiatr nie wiał już, a kroki Unrata rozlegały się echem. Przy ratuszu skręcił na rynek i okrążył go pod drzewami. Łuki, wieże, studnie rysowały się otoczonymi gałęźmi sylwetkami na tle gotyckiej nocy księżycowej. Zagadkowe podniecenie ogarnęło Unrata; powtarzał raz po raz: Noc, Miasto

„To by przecież owszem... zaprawdę..." i „Więc tedy naprzód!".

Badał przy tym gorliwie każde z oddzielna okno poczty i urzędu policyjnego. Ponieważ uznał za nieprawdopodobne, aby artystka Fröhlich ukrywała się w tych budynkach, powrócił na opuszczoną wcześniej ulicę. O kilka kroków dalej połyskiwała szeroka szyba lokalu, w którym wielu kolegów Unrata zbierało się co wieczór na piwo. Na firance zarysowała się czarno nakreślona, o ostrej bródce i poruszająca ustami głowa jednego z nauczycieli, bardzo nikczemnego, który odmawiał Unratowi respektu, gdyż daje on rzekomo powód do rozluźnienia dyscypliny w szkole, i który oburzał się zbożnie na syna Unrata. Unrat przyjrzał się w zadumie temu doktorowi Hübbenettowi: jak on mówił prosto z brody, jak lubił żłopać piwo, jakim był zwyczajnym Michałkiem![21] Unrat nie miał z tymi ludźmi w lokalu nic wspólnego, zupełnie nic; uświadomił to sobie teraz, ku swojej satysfakcji. Siedzieli tam sobie razem i byli w porządku: on zaś wydawał się sobie wątpliwym poniekąd i że tak rzec odtrąconym. A myśl o nich nie była już dla niego złym żądłem. Skinął głową cieniowi nauczyciela, wolno i z lekceważeniem — i poszedł dalej.

Miasto kończyło się znowu. Zawrócił, skierował się na Kaiserstrasse. U konsula Breetpoota musiał być bal; wielki dom był cały oświetlony, nieustannie zajeżdżały powozy. Lokaj i chmara służących wyskakiwali, otwierali drzwiczki, pomagali przy wysiadaniu. Jedwabne suknie szeleściły na progu. Jakaś dama zatrzymała się, z łagodnym uśmiechem wyciągnęła rękę do młodzieńca, który przyszedł pieszo. Unrat poznał w pięknym mężczyźnie w cylindrze młodego nauczyciela Richtera. Słyszał, jak opowiadano, że Richter znajduje się na drodze do bogatego ożenku, z panną z eleganckiej rodziny, do jakiej zazwyczaj nauczyciele nie mają dostępu. I Unrat, stojąc w mroku, zaśmiał się do siebie.

— Ejże, ambitny on jest... *zaprawdę wszak*... rzekł.

Sam ubrany w zabłoconą pelerynę, szydził z tego wystrojonego, obiecującego człowieka, jak opryszek, który przyczajony i groźny przygląda się z cienia pięknemu światu i obmyśla jego zagładę, jakby konstruował bombę. Czuł się o wiele wyższy od Richtera, wesoło mu było na duchu; radował się cicho i rzekł, nie rozumiejąc siebie samego:

— Panu mogę jeszcze porządnie zaszkodzić na drodze. Już ja pana... *zawsze raz po raz*... wpakuję, niech pan to sobie zapamięta!

Idąc dalej, bawił się znakomicie. Gdy napotykał znowu tabliczkę na drzwiach z nazwiskiem jakiegoś kolegi lub byłego ucznia, myślał: „Pana złapię jeszcze kiedy", i zacierał ręce. Zarazem z ukradkowym porozumieniem uśmiechał się do czcigodnych domów ze szczytowymi dachami, gdyż był przeświadczony, że w jednym z nich ukrywa się artystka Fröhlich. Podnieciła go ona dziwnie, podrażniła, wytrąciła z równowagi. Pomiędzy nią a Unratem, który skradał się za nią szlakiem nocnym, powstał rodzaj łączności. Uczeń Lohmann był drugą sztuką zwierzyny: by tak rzec, Indianinem z innego plemienia. Gdy Unrat wyruszał ze swymi uczniami na wycieczkę szkolną, musiał niekiedy brać udział w zabawie w zbójców i żołnierzy. Stał na wzgórzu, wyciągał pięść w niebo i komenderował: „Dzielnie naprzód, teraz obecnie!" i szczerze się przejmował utarczką, jaka następo-

[21] *Michałek — Michel*, przezwisko jakie Niemcy sami sobie nadają. [przypis tłumacza]

wała. Gdyż to było poważne. Szkoła i zabawa były życiem... A dzisiejszej nocy grał Unrat Indianina na ścieżce wojennej.

Popadał w coraz pochutliwsze napięcie. Nieokreślone kształty w cieniu budziły w nim lęk i łaskotki; każdy róg ulicy kusił straszliwie. Jak poszukiwacz przygód zapuszczał się w wąskie boczne uliczki, usłyszawszy szept z jakiegoś okna, z biciem serca zwolnił kroku. Tu i ówdzie za zbliżeniem się jego cicho otwierały się drzwi, raz wyciągnęło się ku Unratowi różowo ubrane ramię. Uciekł, przeniknięty dreszczem, i nagle ujrzał się w porcie — po raz drugi dzisiaj, a przecież latami całymi nie bywał w tej okolicy. Okręty piętrzyły się czarno, pod potokami poświaty księżycowej. Unratowi przyszło na myśl, że artystka Fröhlich jest tam, że śpi w kajucie; przed brzaskiem porannym rozlegnie się wycie syreny i artystka Fröhlich odjedzie w dalekie kraje. Na to wyobrażenie wzmogła się w Unracie żądza działania, wmieszania się. Dwaj robotnicy zbliżyli się, jeden z prawej strony, drugi z lewej. Tuż obok Unrata spotkali się, i jeden rzekł:

— No, dokąd to idziesz, Klaas?

Drugi odpowiedział ponuro i basem:

— Golnąć sobie.

Unrat musiał się zastanowić nad tymi słowami: gdzie już je dzisiaj słyszał i co one znaczyły. Gdyż przez ciąg dwudziestu sześciu lat nie nauczył się rozumieć gwary. Przez liczne błotniste przecznice szedł za dwoma proletariuszami i ich skarbnicą mowy, którą należało odgadnąć. Na szerszej nieco ulicy skierowali się oni łukiem ku obszernemu domowi o olbrzymich wrotach, nad którymi przed obrazem błękitnego anioła kołysała się latarnia; Unrat dosłyszał muzykę. Robotnicy znikli w bramie, jeden nucił. Unrat spostrzegł przy wejściu kolorowy afisz i przeczytał go. Zapowiadał on „produkcję wieczorową". Gdy Unrat był właśnie pośrodku, natknął się na coś, co spowodowało u niego przyśpieszony oddech i wystąpienie potu. W trwodze i nadziei, że mógł się omylić, zaczął jeszcze raz od początku. Nagle porwał się i wpadł do domu, jak w przepaść.

Rozdział czwarty

„Sień" była potwornie szeroka i długa, prawdziwa sień mieszczańskiego domu, gdzie zajmowano się tylko „pobocznymi sprawami". Z lewej strony dochodziło z półotwartych drzwi brząkanie garnków i odblask płomienia. Nad wejściem z prawej napisane było „Sala"; a za tymi drzwiami była stłumiona wrzawa głosów, z której niekiedy wydobywał się jeden bardzo jaskrawy. Unrat wzdrygnął się, zanim nacisnął klamkę; czuł, że spełnia czyn, brzmienny w skutki... Bardzo tęgi, zupełnie pozbawiony włosów, niski mężczyzna, który roznosił piwo, wyszedł mu naprzeciw. Unrat zatrzymał go.

— Przepraszam — wyjąkał — czy mogę mówić z artystką Fröhlich?

— Co pan z nią będzie mówił? — zapytał mężczyzna. — Ona teraz nie mówi: śpiewa teraz. Niech pan posłucha.

— Pan jest pewnie gospodarzem Błękitnego Anioła? No, to rzeczywiście bardzo dobrze. Ja jestem mianowicie profesor Raat z tutejszego gimnazjum i przychodzę z powodu pewnego ucznia, którego powinienem tutaj znaleźć. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on jest?

— Teek, panie profesorze, no to idź pan od razu na chwileczkę do tylnego pokoju, do artystów, młodzi panowie zawsze tam siedzą.

— Widzi pan — rzekł Unrat surowo — od razu sobie to pomyślałem. Musi pan przyznać, człowieku, że to nie jest w porządku.

— Teek... — i gospodarz uniósł brwi — mnie to zupełnie wszystko jedno, kto płaci za dziewczęta kolację. Młodzi panowie zamówili nawet specjalnie wino, więcej rzeczywiście nie można wymagać. Jeżeli mam wyrzucać swoich klientów na łeb, to muszę chyba coś za to dostać.

Unrat ustąpił.

— Przeto więc niech tak będzie. Ale niech pan tam teraz zaraz idzie, człowieku, i sprowadzi mi tych smyków.

— Do diabła, panie, idź pan sam!

Ale odwaga Unrata skończyła się, wolałby był nie odkryć miejsca pobytu artystki Fröhlich.

— Czy muszę przejść przez salę? — zapytał lękliwie.

— Teek, inaczej nie może być, a potem do pokoju z tyłu, gdzie jest to okno, co je stąd widać, z czerwoną firanką.

Poszedł z Unratem kilka kroków w głąb bramy i wskazał mu dość duże okno, zawieszone od wewnątrz czerwoną tkaniną. Unrat chciał zajrzeć do wnętrza; tymczasem gospodarz powrócił ze swoim piwem do drzwi sali i otworzył je. Unrat podbiegł do niego z wyciągniętymi ramionami; prosił z wyrazem udręki:

— Drogi człowieku, niechże mi pan jednak sprowadzi tego ucznia!

Gospodarz, już wewnątrz sali, odwrócił się gburowato:

— Który to ma w ogóle być? Siedzi ich tam przecież trzech na kupie... Stary zrzęda — dodał i opuścił Unrata.

„Trzech?" chciał Unrat zapytać; ale i on znajdował się już na sali, ogłuszony wrzawą, oślepiony przez wściekle gorącą parę, która osiadła na jego okularach.

— Zamykać drzwi, bo przeciąg! — zawołano koło niego.

Przerażony począł szukać klamki, nie mógł jej znaleźć i słyszał, jak się śmiano.

— Bawi się w ciuciubabkę — rzekł ten sam głos.

Unrat zdjął okulary; drzwi były już zamknięte, uczuł się uwięziony i bezradnie zerkał dokoła.

— Człowieku, Laurenz, to przecież ten sprytny zuch, co to był dzisiaj po południu. Wiesz co, on przyszedł po *Heuerbasa*.

Unrat nie rozumiał nic, czuł tylko bunt dokoła siebie i przeciwko sobie. Gdy już wszystko waliło się na niego, odkrył przy stoliku tuż obok siebie wolne krzesło; wystarczyło tylko, aby usiadł. Uniósł kapelusza i zapytał:

— Pan pozwoli?

Przez chwilę czekał na odpowiedź, potem siadł. Natychmiast uczuł się pogrążony w tłumie, uwolniony od swego dręczącego wyjątkowego stanowiska. Za chwilę nikt nie zwracał na niego uwagi. Muzyka zagrała znowu; sąsiedzi jego śpiewali wraz z nią. Unrat przetarł szkła okularów i starał się zorientować w sytuacji. Poprzez opary fajek, ciał i szklanek z grogiem widział niezliczone głowy, opętane wszystkie tą samą radością, kiwające się tam i sam, jak chciała muzyka. Włosy i twarze były czerwone, żółte, brunatne, ceglaste, a kołysanie się tych mózgów, wtłoczonych przez muzykę w życie instynktu, szło niby wielki, kolorowy zagon tulipanów na wietrze przez całą salę, aż ginęło gdzieś w głębi w dymie. Tam w głębi tylko coś błyszczącego przebijało się poprzez dym, przedmiot w bardzo silnym ruchu, coś, co miotało dokoła rękoma, ramionami czy nogami, jakimś kawałem świeżego ciała, opromienionym przez jasny reflektor, i ciemno rozwierało usta. Śpiew tej istoty ginął pod dźwiękami fortepianu i głosami gości. Ale Unrat miał wrażenie, jakby ta osoba sama była z wejrzenia niby skrzeczenie. Niezmiernie cienki ton, niedający się zabić najgłośniejszym grzmotem, wydobywał się z niej niekiedy. Artysta, Karczma

Gospodarz postawił przed nim szklankę i chciał odejść. Unrat przytrzymał go za połę.

— Baczność więc tedy, człowieku! Czy może ta śpiewaczka jest panną Różą Fröhlich?

— Teek, to właśnie ona. Ano, niech się pan zabawi, jak pan tu już jest.

I gospodarz uwolnił się.

Wbrew wszelkiemu rozsądkowi miał Unrat nadzieję, że to może jednak nie ona, że uczeń Lohmann nigdy nie przestąpił progu tego domu, a Unrat jest przez to wolny od obowiązku działania. Ujrzał nagle możliwość, że wiersz w zeszycie Lohmanna był czystą poezją, a artystka Fröhlich nigdy nie istniała. Unrat uczepił się tej chwiejnej myśli, dziwiąc się, że tak późno na nią wpadł. Łyknął piwa.

Sąsiad jego powiedział *prosit*[22]. Był to starszy mieszczuch, z brzuchem spowitym w wełnianą koszulę, nad którą kamizelka była szeroko odpięta. Unrat obserwował go długo z ukosa. Mieszczuch pił i zacną dłonią otarł wilgotne, żółtawobiałe wąsy. Unrat odważył się:

— Więc to zatem tedy panna Róża Fröhlich śpiewa nam coś teraz, prawda, poczciwy człowieku?

Ale w tej chwili rozległy się oklaski, gdyż artystka skończyła właśnie piosenkę. Unrat musiał zaczekać, a potem zapytać jeszcze raz.

[22]*prosit* (niem. z łac.) — na zdrowie (toast). [przypis edytorski]

— Fröhlich? — rzekł mieszczuch. — Hę, skądże ja mam wiedzieć, panie, jak się te wszystkie dziewki nazywają. Tu przecież co krok to taka buda.

Unrat chciał powiedzieć z przyganą, że napisane to jest przed wejściem — ale w tej chwili fortepian zaczął znowu grać, nieco mniej głośno, i Unrat mógł odróżnić kilka słów, przy których osoba ta unosiła spódnicę i przebiegle a wstydliwie przyciskała ją do policzka.

— Że jestem jeszcze taka maała i taka niewihinna.

Unrat uznał to za głupotę i skojarzył z bezmyślną odpowiedzią, jaką otrzymał od sąsiada. Powstawało w nim przykre uczucie: świadomość, że przeniesiony został do świata, który był zaprzeczeniem jego samego, i wstręt, pochodzący z samej jego głębi, wstręt przed ludźmi, którzy nie brali do ręki nic drukowanego, którzy siedzieli na koncercie i nie czytali programu! Dręczyło go, że mogło tu siedzieć razem kilkaset osób, które nie „uważały", nie „myślały trzeźwo", lecz przeciwnie, oszołamiały się i bez wstydu i lęku zajmowały się „pobocznymi sprawami". Pociągnął mocno ze szklanki. „Gdyby oni wiedzieli, kim jestem", pomyślał potem, przy czym świadomość własnego dostojeństwa stała się w nim mniej przekorna, bardziej łagodna i nieco mętna — tknięta powiewem tych gorących oparów ludzkich. Świat cofnął się w gęstszą mgłę, pełną niepewnych ruchów... Unrat otarł czoło; miał wrażenie, że owa osoba tam na górze wiele już razy zaśpiewała, że jest „maała i niewihinna"; teraz skończyła wreszcie, a sala biła brawo, klaskała, krzyczała i tupała. Nagle Unrat klasnął kilka razy, tuż przed swymi oczyma, które spoglądały na to ze zdumieniem. Ogarnęła go silna, nierozważna, z wysiłkiem tylko dająca się poskromić chętka, aby obydwiema nogami zatupać w ziemię. Był dość silny, aby tego nie uczynić. Ale pokusa ta nie rozgniewała go jednak. Uśmiechnął się wesoło do siebie i stwierdził, że taki jest... *więc tedy owszem*... człowiek. „*Ciągle znowu raz po raz*... trawę żreć", dodał. „Ej, a jakże".

Śpiewaczka zeszła na salę. Obok estrady otworzyły się drzwi. Unrat skonstatował nagle, że ktoś mu się stamtąd przygląda. Jeden jedyny człowiek skierował ku niemu twarz; i ten człowiek stał wyprostowany i śmiał się; a był to... *niechybnie jednakże*... był to nikt inny, jak uczeń Kieselack!

Zaledwie zostało to stwierdzone, gdy Unrat zerwał się z miejsca. Miał wrażenie, że zapomniał się na chwilę — a uczniowie natychmiast wykorzystali to dla wybryków. Rozsunął ramiona dwóch żołnierzy, przepchnął się między nimi, posuwał się dalej naprzód. Kilku robotników oparło mu się, jeden bez słowa strącił mu kapelusz z głowy. Unrat włożył go z powrotem, okropnie wybrudzony; ktoś zawołał:

— Jasiu, zobacz no, co za kapelusz.

Kieselack w głębi sali śmiał się, a wesołość tak nim trzęsła, że pochylił się górną częścią ciała do przodu. Unrat posunął się jeszcze dalej naprzód; szczękał zębami w ogarniającym go zakłopotaniu. Ale zatrzymano go z tyłu. Przewrócił jakiemuś marynarzowi grog, żądano, aby zapłacił. Stało się to. Teraz miał przed sobą kilka kroków wolnej drogi. Rzucił się naprzód, a oczy jego, przerażone nadmiarem tej nikczemności, utkwione były nieustannie w Kieselacku, który się śmiał — wtem wpadł na coś miękkiego, i wysoka, bardzo tęga kobieta, nader skąpo ubrana pod brązowym płaszczem wieczorowym, który się rozchylił, skierowała ku niemu gniewną twarz. Mężczyzna, niemniej obfitych kształtów i przy starannej fryzurze ubrany także tylko w trykot z narzuconą na niego starą kurtką, nadszedł na to i przyłączył się do złorzeczeń. Unrat potrącił talerz, na który kobieta ta zbierała datki, kilka monet spadło. Szukano, Unrat schylił się także, zmieszany, ogłuszony. Obok jego głowy, która poruszała się nad podłogą, ludzie szurali nogami; skargi, szyderstwa, przekleństwa, nawet zuchwałe ręce napierały na niego. Unrat wyprostował się, zaczerwieniony, z dwufenigową monetą w palcach. Oddychał szybko, ślepym spojrzeniem błądził po otaczających go ludziach, którzy byli jego nieprzyjaciółmi. Po raz drugi dzisiaj czuł na twarzy krytyczny powiew buntu. Począł rozdawać zygzakiem szturchańce, na wszystkie strony, jak przeciw wielu nacierającym. W tej chwili ujrzał Kieselacka, leżącego nad wysoką skrzynią fortepianu, drgającego na całym ciele. Teraz usłyszał nawet jego śmiech. Wówczas ogarnęła Unrata oszołamiająca panika tyrana, który widzi, że motłoch jest w pałacu i wszystko stracone. W tym momencie wszelki gwałt wydawał mu się usprawiedliwiony, nie znał niemal granic. Krzyknął, a głos jego potęgował się:

— Do „kabufu"! Do „kabufu"!

Kieselack, który widział, że Unrat jest już blisko, usłuchał. Zniknął za drzwiami, które otworzyły się obok estrady. Zanim się Unrat opamiętał, stał i on w tych drzwiach. Ujrzał czerwoną firankę, a za nią sterczące ramię. Chciał się rzucić na nie; w tej chwili wykonano skok. Jak Unrat wyśledził, Kieselack pobiegł szybkim kłusem ku sieni. Na przodzie bramy ujrzał Unrat zupełnie wyraźnie znikającego drugiego; zdążył go jeszcze poznać: hrabia Erztum. Unrat odbił się palcami od ziemi; ale okno było za wysokie. Spróbował wdrapać się na nie. Wisząc w powietrzu na łokciach, usłyszał za sobą wysoki głos:

— Tylko odwagi, silny z pana przecież chłopak!

Zeskoczył na ziemię, odwrócił się: przed nim stała owa pstra osoba.

Unrat obserwował ją przez chwilę; szczęki jego poruszały się bezgłośnie. Wreszcie wyrzucił z siebie:

— Pani jest... *więc tedy owszem*... artystka Fröhlich?

— No tak — rzekła osoba.

Unrat wiedział o tym.

— I produkuje pani swoje sztuki w tej gospodzie?

I na to chciał jeszcze usłyszeć od niej samej potwierdzenie.

— Oryginalne pytanie — rzekła artystka.

— Więc tedy...

Unrat zaczerpnął powietrza; wskazał za siebie, na okno, przez które uciekli Kieselack i von Erztum.

— Niech mi pani powie... *wszelako teraz również*: czy pani to wolno?

— Co? — zapytała artystka zdumiona.

— To są uczniowie — rzekł Unrat; i jeszcze raz, z drżeniem, z głębi piersi:

— To są uczniowie.

— A niech tam. Ja przecież z tego nic nie mam.

Roześmiała się. Unrat wybuchnął przeraźliwie:

— A pani odciąga ich od szkoły i obowiązków! Pani ich uwodzi!

Artystka Fröhlich przestała się śmiać; skierowała palec wskazujący na swoją pierś.

— Ja? Czy panu nie brak klepki?

— A może pani zaprzeczy? — zapytał Unrat, gotów do walki.

— Przed kim? Bogu dzięki, nie potrzebuję. Jestem artystką, prawda? Będę pana prosiła o pozwolenie, czy panowie mogą mi składać w hołdzie bukiety.

Wskazała w kąt pokoju, gdzie przy pochylonym do przodu lustrze zatknięte były z prawej i lewej strony dwa wielkie bukiety. Wzruszyła ramionami:

— Jeżeli się nawet tego nie ma mieć, panie... kto pan w ogóle jest?

— Ja... ja jestem nauczycielem — rzekł Unrat, jakby wypowiadał sens i prawo świata.

— No tak — odpowiedziała artystka pojednawczo — no to może pan tak samo gwizdać na to, co uczniowie robią, jak ja.

Ten pogląd nie uzyskał wstępu do świadomości Unrata.

— Radzę pani — rzekł — niech pani opuści ze swoim towarzystwem to miasto, niech pani odchodzi stąd szybkimi marszami, gdyż inaczej... — podniósł znowu głos — ...uczynię wszystko, aby utrudnić pani karierę, jeżeli nie wręcz uniemożliwić ją. Postaram się... *zaprawdę tedy*... aby działalnością pani zainteresowała się policja.

Przy tym słowie zjawiła się nagle na twarzy artystki Fröhlich najbardziej niepohamowana pogarda.

— Żeby pan tylko sam nie musiał mieć z nią do czynienia, wygląda mi pan zupełnie na takiego ptaszka. Ja z nią jestem w porządku. W ogóle żal mi pana, panie!

Ale zamiast litości zdradzała coraz wyraźniejszy gniew.

— Chce się pan jeszcze narywać? Jeszcze się pan dotąd nie dość ośmieszył? Niech no pan idzie na policję, dobrze? Samego pana zaraz zatrzymają. Jakim to tonem ten człowiek się odzywa. Komiczne się to wydaje kobiecie, która przyzwyczajona jest do obcowania z eleganckimi kawalerami. A co pan myśli, gdybym tak wypuściła na pana któregoś z moich znajomych panów oficerów? Przetrzepaliby pana po prostu.

W tej chwili okazywała rzeczywiście wesołą litość.

Podczas jej przemówienia Unrat początkowo starał się jeszcze dojść do słowa. Z wolna jednak gotowe jego myśli, cisnące się już na usta, odepchnięte zostały przez potok jej mowy w głębinę, gdzie je sam zagubił. Znieruchomiał — nie była ona zbiegłym uczniem,

który chciał się opierać, a przez całe życie powinien się znajdować pod batem; tacy byli wszyscy w mieście, wszyscy obywatele. Nie, ona była czymś nowym. Ze wszystkiego, co powiedziała od chwili spotkania z nim, dobywał się teraz po czasie duch, który go owiewał; oszołamiający duch. Była ona obcą potęgą, najwidoczniej prawie równouprawnioną. Gdyby zażądała wreszcie odpowiedzi, nie potrafiłby jej dać. Powstało w nim coś innego: sprawiało to wrażenie szacunku.

— Ach, co tam... w ogóle — rzekła artystka lekceważąco, urwała i odwróciła się do niego tyłem.

Fortepian grał już znowu. Drzwi otworzyły się, wpuściły do pokoju tęgą kobietę, z którą Unrat zetknął się pierw, oraz jej męża i szybko zamknęły się znowu. Wieczorny płaszcz kobiety powiewał gniewnymi fałdami; postawiła talerz na stole.

— Nawet czterech marek nie ma — rzekł mężczyzna. — Nikczemne łajdaki.

Artystka Fröhlich powiedziała zimno i zgryźliwie:

— Przypatrzcie się temu panu, który chce nas oskarżyć przed policją.

Unrat jąkał się, przerażony przemocą. Kobieta odwróciła się jednym ruchem i zmierzyła go okiem. Unrat uznał wyraz jej twarzy za nieznośnie rozwiązły, zaczerwienił się, spuścił wzrok, natrafił nim na cielisto odziane łydki kobiety i wzdrygnąwszy się, odwrócił go znowu. Tymczasem mężczyzna rzekł, z widocznym wysiłkiem, zniżając głos do połowy natężenia:

— Ktoś tu pewnie narobił hecy, co? No, a ja już dawno przepowiadałem Róży, że kto chce być zazdrosny i innym niczego nie użycza, ten musi wylecieć ze świątyni. A to pan... o tych młodzieńców! Prawdopodobnie jest pan notowany w policji jako lubieżny starzec.

Ale żona jego trąciła go; wyrobiła ona sobie zupełnie odmienny sąd o Unracie.

— Cicho bądź, ten przecież nikomu nic nie zrobi.

A do Unrata:

— Trochę pana pewnie poderwało? Boże mój, czasem człowiek dostanie bzika, to się zdarza. Kiepert niech lepiej nic nie gada, zawsze mi piekło robi, wmawia sobie, że mu jestem niewierna. Niech no pan siada i wypije łyczek.

Zrzuciła z jednego z krzeseł suknie i kolorowe majteczki, wzięła ze stołu butelkę i nalała mu kieliszek. Unrat wypił, aby uniknąć dyskusji. Kobieta zapytała:

— Od kiedyż pan zna Różę? Nigdy pana przecież jeszcze nie widziałam?

Unrat powiedział coś, co jednak pochłonął fortepian. Artystka Fröhlich wyjaśniła:

— On jest nauczycielem tych chłopców, którzy mi tu zawsze przesiadują w garderobie.

— Ach tak, pan jest nauczycielem? — rzekł artysta. Pił również, mlaskał i odzyskał swą naturalną serdeczność.

— Panie, to pan jest mój człowiek. Będzie pan pewnie przy najbliższych wyborach głosował także na socjaldemokratów, co? Wie pan co, jeżeli my tego nie zrobimy, może pan czekać na podwyżkę pensji, aż pana wszy zjedzą. Z wolną sztuką jest zupełnie tak samo: prześladowania policyjne i brak pieniędzy. Nauka...

Wskazał na Unrata.

— ...i sztuka...

Wskazał na siebie.

— ...zawsze przechodzą te same kłopoty.

Unrat oświadczył:

— Jakkolwiek by to było, to w każdym razie myli się pan co do swego pierwszego przypuszczenia, człowieku, albowiem nie jestem nauczycielem ludowym, lecz profesorem doktorem Raatem z tutejszego gimnazjum.

Artysta rzekł tylko:

— No, *prosit*.

Niech się każdy nazywa, jak chce, a jeśli komuś podobało się grać profesora, nie było w tym powodu do nieprzyjaźni.

— Więc pan jest nauczycielem? — rzekła kobieta życzliwie. — To także gorzki chleb. Ileż pan już ma lat?

Unrat odpowiedział posłusznie jak dziecko:

— Pięćdziesiąt siedem.

— Ale się pan wybrudził! Niech no pan da swój kapelusz, oczyścimy go chociażby

Pozycja społeczna

z grubsza.

Wzięła mu z kolan kapelusz, otrzepała go, wygładziła nawet wstążkę i z zamiłowaniem wyprostowała go na głowie Unrata. Potem przyglądając się swemu dziełu, żartobliwie poklepała go po ramieniu. Unrat rzekł z krzywym uśmiechem:

— To pani... *aczkolwiek wszelako*... bardzo dzielnie zrobiła, poczciwa kobieto.

Ale odczuwał tym razem coś innego, niż niewesołe uznanie władcy dla spełnionego obowiązku. Czuł się tutaj potraktowany z dziwnym ciepłem przez ludzi, dla których mimo wymienienia swego tytułu zachował jeszcze pewnego rodzaju *incognito*. Nie brał im za złe braku respektu. Usprawiedliwiał ich: najwidoczniej brak im było „wszelkiej skali"; tym samym usprawiedliwiał Unrat ochotę, jakiej on sam doznawał, aby nie zważać na przekorę świata, porzucić swe zwykłe naprężenie — rozbroić się, choćby tylko na kwadransik.

Gruby mężczyzna wydobył spod pary kalesonów dwie flagi niemieckie, sapał przy tym i zerkał na Unrata, jakby był z nim w porozumieniu. Gruba kobieta utraciła całą grozę; Unrat miał czas zaobserwować, że pozorna rozwiązłość jej twarzy spowodowana była sztucznie czarną szminką. Tylko do artystki Fröhlich nie znajdował swobodnego stosunku. Stała ona jednak odwrócona i zajęta sobą; przyszywała do swojej zadartej sukni łańcuch kwiatów z jedwabiu.

Utwór fortepianowy zakończył się głośno. Zadzwoniono. Artysta rzekł:

— Musimy wychodzić, Gusta.

A do Unrata protekcjonalnie:

— Niech pan sobie popatrzy, panie profesorze, jak my pracujemy.

Zrzucił swoją starą kurtkę, żona jego płaszcz wieczorowy. Pogroziła jeszcze Unratowi palcem:

— Tylko przyzwoicie z Różą. Nie z takim znowu temperamentem, jak pierw.

Drzwi otwarto na wpół z zewnątrz, i Unrat ujrzał ze zdumieniem, jak para tęgich ludzi bezpośrednio wpadła we wdzięczny krok taneczny i odrzuciwszy ramiona w tył oraz przechyliwszy głowy, przybrała zachwycony sobą samymi uśmiech, który prowokował oklaski. Istotnie, zaledwie ukazali się na sali, rozległa się wesoła wrzawa.

Drzwi zamknęły się. Unrat został sam z artystką Fröhlich. Niepokoił się, co teraz nastąpi i toczył oczyma po pokoju. Brudne ręczniki leżały dokoła na podłodze, po drodze od lustra z bukietami aż do stołu, przy którym siedział. Prócz dwóch butelek wina stało na stole mnóstwo szklaneczek i puszek z rozmaitymi tłuszczami, których zapach roznosił się dokoła. Kieliszki do wina stały na kartkach nut. Unrat lękliwie odsunął swój od gorsetu, który tęga kobieta położyła obok niego.

Artystka Fröhlich szyjąc oparła nogę na jednym z krzeseł, pokrytych awanturniczymi częściami garderoby. Unrat nie widział tego sam: na tak wiele się nie ważył; dowiedział się o tym za pośrednictwem lustra, do którego była zwrócona. Pierwsze lękliwe spojrzenia Unrata w tym kierunku zdradziły mu, że jej długie, bardzo długie czarne pończochy pokryte były fioletowym haftem. Przez pewien czas nie ważył się Unrat na nic więcej. Potem uczynił bojaźliwe odkrycie, że jej suknia jedwabna, połyskująca niebiesko między oczkami czarnej siatki, nie sięgała nawet pod pachy i że ilekroć podnosiła igłę z nitką wysoko w powietrze, we wgłębieniu pod jej ramieniem ukazywało się coś jasnowłosego. Potem Unrat nie patrzał już w tę stronę...

Cisza przytłaczała go. I na sali było znacznie ciszej niż pierw. Tylko krótkie, zdławione dźwięki, nieco zachrypłe i otłuszczone, jak pochodzące od tęgich ludzi, którzy się zapracowywali. A teraz zupełne milczenie; pośród niego stękanie i szczęk czegoś metalicznego, co zginano. Coś trudnego do określenia, jak oddech tłumu. Nagle słowo „dość" i dwa ciężkie klapsy, jeden po drugim. I z wybuchającej wrzawy oklasków: „Do pieruna!" i „A niechże go!".

— To było dobrze zrobione — rzekła artystka Fröhlich i zdjęła nogę z krzesła. Była gotowa.

— No a pan? Nic pan już przecież nie mówi.

Unrat musiał spojrzeć w jej stronę; ale stropiła go znowu swoją barwnością. Włosy jej były czerwonawe, właściwie różowe, prawie lila, i zawierały wiele szlifowanych zielonych szkiełek, ujętych w wygięty diadem. Brwi nad sucho niebieskimi oczyma były bardzo czarne i śmiałe. Ale blask pięknych barw na jej twarzy, czerwonych, niebieskawych, perłowo-białych, ucierpiał od kurzu. Fryzura wyglądała na zapadłą i jakby z jej siły świetlnej

uleciało coś do zadymionej sali lokalu. Niebieska wstążka na jej szyi zwisła bezwładnie, jedwabne kwiaty wokół jej ciała kiwały martwymi główkami. Lakier odpadał z jej pantofli, na pończochach miała dwie plamy, a jedwab jej krótkiej sukni połyskiwał ze zmatowiałych fałd. Słabo zaokrąglone, lekkie ciało jej rąk i ramion wydawało się wytarte, mimo białości, która za każdym ruchem opadała z niego pyłem. Twarz jej znał Unrat jako bardzo wyniosłą, z wrogimi rysami, które artystka Fröhlich niekiedy z łatwością wygładzała i o których zapominała. Roześmiała się, ze świata, z siebie samej.

— A przedtem był pan jeszcze taki ożywiony — dodała.

Ale Unrat nadsłuchiwał. Nagle wykonał sztywny skok, jak stary kot. Artystka Fröhlich umknęła z głośnym piskiem. Unrat szarpnął czerwone okno... Nie, głowy, której kontur spostrzegł za firanką, już nie było.

Powrócił.

— Straszy pan przecież ludzi — rzekła artystka Fröhlich.

Unrat rzekł, nie usprawiedliwiając się, do rzeczy:

— Zna pani pewnie wielu młodzieńców z tutejszego miasta?

Artystka lekko kołysała się w biodrach.

— Jestem uprzejma dla każdego, kto jest wobec mnie przyzwoity.

— Ejże, *istotnie*. To by było przecież dobrze. A uczniowie z gimnazjum mają *zaiste* dość piękne obyczaje?

— Czy pan sobie myśli, że ja tu dzień w dzień siedzę z całą pańską klasą? Nie jestem przecież guwernantką.

— To co prawda oczywiście nie.

Pomocnie, tonem upomnienia dodał:

— Przeważnie noszą czapki.

— Kiedy noszą czapki, poznaję ich. W ogóle nie jest się przecież bez doświadczenia.

Podchwycił:

— Nie, bez doświadczenia nie jest pani chyba z pewnością.

Artystka natychmiast przyjęła postawę obronną.

— Jak pan to rozumie, proszę?

— Mam na myśli znajomość ludzi...

Zwrócił do niej płaszczyznę podniesionej dłoni, przerażony i prosząc o pokój.

— Znajomość ludzi mam na myśli. Nie każdy ją posiada; jest ona trudna... i gorzka.

Aby nie stracić jej przychylności, aby się zbliżyć do niej, gdyż potrzebował jej, gdyż napawała go lękiem, wyznawał coś ze swoich myśli, więcej niż zazwyczaj ukazywał ludowi.

— I gorzka. Ale poznać ich trzeba *zaiste*, aby ich uczynić sobie podwładnymi, aby gardząc, panować nad nimi.

Zrozumiała.

— Prawda? To sztuka z tej hołoty coś wydobyć!

Przysunęła sobie krzesło.

— Czy pan ma pojęcie o tym życiu? Każdy, kto tu wchodzi, myśli, że się na niego tylko czekało. Wszyscy czegoś chcą, a potem trudno w to uwierzyć, grozi ktoś policją! Pan...

I dotknęła koniuszkiem palca jego kolana.

— ...od razu z tym wyjeżdża. To coś znaczy.

— Nie chciałem przez to bynajmniej zakwestionować należnego damie szacunku — wyjaśnił Unrat.

Czuł się nieswojo. Ta pstra osoba mówiła o sprawach, w które nie wnikał ze zwykłą u siebie jasnością. Poza tym kolana jej znajdowały się już między jego kolanami. Spostrzegła, że była na drodze do utracenia jego sympatii, i zrobiła nagle cichą, rozsądną minę.

— Woli więc już człowiek porzucić całe to błoto i pozostać uczciwym.

Ponieważ nie zaoponował:

— Czy wino smakowało panu? To pańscy uczniowie je postawili. Biorą się mocno do rzeczy, powiadam panu. Jeden jest przy forsie.

Jeszcze raz nalała mu pełny kieliszek. Chcąc mu się przypochlebić, dodała:

— Pęknę przecież ze śmiechu, jak te smyki przyjdą później, a pan im wszystko wyżłopie. Cieszę się czasem, gdy ktoś dozna szkody. Powoli człowiek staje się takim.

— *Owszem zaprawdę* — wyjąkał Unrat; i z kieliszkiem w ręku zawstydził się, że pił wino Lohmanna. Gdyż uczniem, który za nie zapłacił, był Lohmann. Lohmann był tutaj; uciekł przed innymi. Prawdopodobnie znajdował się jeszcze w pobliżu. Unrat zerkał ku oknu: firanka miała ciągle niekształtny nieco odcisk twarzy. Wiedział, że gdyby skoczył w tę stronę, twarz ta znikłaby. To był Lohmann: Unrat przeczuł to. Lohmann, najgorszy ze wszystkich, Lohmann nieprzystępnej przekorności, który nie nazywał go nawet jego przezwiskiem: to był ów niewidzialny duch, z którym Unrat walczył. Dwaj pozostali nie byli duchami; i Unrat czuł, że tamci z pewnością nie byliby go doprowadzili aż do tego, aż do tych niezwykłych czynów, które teraz popełniał, i do tego, by siedział w tylnym pokoiku, gdzie czuć było szminką i zbutwiałymi sukniami, u artystki Fröhlich. Ale ze względu na ucznia Lohmanna musiał Unrat zostać. Gdyby odszedł, Lohmann siedziałby tu znowu, i patrzał w kolorową twarz artystki Fröhlich, która przysunęła swoje krzesło. Na myśl, że jest to na szczęście niemożliwe, Unrat, zanim się spostrzegł, wypił pełny kieliszek. Paliło go mile w kiszkach.

Para tęgich ludzi na sali, dysząc głośno, zakończyła następny numer swego programu. Teraz fortepian zagrał hałaśliwie coś wojowniczego, a dwa głosy zaczęły natychmiast, z przekonywującą mocą, grzmiąc uczciwie z patriotycznego zapału:

„Stolz weht die Flagge schwarz-weiss-rot
Von unsres Schiffes Mast,
Dem Feinde Weh, der sie bedroht,
Der diese Farben hasst!"[23]

Artystka Fröhlich rzekła:

— To ich popisowy numer, musi pan to sobie obejrzeć.

Lud, Artysta, Patriota

Ostrożnie uchyliła drzwi, bacząc, aby nie ukazać siebie i Unrata oczom widzów, i między zawiasami pozwoliła Unratowi spojrzeć przez szparę. Ujrzał dwoje tęgich ludzi, jak owinąwszy sobie czarno-biało-czerwone sztandary dokoła brzuchów i stojąc na żelaznych prętach kozła gimnastycznego, odważnie wsparci na drągu, rozdziawiali zwycięskie szczęki.

„Allüberall, wo auf dem Meer
Empor ein Mast sich reckt,
Da steht die deutsche Flagge sehr
In Achtung und Respekt".[24]

Czuło się, że publiczność była głęboko przejęta i rozentuzjazmowana. W oszołamiającym wzruszeniu ten i ów klaskał w stwardniałe dłonie. Po każdej strofce rozważniejsi musieli tłumić z trudnością okrzyki zachwytu. Pod koniec piosenki rozsadzał on gardła. Artystka Föhlich rzekła, opisując za drzwiami szeroki gest nad salą:

— No, niech pan sam powie, czy to nie małpy marynowane! Każdy z tych ludzi potrafi przecież lepiej zaśpiewać tę starą piosenkę marynarską, niż poczciwa Gusta i jej Kiepert. A przynajmniej coś sobie przy tym myśli, Kiepert i Gusta wiedzą, że robią tylko sztuczki dla interesu. A głosu zupełnie nie mają i słuchu prawie tyleż. Ale owinąć sobie chorągwie dokoła brzucha, i załóż się pan, że grubasy będą musieli jeszcze coś zabisować. No, niech pan sam powie!

Unrat przyznał jej rację. On i artystka Fröhlich skinęli sobie głowami, w równie dostojnej pogardzie dla ludu.

— Niech pan uważa, co teraz będzie — rzekła artystka, i zanim dwoje grubasów zaczęło swój dodatkowy numer, wytknęła nagle głowę na salę.

— Hohohohoho! — zabrzmiało za drzwiami.

Cofnęła głowę.

[23] *Stolz weht die Flagge schwarz-weiss-rot (…) diese Farben hasst* (niem.) — Dumnie powiewa czarno-biało-czerwona flaga na maszcie naszego okrętu; biada wrogowi, który jej grozi, który nienawidzi tych barw! [przypis tłumacza]

[24] *Allüberall, wo auf dem Meer (…) In Achtung und Respekt* (niem.) — Wszędzie, gdzie na morzu wznosi się maszt, tam flaga niemiecka znajduje się w wielkim poważaniu i respekcie. [przypis tłumacza]

— Słyszał pan? — zapytała zadowolona. — Wybałuszali na mnie ślepia przez cały wieczór, ale niech tylko pokażę koniec nosa, gdy nie są na to przygotowani, wyją zaraz jak bydło!

Unrat pomyślał o pokrewnych dźwiękach, jakie powstawały w klasie, gdy zachodziło coś niespodzianego, i rozstrzygnął:

— Tacy oni są zawsze!

Artystka Fröhlich westchnęła:

— Zaraz będzie znowu moja kolej, będę musiała wyjść do tej menażerii!

Unrata ogarnął niepokój.

— Więc tedy niech pani zamknie drzwi!

Uczynił to sam.

— Odbiegliśmy od swego tematu. Musi mi pani powiedzieć prawdę o uczniu Lohmannie. Wypieranie się z pani strony może tylko pogorszyć jego sprawę.

— Znowu pan zaczyna? To musi być pański łagodny obłęd.

— Jestem nauczycielem! Uczeń ten ma taki charakter, że zasługuje na najwyższe kary. Niech sobie pani uświadomi swój obowiązek, aby przestępca nie uszedł sprawiedliwości!

— Bożyczku miły! Chce go pan pewnie posiekać na kiełbasę! Jak on się nazywa? W ogóle do nazwisk nie mam pamięci. Jakże on wygląda?

— Jest żółtawy na twarzy; z jednej strony ma szerokie czoło, które marszczy w pewien wyniosły sposób, z drugiej zaś czarne włosy na nimże. Wzrostu średniego, porusza się, że tak rzekę, z niedbałą giętkością, zdradzając już przez to samo rozwiązłość swego charakteru...

Unrat kształtował obraz dłońmi. Nienawiść czyniła go portrecistą.

— I? — zapytała artystka Fröhlich, z dwoma palcami w kąciku ust. Ale poznała już Lohmanna.

— Jest on... *owszem zaprawdę*... dość wymuskany i uważa za wskazane przez melancholijnie-obojętne zachowanie nadawać swojej elegancji pozór, jakoby istniała ona sama przez się, a nie była raczej córą jego zasługującej na pogardę mędrca próżności.

Artystka Fröhlich oświadczyła:

— Wystarczy. Tym nie mogę służyć, żałuję bardzo.

— Przypomnieć sobie! Naprzód!

— Szkoda. Z tym się nic nie zrobi — i pokazała błazeńską minę.

— Wiem, że był tutaj; mam dowody!

— To może mu pan sam zaciągnąć stryczek i mnie pan do tego nie potrzebuje.

— Mam w kieszeni zeszyt do ćwiczeń tego Lohmanna; gdybym pani takowy okazał, nie wątpię, iż przyznałaby pani natychmiast, że go pani zna... Więc tedy, czy mam go okazać, artystko Fröhlich?

— Diablo jestem ciekawa.

Unrat sięgnął do kieszeni, zaczerwienił się, wyciągnął pustą rękę, zdecydował się jeszcze raz... Przeczytała wiersz Lohmanna, z wysiłkiem, jak dziecko czyta elementarz. Potem zawołała z wybuchem:

— Ale to rzeczywiście nikczemność. „Jeśli cię chwycą kiedy ciąży mdłości". Ciekawe, kto też wcześniej zajdzie w ciążę.

I z zadumą:

— Ale taki głupi, jak myślałam, to on nie jest.

— Widzi pani, więc go pani zna!

Ona, szybko bardzo:

— Kto to mówi? Nie, człeczyno, łapania nie ma.

Unrat spojrzał na nią jadowicie. Nagle tupnął nogą; tyle zatwardziałej kłamliwości wytrąciło go z równowagi. Bez zastanowienia skłamał sam.

— Wiem o tym, widziałem go przecież!

— No to przecież wszystko w porządku! — rzekła artystka swobodnie... — Zresztą teraz chciałabym go bardzo poznać.

Niespodzianie pochyliła biust, leciutkimi palcami namacała Unrata pod podbródek, w gołe miejsce między kosmykami brody, i wyciągnęła usta w ciup.

— Przedstawi mi go pan, tak?

Ale musiała się roześmiać; Unrat wyglądał, jakby dwa lekkie palce dusiły go.

— Pańscy uczniowie to w ogóle zuchy. To pewnie dlatego, że mają takiego zucha nauczyciela.

— A któregoż z tych młodzieńców lubi pani najwięcej? — zapytał Unrat z niezrozumiałym naprężeniem.

Puściła go i bez przejścia przybrała znowu cichą, spokojną minę.

— Kto panu powiedział, że w ogóle lubię któregoś z tych głupich chłopaków. Gdyby pan wiedział, u nas... wszystkich tych wietrzników oddałabym chętnie za jednego lepszego mężczyznę w dojrzalszym wieku, któremu nie idzie tylko o zabawę, ale o serce i o coś realnego... Tego mężczyźni nie wiedzą — dodała z lekkim ubolewaniem.

Para grubasów powróciła. Kobieta zapytała, zanim jeszcze odsapnęła:

— No, jak się udało?

Fortepian jął się natychmiast następnego numeru.

— Ano, jedźmy w tę przyjemność — i artystka Fröhlich narzuciła szal na ramiona, przez co stała się jeszcze bardziej kolorowa.

— Chce pan już pewnie iść do domu? — zapytała. — Rozumiem to; raj tu na pewno nie jest. Ale musi pan przyjść jutro znowu, wie pan, bo inaczej pańscy uczniowie będą tu broić, sam pan to przecież rozumie.

I wyszła.

Unrat był jeszcze zmieszany dziwnym zakończeniem ich rozmowy, bez słowa pozwolił kierować sobą. Artysta otworzył drzwi.

— Niech pan idzie za mną, to pan przejdzie bez awantury.

Unrat podążał za nim dokoła sali, przez wolne przejście, którego wcześniej nie spostrzegł. Kilka kroków przed wyjściem artysta ustąpił w bok. Unrat ujrzał jeszcze raz w głębi parę rąk, ramię, jakiś mocno oświetlony kawałek ciała, który zabłysnął pośród wiru pstrych barw, ponad dymem, ponad wrzawą... Był za drzwiami. Gospodarz nadszedł właśnie znowu z piwem, zawołał:

— Dobranoc, panie profesorze, i niech pan znowu zaszczyci mój lokal!

W bramie Unrat zatrzymał się jeszcze, usiłując odzyskać równowagę. Uczuł działanie zimnego powietrza na swoją głowę i doszedł do wniosku, że bez wina i piwa o tej niezwykłej porze całe to przeżycie z pewnością nie doszłoby do skutku... Wykonał krok na uliczkę i przeraził się: przy ścianie domu sterczały trzy postacie. Zerknął zza okularów; byli to Kieselack, von Ertzum i Lohmann.

Unrat wykonał nagły zwrot; usłyszał za sobą sapanie, które musiało wychodzić z najszerszej z trzech piersi, z piersi von Ertzuma, i które brzmiało oburzeniem. Potem rozległ się sepleniący głos Kieselacka:

— W tym domu, z którego właśnie ktoś wyszedł, panuje podobno okropne *zepsucie* moralne![25]

Unrat wzdrygnął się; z wściekłości i trwogi zazgrzytał zębami.

— Zmiażdżę was wszystkich. Jutro zaraz... *owszem zaprawdę*!... złożę doniesienie o tym, co zaszło!

Nikt nie odpowiedział. Unrat zawrócił jeszcze raz i w groźnym milczeniu wykonał dwa, trzy kroki dalej. Wówczas, zupełnie wolno rzekł Kieselack, a Unrat przy każdym z dwóch słów doznał drgnienia w karku:

— My też!

Rozdział piąty

Lohmann, hrabia Erztum i Kieselack jeden za drugim wkroczyli na salę. Gdy przechodzili pod sceną, Kieselack gwizdnął głośno.

— Do „kabufu"! — zakomenderował; i wcisnęli się do garderoby artystów. Tęga kobieta cerowała coś.

— No? — zapytała. — Gdzieście to siedzieli, moi panowie? Wasz nauczyciel dotrzymywał nam towarzystwa.

— My się z nim nie zadajemy — oświadczył Lohmann.

— Ale to bardzo wykształcony człowiek i z łatwością można go sobie owinąć dokoła palca.

[25] *zepsucie moralne* — *Sittlicher Unrat*. [przypis edytorski]

— Niech pani owija!

— O, ja nie, moi panowie, kpicie sobie pewnie. Ale znam kogoś...

Nie dokończyła, gdyż Kieselack połechtał ją pod pachą. Upewnił się, że inni nie patrzą.

— Tego niech pan nie robi, mały — i zdjęła binokle z końca nosa. — Jeżeli pan to będzie częściej robił, Kiepert oporządzi pana kiedy.

— Czy on gryzie? — zapytał Kieselack od dołu; a kobieta skinęła głową tajemniczymi zmarszczkami, jakby zapewniała dziecko, że zły czarownik naprawdę istnieje.

Lohmann odezwał się z tyłu, od stolika toaletowego, przy którym leżał na krześle z rękoma w kieszeniach:

— Kieselack, mopsie ordynarny, stanowczo za daleko zaszedłeś z Unratem. Po co go jeszcze drażniłeś, kiedy wychodził stąd? On przecież jest także tylko człowiekiem, nie trzeba go zmuszać do brutalności ponad jego siły. Teraz może nam narobić harmidru.

— Ja mu dam! — przechwalał się Kieselack.

Erztum siedział pośrodku, z łokciami na stole; mruczał tylko, a jego twarz rudawego blondyna pod kopułą różowej szczeciny, którą oświetlała wisząca lampa, skierowana była nieustannie ku drzwiom. Nagle uderzył w stół.

— Jeżeli to bydlę pokaże się tu jeszcze raz, pogruchoczę mu wszystkie kości!

— Doskonale! — rzekł Kieselack. — Nie będzie nam mógł wtedy oddać ćwiczeń klasowych. Moje jest przecież do niczego.

Lohmann przyglądał się z uśmiechem.

— Zdaje się, że ta mała rzeczywiście cię bierze, Erztum. Na taki ton zdobywa się tylko prawdziwa miłość.

A że oklaski przebrzmiały właśnie na sali i drzwi otworzyły się:

— Łaskawa pani, ktoś gotów jest zostać dla pani mordercą.

— Może pan sobie schować swoje głupie słowa — odpowiedziała Róża niełaskawie. — Mówiłam o panu z pańskim nauczycielem, i on również nie jest panem zupełnie zachwycony.

— Czego ten stary osioł chce?

— Chce pana złapać i posiekać na kiełbasę, więcej nic!

— Panno Różo — wyjąkał Erztum; odkąd była w pokoju, miał pokorny grzbiet i błagalne spojrzenie.

— Z pana też nic nie będzie — oznajmiła mu.

— Najprostsze byłoby, gdybyście byli pozostali na sali i przyzwoicie bili brawo. Są tam takie brutale, co mi chcieli dokuczyć.

Erztum rzucił się naprzód.

— Gdzie są te łotry! Gdzie są te łotry!

Powstrzymała go.

— Niech pan będzie tak dobry! Niech pan zrobi awanturę! To wylecę stąd jeszcze dzisiaj wieczorem. Czy może mi pan przypadkiem oddać swój pałac do dyspozycji, panie hrabio?

— Jest pani niesprawiedliwa — rzekł Lohmann. — Dzisiaj dopiero był w pani sprawie u swego opiekuna, konsula Breetpoota. Ale ten mieszczuch nie ma zmysłu dla wielkiej namiętności, nie daje pieniędzy. Erztum chciałby pani, o ile to od niego zależy, złożyć u stóp wszystko: swoje nazwisko, swoją wspaniałą przyszłość, swój majątek. Posiada on, Bóg świadkiem, dość prostoty ducha, aby to uczynić. Dlatego właśnie, szanowna pani, byłoby niesłuszne, gdyby pani chciała nadużyć jego sympatycznej naiwności. Niech go pani oszczędza!

— Sama wiem, co mam robić, gdero... Chociaż przyjaciel pański nie ma takiego pyska jak pan! Przez to ma właśnie większe jeszcze widoki, że u mnie...

— Dostanie *zaliczenie* — uzupełnił Kieselack.

— Znam ja pana, porządny z pana ścichapęk! — i zbliżyła się do Lohmanna. — Tutaj udaje pan, że nic pana nie grzeje ani ziębi, a za plecami wymyśla pan na człowieka swoje ohydne wierszydła.

Lohmann uśmiechnął się zmieszany.

— Jest pan w ogóle ostatnim, komu dam jakikolwiek słuszny powód do przypuszczenia, że mogłabym zajść w ciążę. Rozumie pan? Ostatnim.

— Doskonale. Ostatnim. Zaczekam do tego czasu — rzekł Lohmann znudzony; gdy artystka odwróciła się do niego tyłem, wyciągnął nogi przed siebie i skierował twarz ku sufitowi. Siedział tu przecież bez osobistego interesu i tylko jako ironiczny widz. Jemu przecież osoba ta mogła być obojętna. Sprawa serca jego, Lohmanna, była istotnie o wiele za poważna, o wiele poważniejsza, niż się kto kiedykolwiek dowie... Stworzył sobie pancerz z szyderstwa...

Fortepian wypoczął już dość.

— Różo, ulubiony walc pani! — rzekła tęga kobieta.

— Kto chce tańczyć? — zapytała Róża. Kołysała się już i uśmiechała się do Erztuma. Ale Kieselack uprzedził barczystego junkra. Otoczył Różę ramieniem, jak do ulicznikowskiego żartu, z podstępną powolnością obrócił ją dokoła i nagle zawirował szeroko. Omal się nie przewróciła. Pokazał jej przy tym język i niepostrzeżenie dla wszystkich uszczypnął ją z tyłu. Róża przeraziła się i rzekła gniewnie i czule:

— Jeżeli to jeszcze raz zrobisz, potworze, powiem to jemu, już on cię wytłucze.

— Tego lepiej nie rób! — poradził jej Kieselack szeptem. — Bo i ja mu coś powiem.

Roześmiali się, nie skrzywiwszy twarzy. Erztum przyglądał im się zmieszanym wzrokiem, z kroplami potu na czerwonoblond twarzy.

Tymczasem Lohmann zaprosił grubą kobietę. Róża zostawiła Kieselacka i przyglądała się Lohmannowi, który tańczył dobrze. Tęga kobieta stała się w jego rękach zupełnie lekka. Gdy mu się już wydało dość, ukłonił się łaskawie i nie zwróciwszy uwagi na Różę, powrócił na swoje miejsce. Poszła za nim.

— Tańczyć z panem ostatecznie można. Chociaż do niczego innego się pan nie nadaje.

Lohmann wzruszył ramionami, podkreślił jeszcze swoją obojętność przez jedno ze swych aktorskich zmarszczeń twarzy i wstał. Róża tańczyła walca długo, marzycielsko i z oddaniem.

— Czy pani ma dość? — zapytał wreszcie Lohmann grzecznie. A gdy się ocknęła:

— No, to...

— Jakie ja mam pragnienie! — zawołała artystka bez tchu. — Panie hrabio, niech mi pan da coś do wypicia, bo padnę.

— On sam nie stoi mocno — zauważył Lohmann. — Wygląda przecież jak pijany księżyc.

Erztum dyszał, jakby to on przez cały czas wirował z dziewczyną. Przechylił butelkę, która drżała mu w ręku i z której wypłynęła tylko resztka. Potem bezradnie spojrzał na Różę. Roześmiała się. Gruba kobieta rzekła:

— Wasz pan nauczyciel tęgo, zdaje się, pije.

Erztum zrozumiał; zakręciło mu się w głowie. Nagle chwycił pustą butelkę za szyjkę, niby maczugę.

— No no — rzekła Róża. I po chwili, podczas której oceniła go:

— Chusteczka moja leży pod stołem. Niech mi ją pan wydobędzie, dobrze?

Erztum schylił się, wsadził głowę pod stół, chciał sięgnąć. Ale kolana jego ugięły się; popełznął, a dziewczyna przyglądała mu się; zbliżył się do chusteczki, ujął ją w zęby, powrócił na rękach do brzegu stołu. Zatrzymał się tam, przymknąwszy oczy, obezwładniony tłustym, mdląco uperfumowanym smakiem tej szarobiałej szmaty, którą wycierano szminkę. Oto stała, tuż przed jego zamkniętymi powiekami, a jednak niedostrzeżona, kobieta, o której marzył dzień i noc, w którą wierzył, dla której poświęciłby życie! A że ona była uboga, a on nie mógł jeszcze wznieść jej do siebie, musiała wystawiać swoją czystość na niebezpieczeństwo i obcować z brudnymi ludźmi, nawet z Unratem. Był to straszliwy, jedyny w swoim rodzaju los.

Przyjrzawszy się z podziwem swemu dziełu, Róża wyjęła mu chustkę z zębów i rzekła:

— Tak ładnie, mój piesku.

— Bajecznie — wtrącił Lohmann.

Zaś Kieselack, który podnosił do ust mocno obgryziony paznokieć, rzucił spode łba okiem na jednego ze swoich kolegów i na drugiego:

— Tylko sobie niczego nie wmawiajcie. I tak nie dostaniecie w porę *zaliczenia*.

Potem mrugnął do Róży Fröhlich. Jemu samemu już się to udało.

Lohmann rzekł:

— Pół do jedenastej. Erztum, twój pastor wraca z piwa, musisz iść do łóżka.

Kieselack szepnął coś Róży, figlarnie i groźnie. Gdy dwaj inni wyruszyli, on zniknął.

Przyjaciele skierowali się ku bramie miejskiej.

— Mogę cię odprowadzić — rzekł Lohmann. — Moi starzy są na balu u konsula Breetpoota. Jak ci się podoba, że nas się nie prosi? Tańczą tam już gęsi, z którymi chodziłem na lekcje tańca.

Erztum energicznie potrząsnął głową.

— Takiej kobiety nie można przecież z tym porównać! Ostatniego lata podczas ferii byłem na naszym zjeździe rodzinnym ze wszystkimi dziewczętami erztumowskimi i tyloma a tyloma zamężnymi paniami Püggelkrook, Ahlefeldt, Katzenellenbogen...

— I tak dalej.

— Ale czy myślisz, że jedna chociaż miała to?

— Co?

— No to. Wiesz już. Posiada ona też to, co szczególnie kobieta mieć powinna, mianowicie, że tak powiem duszę.

Erztum rzekł „że tak powiem", gdyż wstydził się słowa dusza.

— A następnie chusteczka — uzupełnił Lohmann. — Takiej nie ma żadna z pań Püggelkrook.

Erztum zrozumiał z wolna aluzję. Z wysiłkiem usiłował wydobyć na światło głuche instynkty, które zgotowały mu wcześniej tak dziwne zdarzenie.

— Nie sądź — rzekł — że czynię coś podobnego bez celu. Chcę jej przez to pokazać, że mimo swego niskiego pochodzenia stoi ona właśnie ponade mną i że poważnie pragnę ją wznieść do siebie.

— Przecież stoi ponad tobą.

Erztum zdziwił się sam tą sprzecznością. Wyjąkał:

— Zobaczysz, co zrobię!... Ten pies, ten Unrat nie przyjdzie drugi raz żywy do jej garderoby.

— Obawiam się, że on by nam to tak samo chciał zohydzić, jak my jemu.

— Niech się tylko poważy.

— Tchórz z niego co prawda jest.

Mimo to byli zatroskani; ale nie mówili o tym więcej.

Szli między pustymi łąkami, na których latem odbywały się zabawy ludowe. Erztum, którego noc i gwiazdy uczyniły lżejszym, znajdował w duchu wspaniałe drogi ku wolności, precz z tego gniazda mieszczańskiego i z zakurzonej szkoły, gdzie jego wielkie wiejskie ciało więzione było w śmiesznych pętach. Gdyż teraz, odkąd kochał, uświadomił to sobie: że wyróżniał się śmiesznie na ławie szkolnej, jąkając błędną odpowiedź, pochyliwszy byczy kark, bezradny, gdyż słabeusz o wzniesionych barkach, siedzący na katedrze, spoglądał na niego jadowicie i parskał przy tym. Wszystkie jego mięśnie, od których wymagano tu powściągliwości, tęskniły za obarczeniem, domagały się od niego, aby rąbał dokoła siebie mieczem i cepami, podnosił kobietę w górę, chwytał byka za rogi. Zmysły jego łaknęły dających się powąchać chłopskich sądów, namacalnych pojęć, stałego gruntu pod powiewną duchowością klasyczną, w której tracił oddech; zetknięcia się z nagą, czarną ziemią, którą myśliwy unosi na podeszwach, i z powietrzem, które smaga galopującego jeźdźca po twarzy; wrzawy przepełnionych karczem i zesforowanych psów, wyziewów jesiennego lasu i spoconego konia, oddającego łajno... Przed trzema laty dziewka od krów, którą obronił przed silnym chłopakiem stajennym, podziękowała mu w ten sposób, że rzuciła go na siano. Poprzez tę dziewczynę czuł dzisiaj *szansonetkę*[26] Różę Fröhlich. Budziła w nim rozległe szare niebo z mnogością potężnych dźwięków i zapachów. Budziła wszystko, co było jego własną duszą. Dlatego czynił jej zaszczyt, że uważał to za jej duszę, że przypisywał jej wiele, wiele duszy i stawiał ją bardzo wysoko.

Dwaj uczniowie przybyli do willi pastora Thelandera. Miała ona dwa balkony, na środku pierwszego i drugiego piętra, między ceglanymi kolumnami, obrosłymi przez sękate latorośle winne.

---

[26]*szansonetka* — piosenkareczka, szansonistka; słowo pochodzące od fr. zdrobnienia *chansonnette*, oznaczającego lekką piosenkę, często frywolną. [przypis edytorski]

— Pastor jest już w domu — rzekł Lohmann i wskazał na światło na pierwszym piętrze. Zbliżyli się; światło zgasło.

Erztum, rozgoryczony i już znowu pokonany, spojrzał na przyległe okno na górnym piętrze, do którego musiał się dostać. Za tym oknem unosił się już znowu z jego ubrań i książek zapach klasy. Atmosfera klasy prześladowała go dzień i noc... Z niezdarnym gniewem wykonał skok, wdrapał się po winie, zatrzymał się na poręczy pierwszego balkonu i raz jeszcze spojrzał na swoje okno.

— Długo już tego nie wytrzymam — rzekł w dół. Potem począł się wdrapywać dalej, kopnął okno i skoczył do pokoju.

— Miłych marzeń — rzekł Lohmann z łagodnym szyderstwem i zawrócił, nie ukrywając skrzypienia swoich kroków. Pastor Thelander, który zgasił światło, aby nie musieć nic spostrzec, nie był człowiekiem, który by podniósł wrzawę o wieczorną wycieczkę hrabiego Erztuma, za którego płacono rocznie cztery tysiące marek... Zaledwie Lohmann opuścił ogród, już był znowu przy Dorze.

Więc Dora wydawała swój wielki bal. W tej chwili śmiała się za wachlarzem swoim obcym, tęsknie okrutnym śmiechem Kreolki. Asesor Knust śmiał się może wraz z nią; może zapadła dzisiaj decyzja na korzyść Knusta. Gdyż z podporucznikiem von Gierschke był już chyba koniec... Lohmann wciągnął szyję, wpił zęby w dolną wargę i nadsłuchiwał swego bólu...

Kochał konsulową Breetpoot, kobietę trzydziestoletnią. Odkąd przed trzema laty lekcja tańca odbyła się raz w jej domu, kochał ją. Przypięła mu order kotylionowy — o, tylko dlatego, że chciała schlebić jego rodzicom; wiedział o tym. Od tego czasu widywał ją przez szpary w drzwiach, podczas wielkich przyjęć w domu swoich rodziców, przyjęć, na które on nie miał dostępu — widywał ją z jej kochankami: on! Lada chwila mógł ktoś pchnąć drzwi, a wtedy stałby zdruzgotany, zmiażdżony bólem; wszystko byłoby zdradzone. W takim wypadku Lohmann był zdecydowany zakończyć życie. Stara fuzja, z której strzelał szczury w spichrzu, była przygotowana...

Okazywał ojcowską przyjaźń jej synowi, uczniowi „kwarty", któremu dawał swoje stare ćwiczenia do przepisywania. Kochał jej dziecko! Raz, gdy w obronie Breetpoota wmieszał się do bójki malców, spotkał na wszystkich wargach podejrzany uśmiech. Lufa fuzji kierowała się już ku jego piersi... Nie, nikt o tym nie wiedział; a Lohmann mógł przeżywać nadal i odgrywać przed sobą dziką skromność, rozkoszne gorycze, lękliwą, próżną, beznadziejną pogardę świata swoich siedemnastu lat, i wiersze, które skrobał po nocach na odwrocie orderu balowego...

Od niego więc, który przesiąknięty był cały pełnym utrapień uczuciem, domagała się taka dziewczyna, jak Róża Fröhlich, aby się czuł podniecony przez nią do miłości. Niełatwo było pomyśleć sobie coś bardziej ironicznego. Układał wiersze, także o niej — no tak. Przedmiot był przecież dla sztuki obojętny. Jeśli sądziła, że to czegoś dowodzi... Udawała obrażoną, on śmiał się jej w twarz, to w niej oczywiście budziło dopiero chrapkę na niego. W istocie nie miał tego zamiaru; był poniekąd daleki od tego, by prosić szansonetkę z Błękitnego Anioła o miłość. Musieli tam być na sali marynarze i *subiekci*[27], którzy za kwotę od trzech do dziesięciu marek bywali przez nią uszczęśliwiani...

A może mimo wszystko schlebiało mu to? Czemu zaprzeczać? Bywały chwile, gdy pragnął widzieć tę dziewczynę u swoich stóp, gdy jej pożądał, aby ją upokorzyć, aby pieszczotom jej nadać posmak ponurego występku — i przez ten występek zbrukać własną miłość, w tej żebrzącej na kolanach dziewce poniżyć ją samą, Dorę Breetpoot, a potem paść przed nią i płakać niebiańsko!

Przeniknięty tymi myślami stanął Lohmann przed oświetlonym domem konsula Breetpoota na Kaiserstrasse i pośród przesuwających się po oknach cieniów wyczekiwał jednego.

Rozdział szósty

Rano Erztum, Kieselack i Lohmann spotkali się z bladymi twarzami. Pośród hałasującej klasy każdy z nich wydawał się sobie niby przestępca, który wie, że list z jego nazwiskiem jest w drodze do prokuratora, a otoczenie niczego się nie domyśla. Na minuty jeszcze

[27] *subiekt* — sprzedawca w sklepie, ekspedient. [przypis edytorski]

tylko liczy się czas wolności... Kieselack podsłuchiwał pod drzwiami pokoju dyrektora i twierdził, że słyszał w nim głos Unrata. Nie przechwalał się już, ze skrzywionymi ustami szepnął Erztumowi za dłonią: „O rety, człowieku!". Lohmann na najbliższą godzinę chętnie zamieniłby się z najuboższym na duchu.

Unrat wszedł szybko i natychmiast bez tchu zabrał się do swojego Owidiusza. Kazał mówić wiersze, wyuczone na pamięć, i zaczął od prymusa Angsta. Potem nastąpili uczniowie na B, Doszedłszy do E, przeskoczył na M. Erztum wydał westchnienie. Kieselack i Lohmann stwierdzili ze zdumieniem, że K i L zostały opuszczone.

Przy tłumaczeniu żadnemu z nich nie zadano pytania. Cierpieli przez to, chociaż „nie przygotowali swego". Doznawali wrażenia, jakby byli wytrąceni ze społeczeństwa ludzkiego, jakby ulegli już śmierci cywilnej. Co mógł Unrat planować? Podczas przerwy trzej koledzy unikali się wzajemnie, z obawy, aby się nie domyślono, że łączyła ich złowieszcza tajemnica.

Trzy lekcje innych nauczycieli minęły w nieustannym przerażeniu. Kroki na dziedzińcu, trzaśnięcie schodów: dyrektor!... Ale nic się nie stało. Grecka lekcja Unrata przeszła jak łacińska. Kieselack wpadł w wisielczy humor i podniósł rękę, choć nie umiałby odpowiedzieć. Unrat nie spostrzegał go. Chłopiec wyciągał więc przy każdym pytaniu łapę w powietrze, strzelając palcami, Lohmann zrezygnował z czekania i otworzył pod ławką *Bogów na wygnaniu*. Erztum, pokonany znowu i zmiażdżony przez szkołę, jak zwykle spocony, starał się z wysiłkiem nadążyć za klasą i jak zwykle nadążyć nie mógł.

Odchodząc przygotowani byli na to, że woźny z obiecującym uśmiechem zawezwie ich do dyrektora. Nie, człowiek z dzwonkiem z całą prostotą zdjął przed młodymi panami czapkę. Za murami szkolnymi spojrzeli po sobie, z radością, która bała się wybuchnąć. Kieselack był pierwszym, który dał jej wyraz.

— Widzicie! Od razu powiedziałem, że się nie odważy!

Lohmann był zły, że się dał nastraszyć.

— Jeżeli ten człowiek myśli, że może mnie wodzić za nos...

Erztum rzekł:

— To się jeszcze może stać.

I z nagłym porywem:

— Niech się tylko stanie! Wiem, co zrobię!

— Mogę sobie wyobrazić — rzekł Lohmann. — Wychłostasz Unrata. Potem skojarzysz się z tą Fröhlich i skoczycie do wody.

— Nie... to nie — rzekł Erztum zdumiony.

— Ludziska, wy przecież macie *spleen* — rzekł Kieselack.

I rozstali się. Lohmann oświadczył jeszcze:

— Mnie już właściwie nie zależało zupełnie na Błękitnym Aniele. Ale nie można się dać zastraszyć: teraz właśnie tam pójdę.

Wieczorem on i Erztum prawie równocześnie znaleźli się przed tym domem. Zaczekali na Kieselacka. Jego wysyłali zawsze naprzód, aby pierwszy wchodził do garderoby artystów, pierwszy otwierał usta, pierwszy się rozgaszczał. Bez Kieselacka wszystko to nie składałoby się, potrzeba im było jego i jego zuchwalstwa. Nie miał pieniędzy, musieli płacić za niego, a Kieselack ukrywał przed nimi, co właściwie opłacali i że to za jego potajemne rozkosze przyjmowała od nich Róża kwiaty, wino i podarunki.

Nadszedł wreszcie, nie śpiesząc się, i weszli do domu. Tymczasem dowiedzieli się od gospodarza, że w pokoju artystów siedzi ich nauczyciel. Spojrzeli po sobie stropieni i zwiali.

Gdy Unrat dotarł ubiegłej nocy szczęśliwie do domu, zapalił swoją lampę do pracy i stanął przed pulpitem. Piec grzał jeszcze, zegar tykał, Unrat przewracał kartki manuskryptu i powiedział sobie:

„Prawdą jest tylko przyjaźń i literatura".

Czuł się daleki od artystki Fröhlich i nagle uznał „sprawy poboczne", którymi się zajmował uczeń Lohmann, za niezmiernie obojętne.

Ale obudziwszy się o ciemnym ranku, spostrzegł, że nie jest to w porządku, póki nie „złapał" ucznia Lohmanna. Zabrał się co prawda znowu do partykuł u Homera, ale przyjaźń i literatura nie mogły go już przykuć do siebie. Nigdy nie będą go już mogły przykuć do siebie, póki Lohmann bez przeszkody siedzi u artystki Fröhlich!

Drogę do zapobieżenia temu wskazała mu artystka Fröhlich sama; powiedziała: „Ale musi pan przyjść jutro znowu, bo inaczej pańscy uczniowie będą tu broili"... Na wspomnienie tych słów Unrat zaczerwienił się. Gdyż słowa te przyniosły mu z powrotem głos artystki Fröhlich, jej łaskoczące spojrzenie, całą jej barwną twarz i dwa leciutkie paluszki, którymi pomacała Unrata pod podbródek... Unrat obejrzał się lękliwie na drzwi i jak uczeń, który zajmuje się „pobocznymi sprawami", lękliwie pochylił się z gorliwością nad robotą.

Ci trzej nikczemnicy... *owszem więc tedy*... spostrzegli to przez czerwoną firankę. A gdyby Unrat zdecydował się pociągnąć ich do odpowiedzialności przed trybunałem pana dyrektora, wówczas czując się zgubieni i tracąc resztę wstydu, byliby zdolni publicznie oznajmić, co widzieli! Na liście przestępstw Lohmanna znajdowało się też zapłacone przez niego wino — które Unrat pił... Pot wystąpił mu na czoło. Ujrzał się schwytany. Przeciwnicy twierdziliby, że nie Unrat „złapał" Lohmanna, ale Lohmann jego... A świadomość staczania bardziej niż kiedykolwiek zażartej i zupełnie samotnej walki z armią zbuntowanych uczniów czyniła Unrata silnym, dawała mu pewność, że niejednemu jeszcze z nich utrudni karierę, jeżeli wręcz nie uniemożliwi zupełnie. Z namiętną stanowczością ruszył do szkoły.

Do „wpakowania" trzech przestępców nie brakło zaiste sposobności. Co do Lohmanna to wystarczało w zupełności jego bezwstydne ćwiczenie klasowe. W ostatnim tygodniu przed świadectwami zadałby im Unrat pytania, o które musieliby się rozbić. Wymyślił już sobie kilka... Gdy pozostawił bramę miejską za sobą, opadły go skrupuły; a im bardziej zbliżał się do budynku szkolnego, tym groźniejszą przyszłość spostrzegał przed sobą. Trzej buntownicy podjudzili już zapewne klasę, opowiedziawszy o Błękitnym Aniele. Jak teraz Unrat zostanie przyjęty? Rewolucja wybuchła!... Panika zagrożonego tyrana opadła go już znowu, ze wszystkich stron, jak hufiec rycerzy. Z jadowitym lękiem wypatrywał na rogach ulic uczniów, zamachowców.

Gdy wchodził do klasy, nie był już atakującym. Wyczekiwał; usiłował ratować się przez to, że milcząco zaprzeczy wydarzeniom wczorajszego wieczora, zatai niebezpieczeństwo, nie będzie zwracał uwagi na trzech złoczyńców... Unrat opanował się, jak mężczyzna. Nie domyślał się, jaką trwogę przeżywali Kieselack, Erztum i Lohmann; ale i oni nie domyślali się jego lęku.

Po zakończeniu lekcji podobnie jak oni odzyskał odwagę. Lohmann nie będzie triumfował! Trzeba go usunąć od artystki Fröhlich: było to dla Unrata zagadnienie mocy i kwestia jego szacunku dla siebie. W jaki sposób? „Musi pan przyjść jutro znowu", powiedziała. Nie pozostawało mu nic innego; gdy Unrat zrozumiał to, przeraził się. Ale w przerażeniu tym było coś słodkiego.

Był tak podniecony, że nie mógł jeść kolacji i mimo sprzeciwu gospodyni natychmiast opuścił mieszkanie, aby być pierwszym w „kabufie" — w garderobie artystki Fröhlich. Lohmann nie będzie siedział u niej i pił wina; to był bunt, Unrat nie mógł tego znieść. Więcej nic sobie nie uświadamiał.

Skradając się szybko ku Błękitnemu Aniołowi, przeoczył kolorowy plakat na bramie domu i przez kilka sekund szukał go, straciwszy głowę zupełnie... Dzięki Bogu, oto był afisz. Artystka Fröhlich nie odjechała więc nagle, jak się Unrat przed chwilą obawiał, nie uciekła, nie została pochłonięta przez ziemię. Śpiewała jeszcze, była jeszcze kolorowa, łaskotała jeszcze swoim spojrzeniem. Zadowolenie z tego faktu stało się dla Unrata źródłem nowego poznania. Nie dość, że uczeń Lohmann ma być od niej usunięty: Unrat sam będzie siedział u artystki Fröhlich... Ale to poznanie natychmiast zamroczyło się znowu.

Sala była jeszcze pusta, prawie ciemna, niesamowicie wielka; a niezliczone brudnobiałe krzesła i stoliki stały stłoczone niby stado baranów na łące. Obok pieca siedział przy małej lampie blaszanej gospodarz z dwoma innymi mężczyznami; grali w karty.

Pragnąc być niewidzianym, przeciskał się Unrat jak nietoperz wzdłuż cienistej ściany. Gdy miał już zniknąć w pokoju artystów, gospodarz zawołał, aż echo odbiło się przeraźliwie:

— Brywieczór, panie profesorze, cieszę się, że się panu mój lokal spodobał.

— Chciałem tylko... sądziłem tylko... artystka Fröhlich...

— Wejdź pan śmiało i zaczekaj pan na nią; zaraz siódma. Przyniosę panu piwa.

— Dziękuję — zawołał Unrat — nie zamierzam pić... Ale... — i wytknął głowę z drzwi — później zrobię prawdopodobnie większe zamówienie.

Po czym zamknął drzwi i macając wkroczył w noc garderoby. Gdy mu się udało zapalić światło, zdjął gorsety i pończochy z jednego krzesła, siadł przy stole, na którym wyglądało jeszcze jak wczoraj, wyjął z kieszeni swój notes nauczycielski i z cyfr, stojących za nazwiskiem każdego ucznia, począł tworzyć tymczasową ocenę postępów. Dotarłszy do E przeskoczył szybko na M, zupełnie jak rano w klasie. Potem opamiętał się, odwrócił z powrotem kartkę i zaopatrzył nazwisko Erztuma wściekłym „niedostatecznie". Nadeszła kolej Kieselacka, potem Lohmanna. Pokój był cichy i bezpieczny, a usta Unrata skrzywione z mściwości.

Po chwili wydało mu się, że na sali siadają pierwsi goście. Popadł w niepokój. Tęga kobieta wczorajsza weszła do garderoby w czarnym kapeluszu z dzikim rondem i rzekła:

— A to co? Pan profesor? To przecież tak wygląda, jakby pan tutaj nocował!

— Droga pani, przychodzę w sprawie pewnych interesów — pouczył ją Unrat.

Ale ona pogroziła mu palcem:

— Doskonale mogę sobie pańskie interesy wyobrazić.

Zdjęła boa i żakiet.

— Musi pan jednak pozwolić, że zdejmę gorset.

Unrat wyjąkał coś i odwrócił się. Powróciła w mocno wyszarzanym peniuarze i poklepała go po ramieniu.

— Powiem panu prawdę, panie profesorze, nie dziwię się wcale, że pan tu znowu siedzi. Przy Róży nie jesteśmy do czego innego przyzwyczajeni. Kto ją dobrze pozna, musi ją pokochać, inaczej nie może być. I słusznie, gdyż jest ona przecież czarującą piękną dziewczyną.

— To może być owszem... *zawsze raz po raz*... zupełnie słuszne, droga pani, ale... nie dlatego...

— Nie, także ze względu na serce, jakie ma ta dziewczyna. To nawet główna rzecz. Boże mój, powiadam!

Położyła rękę na własnym sercu, pod rozchylonym peniuarem. Wywróciła przy tym oczy do nieba, a jej podwójny podbródek kołysał się ze wzruszenia.

— Ona się przecież często zakrawa w palec, z czystej miłości bliźniego! To pewnie pochodzi stąd, że ojciec jej był pielęgniarzem. I czy pan uwierzy czy nie, Róża miała zawsze słabość dla starszych panów. I nie tylko dla *tego*...

Potarła kciuk i palec wskazujący.

— Ale że takie już ma serce. Gdyż starszym panom najbardziej potrzeba serdecznego traktowania... Niekiedy jest rzeczywiście poczciwsza, niż pozwala policja. Wie pan, ja ją przecież znam od dziecka. Ode mnie usłyszy pan wszystko z pierwszej ręki.

Usiadła na brzegu stołu, wcisnęła Unrata między swoją potężną osobę a poręcz jego krzesła, jakby go brała zupełnie w posiadanie i spowijała w atmosferę tego, co opowiadała.

— Kiedy ta dziewczyna nie miała jeszcze szesnastu lat, chodziła już do panoptikum[28] i do artystów, którzy tam pracowali. Rozumie pan, co to jest artystka z urodzenia... Ano, więc był tam pewien starszy pan, który ją chciał wykształcić. Zna się przecież to wykształcenie, zaczyna się ono od samego początku, od Adama i Ewy i od kwaśnego jabłka. Kiedy je już przełknęła, przychodzi do mnie i wyje. Ja mówię naturalnie, ty, temu staremu nałożymy zaraz wędzidło, ty przecież dopiero za dwa i pół tygodnia kończysz szesnaście lat,

[28] *panoptikum* — gabinet osobliwości, tu: teatr, kabaret. [przypis edytorski]

będzie musiał brząkać, aż mu tchu nie starczy. Ale ona nie chce! Czy to kto kiedy słyszał? Za wiele miała litości dla tego starca, nie mogłam sobie z nią poradzić. Przeciwnie, sama poszła do niego znowu; to przecież wiele o niej świadczy. Pokazała mi go na ulicy: prawdziwy stary pryk. Ale ani porównania, ani mowy o porównaniu z panem, panie profesorze!

Tknęła go dwoma palcami prosto w twarz. Ponieważ wydawał się nie dość jeszcze podniecony, powtórzyła swoje zdanie.

— Ani mowy, powiadam! I w ogóle to był potwór. Zaraz potem umarł, i jak pan myśli, co zapisał Róży? Swoją fotografię, pod dyskretnym zamknięciem. Pęknij, człowieku, ze szczęścia! Nie, to już przecież szlachetny człowiek, który jest jeszcze dobrze zachowany, który ma rzeczywiście serce dla takiej dziewczyny, to już przecież taki musi robić o wiele większe wrażenie, powiadam.

— *Owszem więc tedy*... — ale Unrat szukał trudnego przejścia. — Niechaj to jednak będzie jak tam sobie chce, to *przecież wszelako*...

Uśmiech jego z zakłopotania wyglądał jadowicie.

— ...nie jest to argumentem przeciwko temu, że młody chłopak, któremu nie brak z jednej strony ducha, a z drugiej uczucia, bądź co bądź bardziej jest dla niej obiecujący.

Kobieta zaoponowała z ożywieniem:

— Jeżeli nie ma pan innych zmartwień, to doskonale. Młodych ma zawsze Róża potąd, niech pan *mnie* wierzy!

Potrząsnęła Unrata mocno za ramię, aby cieleśnie dać mu odczuć prawdę. Potem zsunęła się ciężko ze stołu na podłogę i rzekła:

— Ale człowiek traci czas na gawędzenie. Muszę się brać do roboty, panie profesorze, kiedy indziej znowu się panu poświęcę.

Usiadła przed lustrem i natarła twarz tłuszczem.

— Ano, niech pan lepiej patrzy w inną stronę, ładne to to nie jest.

Unrat odwrócił się posłusznie. Usłyszał kilka pierwszych tonów na fortepianie. Sala szemrała głucho, jakby była na wpół napełniona.

— A pańscy uczniacy — rzuciła kobieta, z jakimś przedmiotem między zębami — mogą w ogóle wyciągać szyje i oblizywać się!

Unrat poszedł za popędem wewnętrznym i obejrzał się na okno. Za czerwoną firanką istotnie cień jakiś wyciągał szyję.

Na sali rozległo się długie „hohohoho". Artystka Fröhlich stanęła na progu, a drzwi poza nią zostały natychmiast zasłonięte przez szeroką postać artysty Kieperta. Gdy oboje znaleźli się w garderobie, Kiepert zawołał:

— Bardzo to dla nas pochlebne, panie profesorze, że jest pan znowu!

Artystka Fröhlich zauważyła:

— A, jest! No więc!

— Dziwi się pani zapewne... — wyjąkał Unrat.

— Ani gadania — oświadczyła Róża. — Niech mi pan pomoże zdjąć płaszcz.

— ...że tak szybko powtarzam swoją wizytę...

— Skądże by!

Uniosła ramiona, niby ucha dzbana, do swego wielkiego czerwonego kapelusza z piór, wyciągała szpilki i szelmowsko uśmiechała się od dołu do Unrata.

— Ale... — był zakłopotany — ...powiedziała pani sama, że muszę przyjść znowu.

— No więc! — i zawirowała kapeluszem jak ognistym kołem. Potem wybuchła:

— To przecież śmiechu warte!... Nie wypędzę pana przecież... staruszku!

Z rękoma na biodrach pochyliła przy tym twarz tuż do jego twarzy.

Unrat wyglądał jak dziecko, które przeraża się okropnie, gdyż wróżka teatralna gubi nagle fałszywy warkocz. Artystka Fröhlich spostrzegła to i natychmiast pohamowała atak wesołości. Westchnęła, przechyliwszy głowę na ramię.

— Ale niech pan nie sądzi, że ja myślałam, iż mi nic nie brak. Źleby pan był poinformowany. Przeciwnie, ciągle mówiłam do Gusty: On jest przecież doktorem i profesorem, a ja biedną, nieświadomą dziewczyną, cóż ja mogę takiemu człowiekowi zaofiarować... Pani Kiepert, czy nieprawda może, że mówiłam tak do pani?

Tęga kobieta potwierdziła z przekonaniem.

— Ale ona — rzekła artystka Fröhlich, wzruszając niewinnie ramionami — ona twierdziła ciągle, że przyjdzie pan znowu... No, więc jednak!

Artysta wydawał nieartykułowane dźwięki z kąta, w którym się przebierał. Żona jego robiła znaki, które go miały uspokoić.

— Ale kto mnie zapewni — ciągnęła artystka Fröhlich — że przyszedł pan w ogóle ze względu na mnie... Nie pomaga mi pan przecież nawet zdjąć palta... Może przychodzi pan tylko ze względu na tych wstrętnych smyków, których chce pan posiekać na kiełbasę?

A Unrat, czerwieniąc się, szukając ratunku:

— *W pierwszym rzędzie... właściwie więc tedy wprawdzie... — pierwotnie...*

Artystka boleśnie pokiwała głową.

Gruba kobieta wstała od toalety, aby ją poprzeć. Nosiła wydekoltowaną czerwoną bluzkę. Była wykończona i miała znowu wczorajszą połyskliwą cerę.

— Dlaczego nie pomaga pan panience zdjąć palta? — rzekła. — Czy to sposób postępowania, gdy dama prosi pana o coś?

Unrat począł szarpać rękaw Róży. Rękaw nie ustępował i artystka Fröhlich zachwiała się w ramiona Unrata; po czym profesor znieruchomiał bezradnie.

— Tak pan to musi zrobić... — i tęga kobieta pouczyła go. Małżonek jej zbliżył się bezgłośnie, już w trykotach, z wężowatym nabrzmieniem tłuszczu od jednego biodra do drugiego i owłosioną brodawką na szyi. Podsunął Unratowi pod nos mały arkusik gazety.

— To pan musi przeczytać, panie profesorze, ten dopiero daje tej bandzie.

Unrat przybrał natychmiast minę rzeczoznawcy, do której upoważniało go wszelkie słowo drukowane. Poznał socjaldemokratyczny dziennik miejscowy.

— *Więc tedy* zobaczmy — odpowiedział — jak to... *zawsze raz po raz*... ma się z tym sprawa.

— Akurat pensje nauczycielskie — rzekł artysta. — Wczoraj dopiero mówiłem o tym.

— Ach, co tam — zadecydowała kobieta i zabrała Unratowi gazetę. — Pensji on ma dosyć, potrzeba mu zupełnie czego innego. To nie twoja rzecz, ruszaj no do tego kochanego bydełka.

Sala wyła, wrzeszczała, gwizdała poprzez grzmot fortepianu. Kiepert usłuchał. Przybrał natychmiast ów zachwycony sobą wygląd, który już wczoraj wprawił Unrata w zdumienie, i tanecznym krokiem wybiegł na salę, która pochłonęła go z wrzawą.

— Tegośmy się pozbyli — rzekła tęga kobieta. — Aż go tam strawią, pomóżmy się Róży przebrać, panie profesorze.

— A czy jemu to wolno? — zapytała artystka Fröhlich.

— Musi przecież wiedzieć, jak się kobietę rozbiera i ubiera. Kto wie, do czego mu to jeszcze będzie w życiu potrzebne.

— Więc jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu... — i artystka Fröhlich spuściła spódnicę. Gorset jej był już otwarty i Unrat spostrzegł z pewnego rodzaju przerażeniem, że pod ubraniem była zupełnie czarna i połyskująca. Ale dziwniejszym jeszcze było dla niego stwierdzenie, że nie nosiła halki, lecz parę szerokich, czarnych majteczek do kolan. Zdawało się, że nic sobie z tego nie robi, wyglądała zupełnie niewinnie. Unrat zaś miał wrażenie, jakby ktoś szeptał mu do ucha pierwsze objawienie misteriów, podejrzanych spraw pod powierzchnią, pod poczciwie mieszczańską powierzchnią, która przed oczyma policji pokazuje się na ulicy. I uczuł dumę, która zawierała domieszkę trwogi.

Na sali Kiepert miał wielkie powodzenie i zaczynał właśnie coś nowego.

— Ale teraz niech się jednak lepiej odwróci — rzekła artystka Fröhlich. — Teraz zdejmę wszystko.

— Boże mój, dziecko, on jest przecież rozumnym, solidnym mężczyzną, co mu to może zaszkodzić.

Ale Unrat odwrócił się już szybko. Z naprężeniem słuchał szelestu. Tęga kobieta w wielkim pośpiechu podała mu coś przez stół.

— Niech pan trzyma.

Unrat ujął to, nie wiedząc, co to jest. Było czarne, dawało się ścisnąć do bardzo małych rozmiarów, w dotyku było bardzo ciepłe, ciepłe jak zwierzę. Nagle wypuścił to z ręki, gdyż pojął, dlaczego było takie ciepłe: to były czarne majteczki!

Opanował się jednak znowu i zachowywał się spokojnie. Gusta i artystka Fröhlich wymieniły przy pracy kilka sądów technicznych. Kiepert skończył już znowu.

— Muszę wyjść — rzekła jego żona — niech pan ciągnie.

A że Unrat nie poruszył się:

— Czy pan ma uszy zatkane?

Unrat wzdrygnął się; zdążył „usnąć", jak jego uczniowie, gdy lekcja trwała dla nich za długo. Cierpliwie ujął sznurowadła gorsetu. Artystka Fröhlich uśmiechnęła się do niego przez ramię.

— Dlaczego stał pan przez cały czas odwrócony ode mnie? Dawno już przecież jestem znowu przyzwoicie ubrana.

Nosiła teraz pomarańczową halkę.

— W ogóle — ciągnęła — tylko ze względu na Gustę powiedziałam to o odwróceniu się. Jeżeli o mnie idzie: chciałabym wiedzieć, jak się panu podoba moja budowa.

Unrat nie odpowiedział, a artystka niecierpliwie odwróciła od niego głowę.

— Niech pan pociągnie mocniej!... Boże, powiadam panu! Niech pan tu daje, musi się pan jeszcze wiele nauczyć.

Zasznurowała się sama. A że Unrat ciągle jeszcze trzymał bezradnie przed sobą niezajęte ręce:

— Czy nie chce pan w ogóle być dla mnie miły?

— *Owszem tedy* — wyjąkał Unrat stropiony.

Zastanowił się i rzekł wreszcie, że w tych czarnych... w tym czarnym stroju wydawała mu się jeszcze ładniejsza.

— Mały prosiaczku — rzekła artystka Fröhlich.

Gorset był w porządku... Gusta miała również powodzenie, razem z Kiepertem.

— Ale teraz na mnie kolej — rzekła znowu artystka Fröhlich. — Tylko sobie twarz zrobię.

Usiadła przed lustrem, szybko poczęła lawirować palcami pośród flaszeczek, tubek, kolorowych laseczek. Unrat widział tylko, że jej szczupłe ramiona nieustannie migały w powietrzu, a przed jego oszołomionymi oczyma tworzyła się zawikłana gra różowo-bladożółtych linij, które powstawały, zmieniały się, i z których każda, zanim się jeszcze zupełnie rozwiała, już zastąpiona była przez następną. Musiał brać ze stołu nieznane przedmioty i podawać jej. Przy swojej gorączkowej pracy miała jeszcze czas tupać nogą, gdy przynosił coś niewłaściwego, i łaskotać go spojrzeniem, gdy trafiał na żądany przedmiot. Niepodobna było nawet zaprzeczyć, że oczy jej osiągały zdolność łaskotania w coraz silniejszym stopniu. Unrat nie mógł już wreszcie dopuścić wątpliwości co do tego, że pochodziło to od ołówków, które jej podawał, a którymi obwodziła oczy; od czerwonych plam w kącikach, czerwonych kresek pod brwiami i czarnych, tłustych, które malowała sobie na powiekach.

— Jeszcze tylko usta zmniejszyć — zapowiedziała. Maska, Sztuka

I nagle ujrzał jej wczorajszą twarz, kolorową twarz. Teraz dopiero siedziała przed nim właściwa artystka Fröhlich. Widział, jak powstawała i teraz to dopiero spostrzegł. Rozwarł się przed nim przelotny widok do kuchni, w której robi się piękno, rozkosz, duszę. Był rozczarowany i wtajemniczony. Pomyślał: „Więc to nic więcej?" i zaraz potem: „To przecież wspaniałe!". Serce biło mu — a tymczasem artystka Fröhlich ścierała sobie ręcznikiem z dłoni kolorowe tłuszcze, które to bicie serca spowodowały.

Potem umocowała we włosach wczorajszy wygięty diadem... Sala ryczała. Artystka Fröhlich wzruszyła w tę stronę ramionami i zapytała, zmarszczywszy brwi:

— Czy wydało się to panu może piękne?

Unrat nie słyszał nic.

— No, ale teraz panu pokażę. Śpiewam dzisiaj coś śmiertelnie poważnego, dlatego też wkładam długą suknię... Niech mi pan poda tę zieloną.

Unrat musiał przedzierać się najpierw z prawej i lewej strony przez części garderoby, aż poły jego fruwały. Wreszcie znalazł zieloną suknię; w ciągu sekundy stała przed nim artystka w bajecznych fałdach, bez wcięcia w talii, nieco tylko ściągnięta girlandą z róż... Spojrzała na niego, Unrat nie powiedział nic; ale z twarzy jego była zadowolona. W wiel-

kim stylu skierowała się do drzwi. Tuż przed drzwiami odwróciła się, gdyż przypomniała sobie o sporej tłustej plamie z tyłu, którą Unrat obserwował teraz.

— Tego przecież tym małpom nie potrzebuję pokazywać, prawda? — oświadczyła z bezgraniczną pogardą. Potem ukazała się łaskawie w szeroko otwartych drzwiach. Unrat odskoczył, można go było zobaczyć.

Drzwi pozostały na wpół otwarte. Na sali wołano:

— „Do licha jasnego!" i „Jedwabna zielona suknia" i „Kogo stać, to mu długie ogony wiszą!"

Śmiano się też.

Fortepian począł lać łzy. W dyszkancie był wilgotny od łkania, w basie mógł sobie posiąkać do woli.

Unrat słyszał, jak artystka Fröhlich zaczęła:

— Księżyc okrągły jest i gwiazdy blado świecą,
A kiedy słuch wytężasz nad srebrnym jeziorem,
Słyszysz, jak miłość twoja łka późnym wieczorem...

Tony wynurzały się, niby matowe perły na czarnej toni, z melancholijnej duszy śpiewaczki.

Unrat pomyślał:

„Wszelako więc atoli..."

Czuł się niewyraźnie, smutno mu było na duchu. Podkradł się do szpary w drzwiach i ujrzał jak między amplami[29] wolno tworzyły się i znikały znowu zielone fałdy na sukni artystki Fröhlich... Przechyliła głowę do tyłu; w polu widzenia Unrata ukazał się wygięty diadem na jej rudawej fryzurze i kolorowy policzek pod wysoką, czarną brwią. Przy jednym z pierwszych stolików rzekł entuzjastyczny głos, głos barczystego wieśniaka w granatowej kurtce wełnianej:

— Nie, jaka ta kobita jest ładna! Kiedy teraz wrócę do domu, nie będę mógł nawet spojrzeć na swoją starą.

Unrat przyjrzał się temu mężczyźnie z lekceważącą sympatią; pomyślał:

„Ejże, *owszem więc tedy*, człowieku".

On nie był przy tym, jak artystka Fröhlich powstawała! Nie wiedział, czym jest piękno, nie był powołany do decydowania o tym, musiał je przyjmować, jak mu je podawano, cieszyć się jeszcze, jeśli mu psuło apetyt na własną żonę.

Strofa kończyła się skargliwie:

— Kołysze się me czółno w takt twojego serca,
Ma dusza łka, a księżyc śmieje się — szyderca!

Ale i wśród słuchaczów śmiał się ktoś, parskając głośno. Unrat, wytrącony ze swego nastroju, daremnie szukał pośród głów. Artystka Fröhlich zaczęła drugą strofę znowu słowami: „Księżyc okrohągły jest"... Przy refrenie „A księżyc śmieje się —" śmiało się już sześć czy siedem osób. Jeden pośrodku chichotał jak Murzyn[30]. Unrat odszukał go, to *był* Murzyn! Ten kolorowy zarażał swoje otoczenie, Unrat widział, jak i inne twarze układają się w wesołe fałdy. Powstało w nim pragnienie, wydrzeć owe mięśnie z ich skrzywienia. Przestępował z nogi na nogę, dręczyła go jakaś męka...

Artystka Fröhlich obwieściła po raz trzeci:

— Księżyc okrohągły jest.

— To już wiemy — rzekł ktoś, szeroko i stanowczo.

Kilku przychylnych zaoponowało przeciw wzrastającej wrzawie. Ale śmiech czarnego działał zaraźliwie. Unrat widział całe szeregi rozwartych ust, czarnych, z kilkoma żółtymi kłami w jamach lub z półksiężycami białej kości od uchą do ucha; z wieńcowatymi brodami marynarskimi pod podbródkiem lub podkręconą szczeciną na wadze górnej. Unrat

[29] *ampla* — lampa z kloszem w kształcie płaskiej miski. [przypis edytorski]

[30] *Murzyn* — określenie osoby ciemnoskórej, dawniej używane jako neutralne, w XXI w. uznawane za obraźliwe. [przypis edytorski]

poznał praktykanta biurowego, byłego ucznia swojej „sekundy", który wczoraj u wylotu stromego zaułka roześmiał mu się w twarz, a który teraz rozdziawiał szczęki, jak mógł najszerzej, na cześć artystki Fröhlich. I Unrat czuł, jak wściekłość uderzała mu oszołamiająco do głowy, przeniknięta trwogą wściekłość tyrana. Artystka Fröhlich była jego własną sprawą! On ją zaakceptował, śledził zza kulis jej produkcje, był z nią związany i niejako sam ją prezentował! Dopuszczano się wykroczenia przeciwko niemu, jeśli się ważono nie uznawać jej! Trzymał się futryny, inaczej musiałby wybiec i groźbami, razami, karami zmusić zbuntowany tłum zbiegłych uczniów do posłuszeństwa.

Stopniowo wyszukał pięciu, sześciu z nich. Sala była naszpikowana opornymi z poprzednich roczników! Gruby Kiepert i gruba Gusta chodzili dokoła, pili z kufli, zdobywali sobie popularność. Unrat gardził nimi, zstępowali do rynsztoka. Na wzniosłej wyżynie stała w swojej zielonej sukni jedwabnej, w swoim wygiętym diademie, artystka Fröhlich; ale nie chciano jej, wołano:

— Mamy cię już dosyć!

A Unrat nie mógł tego zmienić! To było straszne! Mógł zamykać uczniów do „kabufu", kazać im pisać ćwiczenia o rzeczach nieistniejących, czyny ich zmuszać do usług, tresować ich usposobienie, a gdy który odważył się myśleć, narzucać mu: „Ty nie masz myśleć!". Ale nie mógł ich zmusić, aby uważali za piękne, co było pięknem wedle jego mniemania i rozkazu. To była może ostatnia ucieczka ich przekory. Despotyczny popęd Unrata natykał się tutaj na najdalszą granicę ustępliwości ludzkiej... Nie mógł tego niemal znieść. Chwytał powietrze, rozglądał się za jakimś wyjściem ze swojej niemocy, wił się pod pożądaniem rozwalenia jakiejś takiej czaszki i naprawienia w niej zagiętymi palcami zmysłu piękna. Klęska

Że też artystka Fröhlich mogła być jeszcze tak ufna i wesoła i posyłać rękoma pocałunki krzyczącym i syczącym! Była właściwie wielka w porażce... Teraz odwróciła się na wpół od publiczności i powiedziała coś do fortepianu. I oto stało się jednakże, że jej wesoła i usłużna mina przeszła zupełnie niespodzianie w zgorzkniałą i złą, z małym drgnieniem, jak w kinematografie. Zdawało się Unratowi, że przeciąga ona w miarę możności rozmowę z pianistą i stara się jak najbardziej odwrócić. Dalej już nie było można; tłusta plama na jej plecach ukazałaby się wtedy. Nagle wyprostowała się znowu zupełnie wesoło, zakasała zieloną suknię jedwabną, uniosła wysoko na nogi pomarańczową halkę i wybuchła serdecznymi trelami:

— Że jestem jeszcze taka maała i taka niewihinna.

Odwaga jej została nagrodzona, klaskano, domagano się piosenki jeszcze raz. Gdy trzasnąwszy drzwiami powróciła do garderoby, zapytała, dysząc krótko:

— No, co pan teraz powie? Ładnie wylazłam, co?

Szkoda była naprawiona, wszyscy zaspokojeni — tylko w samym końcu sali, oparty o ścianę przy wyjściu, stał Lohmann, blady i nieprzytomny, spuściwszy wzrok na swoje skrzyżowane ramiona, i myślał, że jego wiersze, jego wiersze, które pod śmiechem brutalów uciekły na ciemne ulice, teraz zdążają, drżąc w nocnych falach powietrznych, ku oknu pewnej sypialni, że zapukają do niej bardzo słabo i że wewnątrz nikt tego nie usłyszy...

Gruba Gusta weszła z Kiepertem do garderoby. Artystka Fröhlich odrzuciła głowę i rzekła obrażona:

— Niech mnie kto jeszcze raz namówi, żebym śpiewała tę bzdurę tego głupiego chłopaka!

Unrat usłyszał to, ale nic sobie przy tym nie pomyślał.

— Dziecko — wyjaśniła tęga kobieta — na tych ludziach nie można polegać, to się przecież wie. Gdyby nie było tego Murzyna, płakaliby, zamiast się śmiać.

— Naturalnie gwiżdżę na to — rzekła artystka Fröhlich. — Jeżeli oczywiście profesor postawi nam co do wypicia. Co też on nam da do picia? Alkohol, Obyczaje, Flirt

I jak wczoraj położyła dwa leciutkie palce pod jego podbródek.

— Wina? — odgadł Unrat.

— Doskonale! — rzekła artystka z uznaniem. — Ale jakiego?

Unrat nie był obeznany z kartą win. Oczyma szukał pomocy, jak uczeń, kiedy się zająknie. Kiepert i jego żona przypatrywali mu się z naprężeniem.

— Zaczyna się na s — pomogła mu artystka Fröhlich.

— *Schâteau*... — rzekł Unrat spocony. Nie był neofilologiem i nie miał potrzeby wiedzieć, jak się sylabizuje wyrażenia piwniczne. Powtórzył:

— *Schâteau*...

— E gdzie tam — odpowiedziała artystka Fröhlich... — Po s następuje z, potem a.

Unrat ciągle nie wiedział.

— A potem m... potem p... Nie, widzę, że pan się niczego nie domyśla. To rzeczywiście zdumiewające, że się pan niczego nie domyśla.

Mina Unrata rozjaśniła się nagle z naiwnego szczęścia. Wiedział już.

— Szampan!

— No, dzięki Bogu! — rzekła artystka Fröhlich. Gusta i Kiepert również uznali rozwiązanie za dobre. Artysta wyszedł zrobić zamówienie. Gdy powracał przez salę, gospodarz własnoręcznie niósł przed nim wielkie wiadro, z którego sterczały dwie szyjki. Kiepert, w trykotach, nadymał wargi, podczas gdy dokoła wołano „Ahhh!" i „Hohoho!".

Wesoło zrobiło się teraz w garderobie artystów. Przy każdym nalewanym kieliszku Unrat myślał: to jego wino, tu już Lohmann nie ma nic do gadania. I nagle rzekła także artystka Fröhlich:

— Szampana nigdy jeszcze pańscy głupi malcy nie postawili.

Oczy jej łaskotały silniej:

— Nie prosiłabym ich zresztą o to.

Ponieważ wyraz twarzy Unrata pozostał niewinny, westchnęła. Kiepert wzniósł kieliszek:

— Panie profesorze, za tych, których kochamy!

I mrugnął od Unrata do artystki Fröhlich. Róża mruknęła zgryźliwie:

— Brednie! On przecież nie wpadnie na to.

Tęga kobieta musiała się przebrać do następnego numeru; gdyż po śpiewie następowała teraz gimnastyka. Zauważyła:

— Tego jednak nie pokażemy panu profesorowi, jak włażę w trykoty. Nie, tak daleko jeszcze przyjaźń nie sięga.

Postawiła trzy krzesła jedno na drugim, zawiesiła poręcze sukniami i udała się za ten parawan. Na wysokość zasłona starczyła, ale szerokość jej ciało Gusty znacznie przekroczyło. Osoby w pokoju co chwila widziały jakiś kawałek jej i podnosiły krzyk. Artystka Fröhlich śmiała się, zarzuciwszy ramiona na stół, i tak dalece zaraziła Unrata swobodą, że kilka razy z wyciągniętą szyją zerknął do schowanka Gusty. Wołała „hu!" i „no!", Unrat cofał się, a potem na nowo podejmował nieśmiały żart.

Ale artystka Fröhlich wyprostowała się z trudnością. Wstrzymała oddech, aby móc powiedzieć:

— Ze mną by tego nie zrobił, głowę daję.

I parsknęła śmiechem.

Sala wołała sztuki, fortepian nie był w stanie utrzymać jej dłużej na wodzy. Para grubasów musiała wyjść.

Pozostawszy sama z Unratem, artystka Fröhlich skupiła się. Unrat stał się nagle zakłopotany. Przez chwilę było u nich cicho, na sali zaś śpiewano. Artystka rzekła z niechęcią:

— Znowu ta przeklęta pieśń marynarska na koźle gimnastycznym. Jeszcze ja im to kiedy zohydzę!.. Ale pan przecież jeszcze wcale oczu nie otworzył, nie widzi pan jeszcze, że tu jest teraz zupełnie inaczej.

— Tu w ka...? Tutaj? — wyjąkał Unrat.

— Rzeczywiście, niczego pan nigdy nie spostrzega... Czy tam za lustrem nie tkwiło może coś wczoraj? Coś z prawej strony i coś z lewej?

— Ach tak... *owszem tedy*... Dwa bukiety?

— A pan, niewdzięczny człowieku, nie widzi nawet, że na pańską cześć wsadziłam te zielone wiechcie do pieca.

Dąsała się, od dołu. Unrat zerknął na piec i zaczerwienił się z zadowolenia; gdyż artystka Fröhlich spaliła bukiety Lohmanna. Nagle ogarnął go gwałtowny niepokój; powstała w nim myśl, by zastąpić bukiety Lohmanna przez dwa inne, które on sam przyniesie artystce Fröhlich!... Stwierdził, że za czerwoną firanką nie było twarzy. I podniecony pragnieniem zmierzenia się z Lohmannem:

— Moja droga... *więc jednak wszelako*... pani, z pewnością obcowała pani jeszcze wczoraj wieczorem z tymi młodzieńcami?

— A dlaczego pan tak wcześnie odszedł? Cóż miałam robić, kiedy tamci wdarli się tutaj? Ale powiedziałam im prawdę, szczególnie temu jednemu...

— No, to dzielnie... A dzisiejszego wieczora, przybywając do tej gospody, na pewno... *zawsze znowu raz po raz*... spotkała pani przed domem tych trzech uczniów?

— Co mnie niezmiernie uszczęśliwia.

— Droga pani, jeżeli nie może się pani obywać bez kwiatów i szampana, będzie je pani otrzymywała *ode mnie*. Jest rzeczą niedopuszczalną, aby pani wchodziła w posiadanie tych rzeczy za sprawą uczniów. Flirt, Zazdrość

I zarumieniony nagle, ożywiony, z zagadkowo zaostrzonym zmysłem obserwacyjnym, pojął Unrat zupełnie niespodzianie, że pod „bzdurą tego głupiego chłopaka", której artystka Fröhlich nie chciała więcej śpiewać, miała ona na myśli swoją piosenkę o okrągłym księżycu i że piosenka ta jest dziełem Lohmanna. Oświadczył:

— Nie tylko piosenki o okrągłym księżycu nie będzie pani więcej śpiewała. W ogóle nie będzie pani więcej śpiewała piosenek ucznia Lohmanna!

— A jeżeli ja jego nie znoszę — zapytała uśmiechając się, ciągle od dołu — to czy *pan* będzie mi pisał piosenki?

Na to nie był Unrat przygotowany. Zapewnił jednak:

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Tak, widzi pan. I w ogóle — wiele się daje zrobić. Tylko trzeba wpaść na to.

I podsunęła mu twarz z wyciągniętymi w ciup ustami.

Ale Unrat „nie wpadł na to". Spoglądał na nią bezradnie i z nieokreśloną nieufnością. Artystka zapytała:

— Po co pan tu właściwie jest?

— Uczniowie nie powinni... — zaczął Unrat.

— No, dobrze... — Szarpała ręką suknię. — Muszę włożyć coś krótkiego. Może się pan okazać użyteczny. Pijaństwo, Artysta, Zabawa

Unrat uczynił to. Tęga para powróciła spragniona od swoich triumfów. Jedna jeszcze tylko z butelek zawierała pół kieliszka. Kiepert oznajmił gotowość sprowadzenia nowego zapasu. Unrat poprosił go o to. Artystce Fröhlich nalano jeszcze szybko, potem musiała śpiewać. Okryła się sławą. Szampan był słodszy, Unrat coraz szczęśliwszy. Do następnego numeru artysta wyszedł na rękach i zdobył nieposkromione brawa. Stale odtąd używał tego sposobu poruszania się. Temperament artystki Fröhlich wzmagał się za każdym występem i spotykał się z coraz burzliwszym uznaniem. Unrat nie mógł sobie wyobrazić, że będzie musiał wstać kiedyś z krzesła. Ostatni goście odeszli już. Artystka Fröhlich rzekła jeszcze, tryskając żądzą życia:

— Tak żyjemy na co dzień, profesorku. W niedziele robimy to jeszcze przemyślniej.

I zaraz potem wybuchła łkaniem. Unrat patrzał zdumiony i jak przez zasłonę, kiedy wcisnęła nos między leżące na stole ramiona, a wygięty diadem spadł jej z głowy.

— To przecież tylko błyszcząca strona zewnętrzna — rzekła z łkaniem. — Wewnątrz jest tylko szara nędza...

Rozpaczała nadal. Unrat zastanawiał się z udręką nad czymś, co mógłby jej powiedzieć. Tymczasem Kiepert powrócił z sali, podniósł Unrata z krzesła i oznajmił, że go odprowadzi. Pod drzwiami Unrat wpadł na pomysł. Odwrócił się, a ręka jego z wysiłkiem skierowała się w powietrzu ku artystce Fröhlich, która już spała; przyrzekł jej:

— Postaram się przepchnąć panią.

To mógł powiedzieć przed promocją nauczyciel do ucznia, któremu dobrze życzył, albo mógł to sobie o nim pomyśleć. Ale Unrat do nikogo jeszcze tego nie powiedział i o nikim tak nie pomyślał.

Rozdział siódmy

Piętnaście minut po ósmej Unrata nie było jeszcze. W żądzy wykorzystania swojej swobody klasa hałasowała aż do ogłuszenia siebie, aż do ogłupienia. Wszyscy wołali, nie zdając sobie z tego sprawy: „Unrat! Unrat!". Jedni wiedzieli na pewno, że umarł. Inni przy- Pijaństwo, Nauczyciel, Hańba

sięgali, że zamknął w domu swoją gospodynię do „kabufu" i zagłodził ją, a w tej chwili znajduje się w więzieniu. Lohmann, Erztum i Kieselack milczeli.

Niespodzianie zakradł się Unrat długimi krokami na katedrę i ostrożnie, jakby go bolały wszystkie kości, siadł na fotelu. Wielu nie spostrzegło jeszcze jego obecności i wyli dalej: „Unrat!". Ale Unratowi zdawało się nie zależeć na tym, aby ich na tym „przyłapać". Wyglądał bardzo szaro, czekał cierpliwie, aż go dopuszczono do słowa, i przy ocenie odpowiedzi zachowywał się z chorobliwą wprost kapryśnością. Jednemu z uczniów, którego zazwyczaj namiętnie prześladował, pozwolił przez dziesięć minut wygłaszać jak najbardziej fałszywe tłumaczenie. Innemu przerwał przy pierwszym słowie, tryskając jadem. Erztuma, Kieselacka i Lohmanna znowu omijał uporczywie — ale myślał tylko o nich. Zadawał sobie pytanie, czy wczoraj w nocy podczas jego mozolnego powrotu nie stali za rogiem jakiegoś domu, którego on czepiał się z obydwiema rękoma na murze i w szczególnie kiepskim stanie. Zdawało mu się nawet, że się na nich natknął i powiedział *pardon*. Ale myśl jego nawet wówczas pozostała niezniszczalnie jasna i ani na chwilę nie utracił świadomości, że nie wszystko, co w owym zamroczeniu widział i czuł, musiało należeć do świata zewnętrznego.

Cierpiał bardzo, że nie mógł sobie z tej sprawy zdać jasnego sądu. Co wiedzieli ci trzej nikczemnicy?... I co się mogło wczoraj jeszcze stać, gdy Unrat sam usunięty został od wydarzeń? Czy powrócili do Błękitnego Anioła? Czy Lohmann powrócił do „kabufu"?... Artystka Fröhlich płakała, możliwe, że spała już nawet. Ale może Lohmann obudził ją?... Unrat łaknął jednego tylko, kazać Lohmannowi *wyjaśnić najtrudniejsze miejsce*. Ale nie odważył się.

Lohmann, hrabia Erztum i Kieselack obserwowali go nieustannie, Kieselack zdawał sobie przy tym doskonale sprawę, jakie to wszystko było komiczne, von Erztum — jakie było poniżające, Lohmann — jakie żałosne; ale niezależnie od tego doznawali wszyscy trzej pewnego rodzaju grozy, jakiegoś straszliwego wtajemniczenia przez swe posępne porozumienie z tyranem.

Na dziedzińcu szkolnym, podczas przerwy, oparł się Lohmann o oświetlony słońcem mur, skrzyżował ramiona i jak wczoraj przy zadymionym murze sali usłyszał w duchu brzmienie swego nieszczęścia w swoich wierszach. Erztum zbliżył się jakby od niechcenia i zapytał zdławionym głosem:

— Leżała na stole i spała? To przecież nie może być, Lohmann.

— A ja ci powiadam, że chrapała. Spoił ją.

— Łajdak! Jeżeli go jeszcze raz...!

Erztum wstydził się dokończyć swojej przechwałki. Niemo zgrzytał zębami w jarzmie szkoły. Większym wstrętem niż Unrat napawała go własna bezsilność. Nie był godzien Róży!...

Wśród wałęsania się uczniów Kieselack przecisnął się do dwóch współwtajemniczonych i skrzywiwszy usta szepnął za ręką, w okrutnej radości:

— Człowieku, on przecież wpada, powiadam wam, okropnie wpada!

Zanim odszedł, zapytał jeszcze szybko:

— Pójdziecie tam znowu?

Dwaj koledzy wzruszyli ramionami. To była rzecz tak naturalna, że aż godna pogardy.

Dla Unrata było to obowiązkiem, a obowiązek ten stawał się co dzień radośniejszy, w miarę jak się zadomawiał u artystki Fröhlich. Aby Lohmann nie mógł go uprzedzić, był zawsze pierwszy w Błękitnym Aniele. Porządkował przedmioty na toaletce, wyszukiwał najczystsze halki i majteczki, co trzeba było cerować, odkładał na osobne krzesło. Artystka Fröhlich zjawiała się późno, gdyż poczęła polegać na Unracie. Nauczył się wnet czynić swe szare palce zupełnie ostrymi i rozwiązywać nimi supły, nauczył się poprawiać jej kokardy, wyciągać szpilki z kryjówek na jej ciele. Gdy się szminkowała, różowo-bladożółta gra jej szybkich ramion z wolna stała się dlań szeregiem zrozumiałych chwytów. Począł się orientować na palecie jej twarzy, nauczył się nazw i zastosowania kolorowych laseczek

i butelek, puszków i pudełek, naczyń i tubek z tłuszczami, cicho i gorliwie wprawiał się w ich używaniu. Artystka Fröhlich spostrzegała jego postępy.

Pewnego wieczora przechyliła się na krześle przed lustrem i rzekła:

— No.

A Unrat tak doskonale oporządzał jej głowę, że nie potrzebowała maczać palca w żadnym olejku. Dziwiła się jego zręczności i pragnęła się dowiedzieć, w jaki sposób osiągnął ją tak szybko. Unrat zaczerwienił się i wyjąkał coś; ale ciekawość jej pozostała niezaspokojona.

Unrat rad był ze znaczenia, jakie osiągnął w garderobie. Lohmann nie mógł się już spodziewać, że go zastąpi. Czyżby na przykład Lohmann zapamiętał, że to różowe bolero trzeba oddać do farbiarza? Ba, gdyby Lohmann przez pilne uczenie się zadawanych wierszy Homera wyćwiczył swoją pamięć! Teraz skutki jego lenistwa wychodziły na jaw!... Między białymi sztukami bielizny na podłodze i na meblach przesuwał się Unrat niby wielki, czarny pająk, chwytając szybko cienkimi, zagiętymi palcami.

Pod jego szarymi, kanciastymi rękoma wygładzały się wiotkie, szeleszczące tkaniny. Inne przybierały niespodzianie kształty, które zachowały — stawały się ramieniem, nogą, na którą Unrat zerkał stropiony, z myślą:

„*Owszem więc tedy... bądź co bądź*".

Potem zakradał się do szpary w drzwiach i wyglądał przez nią, wpatrywał się w artystkę Fröhlich, której głos gwizdał i skrzeczał pod grzmotem fortepianu, której członki miotały się wśród dymu, wpatrywał się w gapiące się na nią głupie głowy, niby wzdęte tulipany na grządce. Był z niej dumny, gardził salą, gdy klaskała, ział na nią nienawiścią, kiedy milczała — a szczególne uczucie poświęcał jej, gdy rzęziła z zadowolenia, ponieważ artystka Fröhlich skłoniła się przed nią nisko, ukazując jej hojnie wycięcie swego stanika. Wówczas przeżywał Unrat świerzbiący lęk...

Oto, niby rzucona wichrem oklasków, wpadła do garderoby, a Unrat mógł jej zarzucić płaszcz wieczorny i przypudrować nieco szyję.

Odczuwał przy tym jej humory. Zależnie od tego, czy łaskawie podała mu ramiona, czy też rzuciła mu puszek od pudru prosto w twarz, że nic już nie widział, zaczynała się dla Unrata dobra albo zła godzina. Spojrzenia jego pod powierzchnię kobiecą sięgały głębiej, niż do miejsca, gdzie się kończyły suknie. Doszedł do przeświadczenia, że wraz z tkaninami i pudrami można niemal i duszę namacać i powąchać; że pudry i tkaniny są już nie o wiele mniej niż duszą...

Artystka Fröhlich okazywała się wobec niego to niecierpliwa, to uprzejma. A najbardziej wytrącało go z równowagi, gdy z nieprzewidzianym drgnieniem przypominała sobie o swojej uprzejmości. Czuł się o wiele bardziej swobodnie, gdy go sztorcowała... Ale przypominała sobie od czasu do czasu pewien plan traktowania go, którego wykonanie niezmiernie ją nudziło; pewne reguły postępowania, które przyjęła i którym się poddawała, ale bez szczerego przekonania. Wówczas siadała, z małą wycieczką w sentymentalizm i z miną, jakby siedziała u jego stóp; miną, jaką trzeba przybierać, gdy się chce coś wskórać u poważnego mężczyzny... Ale wnet — i przynosiło to Unratowi ulgę, chociaż nie zdawał sobie sprawy, dlaczego — spychała go znowu z krzesła niby stos halek.

Raz dała mu nawet po twarzy. Cofnęła potem szybko rękę, spojrzała na nią, powąchała i rzekła zdumiona:

— Pan przecież jest tłusty.

Unrat zaczerwienił się bezradnie. Ona zaś wybuchnęła:

— Szminkuje się! A niech mnie piorun trzaśnie! Dlatego się tak prędko nauczył. Uczy się tego potajemnie na sobie! O ty... *obrzydliwość!*[31]

Unrat miał minę przerażoną.

— Tak: *obrzydliwość!*

Zatańczyła dokoła niego.

Potem Unrat uśmiechał się szczęśliwie... Znała jego przezwisko, znała je od Lohmanna i innych, prawdopodobnie już przez cały czas: wstrząsnęło to nim gwałtownie, ale nie przykro, raczej uczuciem rozkoszy. Natchnęło go krótkim podejrzeniem i lekkim wstydem, iż może się czuć tak szczęśliwy, że artystka Fröhlich nazwała go jego niecnym

[31] *obrzydliwość* — niem. *Unrat*. [przypis edytorski]

przydomkiem. Ale — był jednakże szczęśliwy. Zresztą nie miał czasu na rozmyślanie, gdyż posłała go po piwo.

Unrat nie tylko je zamówił; kazał gospodarzowi, który niósł szklanki, iść przez całą salę przed sobą; przez to zaś, że krył tyły transportu napojów, uniemożliwione było, aby inni rozłapali je po drodze. Raz zaproponował właściciel Błękitnego Anioła Unratowi, aby sam zabrał zaraz piwo. Zdumiona godność, z jaką Unrat odrzucił tę propozycję, uchroniła gospodarza przed powtórzeniem swego błędu.

Zanim artystka Fröhlich wypiła, rzekła:

— Na zdrowie, Unratku.

Potem, przerwawszy picie:

— Komiczne, co, że nazywam pana Unratem? Tak, właściwie to komiczne. Nie mamy przecież nic wspólnego z sobą. Jak dawno się już właściwie znamy? Co też to robi przyzwyczajenie... Ale nie, powiem panu coś: Kieperta i jego żonę może licho porwać któregokolwiek dnia, nie wyleję za nimi łzy. Z panem to co innego...

Oczy jej z wolna stały się zadumane i nieruchome. Zapytała zatopiona zupełnie w swoich myślach:

— Ale co to ma znaczyć, czego pan *chce*?

Rozdział ósmy

Nad tym Unrat sam nigdy się nie zastanawiał, i jedno go tylko niepokoiło, gdy późno wieczorem rozstawał się z artystką Fröhlich: nieświadomość co do Kieselacka, von Erztuma i Lohmanna. Z lęku przed ich tajemnym postępowaniem począł z wolna uważać najskrajniejsze rzeczy za możliwe, a wszelkie ustanowione między ludźmi granice za przekraczalne. W uliczce przed Błękitnym Aniołem usłyszał raz ich kroki za sobą. Uczynił własny krok możliwie najlżejszym, aby nie zwróciło ich uwagi, gdy się zatrzyma. Za rogiem zaczekał na nich i niespodzianie wyszedł ku nim z przechyloną głową. Cofnęli się; ale Unrat rzekł zachęcająco, łysnąwszy jadowicie oczyma:

— Więc tedy, widzę, żeście sobie... *zawsze raz po raz*... wyszukali rozrywkę artystyczną. I słusznie. Chodźcie, powtórzymy sobie, co słyszeliśmy, da mi to sposobność przekonania się, jak dalece jesteście już w tych przedmiotach zaawansowani.

Ponieważ trzej uczniowie stali nieruchomo, nie mogąc się widocznie pogodzić z tak przeraźliwą poufałością tyrana, dodał:

— Osiągnięty przez to sąd mój o stanie waszego wykształcenia ogólnego może... *owszem zaprawdę*... wywrzeć niejaki wpływ na wasze najbliższe świadectwa.

Po czym wziął Lohmanna do siebie, dwóm pozostałym zaś kazał iść naprzód. Lohmann poszedł z nim bardzo niechętnie; ale Unrat bez przejścia począł mówić o ułożonej przez ucznia „sekundy" pieśni o okrągłym księżycu.

— „Słyszysz, jak miłość twoja łka późnym wieczorem". — rzekł. — Miłość, jako abstrakcja, nie powinna by więc wprawdzie móc płakać. Że jednak pragniesz widzieć „Miłość" jako personifikację swego stanu duchowego, zaś ta istota poetycka występuje oto z ciebie, aby płakać nad brzegiem przyjętego przez ciebie jeziora, więc niechaj tedy tak będzie. Dodać jednak musi nauczyciel, że stan taki bynajmniej nie jest odpowiedni dla ucznia „sekundy", i to takiego, który ma zupełnie niepewne widoki *zaliczenia* roku.

Lohmann, przerażony i rozgoryczony, że Unrat obracał w swoich suchych palcach kawał jego duszy:

— Wszystko to jest licencją poetycką, panie profesorze, od początku do końca. Bardzo frywolną robotą, *l'art pour l'art*[32], jeżeli pan zna to wyrażenie. Z duszą nie ma to nic wspólnego.

— *Więc tedy*... niechaj tak będzie — powtórzył Unrat. — Zasługa uczuciowego wrażenia pieśni przypada zatem... *istotnie zaprawdę*... wyłącznie produkującej ją artystce.

Wymienienie artystki Fröhlich wznieciło w nim dumę, którą stłumił, wstrzymując oddech. Zaraz też skierował rozmowę na inne tory. Zarzucał Lohmannowi jego romantyczny sposób tworzenia i domagał się od niego gorliwszego studiowania Homera, Lohmann twierdził, że nieliczne prawdziwie poetyczne miejsca u Homera dawno zostały prze-

[32] *l'art pour l'art* (fr.) — sztuka dla sztuki. [przypis edytorski]

wyższone. Konający pies przy powrocie Odyseusza oddany jest daleko silniej w *La Joie de vivre*[33] Zoli.

— Jeżeli słyszał pan o tym, panie profesorze — dodał.

Wreszcie rozmowa zeszła na pomnik Heinego[34], a Unrat krzyknął rozkazująco w noc, czując żądzę zemsty wobec Lohmanna:

— Nigdy! Przenigdy!

Znajdowali się przy bramie miejskiej; Unrat powinien by zaraz skręcić. Zamiast tego zawołał do siebie, między ciemnymi łąkami, Kieselacka.

— Idź więc tedy teraz ze swoim przyjacielem von Erztumem — rzekł do Lohmanna. W następnej chwili cała jego uwaga przerzuciła się na Kieselacka. Stosunki rodzinne tego ucznia nie dawały za niego rękojmi. Ojciec jego był urzędnikiem portowym, zajętym w nocy. Kieselack przyznawał, że dzieli dom jedynie z babką. Unrat uświadomił sobie, że staruszka ta zapewne bardzo mało ogranicza nocną swobodę ruchów Kieselacka. A brama Błękitnego Anioła długo jeszcze była otwarta...

Kieselack zwietrzył, o co szło Unratowi. Zapewnił go:

— Babka bije mnie.

Pod czujnym spojrzeniem Unrata, o kilka kroków przed nim, von Erztum zwiesił kurczowo zaciśnięte ręce i rzekł głucho do Lohmanna:

— Niech się za daleko nie posuwa, radzę mu to tylko. Wszystko ma granice!

— Spodziewam się, że jeszcze nie — odparł Lohmann. — Uważam tę historię za coraz bardziej podejrzaną.

Erztum, na nowo:

— Wyznam ci coś, Lohmann... Jesteśmy tu względnie sami, najbliższa latarnia i najbliższy policjant znajdują się dopiero koło wdowy Blöss. Jeżeli się odwrócę i zabiję tego człowieka — spodziewam się, że nie powstrzymalibyście mnie... Ta kobieta — ta kobieta w łapach takiego nędznika, takiej ropuchy! Jej czystość!... Człowieku, ty, coś się stanie?

Gwałtowność von Erztuma potęgowała się, gdyż czuł, że wprawia w zdumienie. Ale nie obchodziło go to i nie wstydził się już swoich gróźb, gdyż dzisiaj czuł się zdolny do spełnienia ich wszystkich.

Lohmann zawahał się.

— Coś stałoby się, gdybyś go zabił, temu oczywiście niepodobna zaprzeczyć — rzekł wreszcie głosem znużonym. — Ktoś by się jednakże odważył na gest — otworzył drzwi — zamiast stać tylko jak my za nimi, w lęku, że się będzie przydybanym, gdy je kto nagle od wewnątrz otworzy.

Lohmann umilkł, czekając z naprężeniem, aby przyjaciel powiedział mu wprost w twarz, że kocha panią Dorę Breetpoot. W duchu igrał z fuzją, przygotowaną na taki wypadek... Ale wyznanie jego przebrzmiało w powietrzu niedosłyszane.

— Inne natomiast pytanie... — I Lohmann wydął usta. — czy uczynisz to... Nie uczynisz przecież nic.

Von Erztum wykonał dziki ruch do tyłu. Lohmann ujrzał doskonale — gdyż latarnia wdowy Blöss nie była już daleko — jak wzrok jego przyjaciela ogarnięty został nagle zamętem. Chwycił go za ramię.

— Bez głupstw, Erztum!

Potem rzekł niedowierzająco:

— Coś podobnego nie istnieje przecież, tego nie można przecież poważnie postanowić. Przyjrzyj się proszę temu człowiekowi. Czy to ktoś, kogo się morduje? To ktoś, nad kim się wzrusza ramionami. Czy masz ochotę po spełnionym czynie znaleźć się razem ze starym Unratem w gazecie? Jakie to kompromitujące!

---

[33] *Konający pies przy powrocie Odyseusza oddany jest daleko silniej w* La Joie de vivre *Zoli — La Joie de vivre* (fr.: radość życia) to powieść Emila Zoli z 1884 r. opowiadająca o Pauline, pełnej życzliwości dla świata i zachowującej optymizm mimo życiowych nieszczęść. Wspomniany pies to Mathieu, należący do rodziny, w której wychowuje się Pauline. Ich relacja, jego przywiązanie do domowników, wreszcie jego starość i choroba, podczas której po kapitualcji weterynarza leczy go zaprzyjaźniony z rodziną lekarz, stanowią istotny wątek powieści, pies pojawia się nawet na afiszu prasowym reklamującym pierwsze wydanie powieści. [przypis edytorski]

[34] *Heinrich Heine* (1797–1856) — niemiecki poeta epoki romantyzmu, pisarz i krytyk literacki, kontrowersyjny ze względu na radykalne poglądy, autor słynnego zdania *Dort, wo man Bücher verbrennt, verbrennt man am Ende auch Menschen*: tam, gdzie pali się książki, w końcu zaczną też palić ludzi. [przypis edytorski]

Ciężkokrwiste wzburzenie Erztuma ucichło z wolna. Lohmann gardził nim nieco, gdyż znowu był nieszkodliwy.

— Na domiar — rzekł — mogłeś uczynić coś nie tak dalece bezsensownego, a nie uczyniłeś. Czy zażądałeś od Breetpoota pieniędzy?

— N-nie.

— Widzisz. Zamierzałeś stanąć przed swoim opiekunem, wyznać mu swoją namiętność i niezłomne postanowienie poddania się jej. Że jesteś mężczyzną i że wolisz raczej odbyć dwuletnią służbę wojskową, niż przypatrywać się, jak ukochana kobieta marnuje się, wpadając w ręce szubrawca. Chciałeś się dla niej wyzwolić: tego chciałeś!

Erztum mruknął:

— Co bym z tego miał?

— Jak to?

— Pieniędzy by mi nie dał. Zaciągnąłby mi mocniej wędzidło. Nie mógłbym teraz nawet widywać Róży.

I Lohmann uważał takie postępowanie opiekuna za prawdopodobne.

— Mogę ci pożyczyć trzysta marek — rzekł niedbale. — Jeżeli więc chcesz z nią uciec...

Erztum odpowiedział przez zęby:

— Dziękuję.

— Nie? Więc nie.

Lohmann wybuchnął cichym i złym śmiechem.

— Ale masz zupełną rację. Zanim się uczyni kobietę hrabiną, trzeba się przecież zastanowić. A inaczej ona tego pewnie nie zrobi.

— Ja sam nie chciałbym inaczej — rzekł von Erztum złamany. — Ale ona nie chce... Ach, ty tego nie wiesz. Nikt nie wie, że od niedzieli jestem zrozpaczonym człowiekiem. Godne to rzeczywiście śmiechu, że traktujecie mnie tak, jakbym był jeszcze tym samym — i że i ja tak się zachowuję.

Zamilkli, Lohmann był bardzo niezadowolony; czuł się pokrzywdzony, zraniony w swej namiętności dla Dory Breetpoot, gdyż oto i Erztum, dzięki tej śmiesznej artystce Fröhlich, popadł w tragiczną rolę. Erztum i ta artystka Fröhlich nazbyt się do niego zbliżali.

— Więc? — zapytał, marszcząc czoło.

— Tak. W niedzielę, podczas wycieczki do Grobowca Olbrzymów[35], z tobą, Kieselackiem i... Różą... Posiadać Różę zupełnie dla siebie, raz jeden wyjątkowo bez Unrata: byłem taki wesoły! Byłem w ogóle pewien zupełnie swojej sprawy!

— Racja. Początkowo byłeś w nadzwyczajnym humorze. W miarę możności zburzyłeś nawet Grobowiec Olbrzymów.

— Ach tak. Gdy pomyślę o tym... kiedy zniszczyłem Grobowiec Olbrzymów... było to jeszcze przedtem... wtedy byłem jeszcze innym człowiekiem... Po śniadaniu byliśmy tak jakby sami w lesie, Róża i ja; gdyż ty i Kieselack spaliście. Zebrałem się na odwagę: w ostatniej chwili ogarnął mnie jednak lęk. Ale ona mnie przecież zawsze dobrze traktowała, zupełnie inaczej niż ciebie... prawda?... i widać było, że czekała tylko na moje oświadczyny. Zabrałem swoją odrobinę pieniędzy i byłem zupełnie przekonany, że nie powrócimy w ogóle do miasta, lecz natychmiast pobiegniemy prosto przez las na stację. Oświadczyny

Zamilkł. Lohmann musiał go zachęcić do mówienia.

— Nie kocha cię... dostatecznie?

— Powiedziała, że nie zna mnie dosyć. Czy uważasz to za fałszywy pretekst?... Uważała też, że nas przecież złapią; a wówczas dostałaby się za uwiedzenie... nieletniego do... ciupy.

Lohmann walczył z chętką śmiechu.

— Tyle zimnego zastanowienia — rzekł z wysiłkiem — to nie jest prawda. A przynajmniej miłość jej nie stoi na wysokości twojego uczucia. Powinieneś się ze swej strony zastanowić, czy nie lepiej by było, abyś raczej cofnął nieco przywiązywanych do niej uczuć... Czy nie masz wrażenia, że po waszej rozmowie przy Grobowcu Olbrzymów nie jest ona już warta całej twojej przyszłości?

[35] *Grobowiec Olbrzymów* — dolmen, grobowiec megalityczny, zabytek z okresu późnego neolitu; w okolicy rodzinnego miasta autora, Lubeki, znajdują się Pöppendorfer Großsteingrab i Großsteingrab Blankensee. [przypis edytorski]

— Nie, tego wrażenia nie mam — rzekł von Erztum poważnie.

— W takim razie nic się nie da zrobić — zadecydował Lohmann.

Znajdowali się przed domem pastora Thelandera. Erztum wdrapał się po filarze na balkon. Unrat stał między Kieselackiem i Lohmannem i przypatrywał mu się. Gdy Erztum znikł w swoim oknie, Unrat w zadumie skierował się do odejścia. Powiedział sobie, że von Erztum, gdyby mu to tylko przyszło na myśl, mógłby zejść znowu... Ale von Erztuma mało się obawiał; gardził jego prostactwem.

Poprowadził dwu pozostałych uczniów z powrotem do miasta i zawiódł Kieselacka aż do obrębu władzy jego babki.

Potem poszedł z Lohmannem przed dom jego ojca, usłyszał, jak się brama zamknęła, ujrzał, jak na górze zapłonęło światło, zaczekał skrupulatnie, aż zgasło, i postał jeszcze chwilę. Nic więcej nie nastąpiło.

Wówczas zdobył się wreszcie Unrat na odwagę, aby się położyć spać.

Rozdział dziewiąty

Każdego ciekawskiego odstraszał Unrat surowo od drzwi garderoby artystów. Obcy marynarze sądzili, że jest on „Heuerbasem", który wynajął artystów; kto nie widział w nim dyrektora trupy, uważał go za ojca. Pośród nich siedzieli ci, co go znali, i śmiali się niepewnie.

Podczas pierwszych wieczorów szydzili głośno. Unrat spoglądał wówczas z wyższością i niewzruszony ponad nimi. Posiadał nad nimi zbyt wielką przewagę. Wkrótce to wyczuli. Wkrótce wydali się sobie sami upokorzeni, oni, co siedzieli przy tym za swoje miedziaki i gapili się — Unrat zaś z porozumiewawczą miną otwierał drzwi przed artystką Fröhlich, na którą wszyscy mieli największą chrapkę. Wbrew woli nabierali szacunku dla Unrata, zaś wysiłki ich, aby go uważać za śmiesznego, z każdym dniem stawały się bardziej zakłopotane. Mścili się za to szeptami w biurach na zapleczu wielkich przedsiębiorstw handlowych. Pierwsze poszepty o nowym trybie życia Unrata znalazły tam otwarte drzwi do miasta. Miasto nie od razu im uwierzyło. Uczniowie starego Unrata twierdzili to, że zamknął swoją gospodynię do „kabufu", to znowu nazajutrz coś zupełnie innego. To było tradycyjne, miasto uśmiechało się z tego.

Pewien młody nauczyciel, pod obroną najsędziwszego z profesorów, na wpół głuchego starca, przybył do Błękitnego Anioła, aby się przekonać o prawdzie. Następnego dnia głuchy profesor wygłosił do Unrata w pokoju nauczycielskim kilka zaklinających zdań o godności stanu wychowawców. Młody nauczyciel uśmiechał się sceptycznie. Unrat przeraził się; ujrzał się w obliczu niewiarygodnego wprost ataku na swoją bezwzględną władzę. Podbródek jego drgał; wyjąkał:

— To jest... *istotnie zaprawdę*... nie pańska sprawa.

Odwrócił się jeszcze raz.

— Moja godność... *baczność więc tedy*!... należy wyłącznie do mnie!

Parsknął kilka razy i oddalił się drżąc. W połowie ulicy ciągle jeszcze ciągnęło go z powrotem. Przez szereg dni rozgoryczało go, że ograniczył się do niejasnych słów. Powinien był wyznać, że artystka Fröhlich jest daleko godniejsza niż wszyscy nauczyciele, piękniejsza niż głuchy profesor i wyższa od dyrektora. Jest jedyna i stoi u boku Unrata, wysoko ponad ludzkością, która bluźni jednakowo, czy się na nią porywa, czy wątpi w nią.

Ale drogi tych poglądów były jeszcze zbyt mało utorowane, zbyt niejasne i zbyt głębokie, aby Unrat mógł na nie wprowadzić ludzi. Poglądy te podniecały go podziemnie; w ciszy swego pokoju miewał wybuchy, podczas których zgrzytał zębami i wznosił pięści. A w niedzielę poszedł z artystą Kiepertem na wybory polityczne, na Kohlmarkt, do głównej kwatery socjalistycznej. Było to wykonaniem nagłego postanowienia. Potęga kasty, do której należał Lohmann, była — odkrył to — do przełamania. Aż dotąd odpowiadał na wszelkie agitacje artysty szyderczo wyższym uśmiechem: uśmiechem uświadomionego despoty, który popiera kościół, szable, nieświadomość i surowe obyczaje i woli nie zdradzać swoich pobudek. Dzisiaj postanowił nagle porzucić to wszystko, stanąć ramię w ramię z motłochem przeciwko podejrzanym władcom, wezwać motłoch do pałaców i opór nielicznych pogrzebać w powszechnej anarchii. W obłokach wyziewów ludu, wi-

szących ciężko pod sufitem lokalu wyborczego, uwikłały się poglądy Unrata; i zapłonął suchotniczą żądzą zniszczenia. Walił zaczerwienionymi kostkami między kufle piwa i domagał się:

— Naprzód więc tedy! Nie jestem skłonny znosić tego wszystkiego dłużej!...

Było to oszołomienie; następnego dnia żałował tego. Ponadto dowiedział się, że na wszystkie te godziny, które on spędził nad przewrotem, artystka Fröhlich znikła z miasta. Chwilowo myślał Unrat, znieruchomiały z przerażenia, że do Lohmanna.

Lohmanna nie było dzisiaj w szkole! Jakiej nikczemności dopuścił się w międzyczasie? Każdą chwilę, gdy się Unrat odwracał, spędzał u artystki Fröhlich! Uciekł do niej ostatecznie! Siedział w jej pokoju! Unrat uczuł potrzebę ujrzenia jej pokoju, przeszukania go...

Dni te spędził Unrat, drżąc z podejrzliwości. W szkole szalał wściekle na karierach uczniów „sekundy". W garderobie artystów oskarżał tęgą kobietę o złowieszczy wpływ na artystkę Fröhlich. Kobieta śmiała się wyrozumiale. Artystka Fröhlich sama odpowiedziała:

— Gdybym miała zrobić z pańskimi trzema sztubakami wycieczkę — wolę się od razu kazać wypchać trocinami, niż żebym miała się włóczyć z pańskimi sztubakami.

Zmierzył ją wzrokiem, przerażony. Potem, czując potrzebę traktowania jej jako nieodpowiedzialnej, uważania jej za zbyt czystą, rzucił się znowu na tęgą kobietę.

— Niech się pani wytłumaczy! Co pani zrobiła z powierzoną sobie artystką Fröhlich?

Kobieta rzekła bez podniecenia:

— W ogóle staje się pan teraz taki komiczny.

Otworzyła drzwi i odwróciła się jeszcze raz:

— Z pańskiej łaski nikt przecież syt nie będzie.

I odchodząc:

— Ani szczęśliwy także nie.

Unrat zaczerwienił się na te słowa. Artystka Fröhlich roześmiała się.

— On przecież na tę myśl nie wpada — wyjaśniła, chociaż była z nim sama. Poza tym nic sobie nie zakomunikowali.

Ilekroć jednak zjawiała się tęga para, Unrat tryskał żądzą sporu. Od dawna już traktował ich z surowością. Im ważniejszą stawała się artystka Fröhlich w jego świadomości, im silniej otaczał ją swoją opieką i im samotniej przeciwstawiał ją ludzkości: tym mniej miejsca było na krzesłach w garderobie na suknie tęgiej kobiety i trykoty Kieperta. Brał im za złe oklaski, jakie zbierali, i ich hałaśliwy humor. Po jednej z produkcji gimnastycznych usunął artystę z garderoby, gdyż pocił się za silnie, co nie przystoi w obecności takiej damy, jak artystka Fröhlich. Kiepiert wyniósł się dobrodusznie, rzuciwszy przypuszczenie:

— Pewnie jest z masła, że w nią zapachy wsiąkają?

Żona jego była nieco urażona, ale śmiała się i pchnęła Unrata. Otarł sobie rękaw. Wtedy obraziła się serio.

Artystka Fröhlich chichotała na to wszystko. Nie mogło jej to nie schlebiać. Para grubasów złościła ją i tak swoją pieśnią marynarską, zyskując coraz większy poklask. Unrat twierdził nieustannie, że artystką jest tylko ona. Naiwny intrygant podniecał jej zazdrość i coraz bardziej przyciągał ją do siebie tym, że skłaniał ją do okazywania całemu światu lekceważenia; tym że zmuszał ją do wspierania się na nim, jako na jej rycerzu bez zastrzeżeń. Żądał od niej najgłębszej pogardy dla sali pełnej ludzi, dla których poklasku pracowała, i dla każdego poszczególnego widza, któremu się spodobała. Nienawidził grubej kobiety szczególnie za to, że zawsze przynosiła z sali nowinki o wrażeniu, jakie pozostawiła artystka Fröhlich.

— Co? Czyżby to było możliwe? — wołał. — Więc ów człowiek ośmiela się otworzyć usta? Ten sam Meyer, który w dziewiętnastym roku życia jeszcze nie udało się uzyskać *zaliczenia*, a wreszcie zmuszony był odbyć trzyletnią służbę wojskową!

Artystka Fröhlich ukrywała pod uśmiechem swoje zmieszanie z tego, że tak nisko postawiony Meyer całkiem jej się podobał. Pragnęła, aby się jej nie podobał. Była z natury pojętna i wrażliwa na to, że człowiek o poziomie duchowym Unrata uznał ją za godną swojej wychowawczej opieki. Zdarzyło się jej to po raz pierwszy. Z podnieceniem przerwała tęgiej kobiecie, która poważyła się jeszcze powiedzieć słowo na korzyść Meyera.

Kiedy indziej łaskotała Unrata kwiatami pod nos.

— Nadgryziona róża jest od tego małego grubasa tuż za fortepianem.

— Dziecko — zaoponowała tęga kobieta — to jest przecież handlarz cygar Fritze z rynku. Elegancki człowiek. Kiepert kupuje u niego. Wspaniały sklep.

— Co Unrat na to? — zapytała artystka Fröhlich.

Unrat powiedział, że uczeń ten był jednym z najgorszych, a jako kupiec nie może być także wiele wart; gdyż nie wystawia mu nigdy rachunku, nie rozpocząwszy najpierw jego nazwiska z fałszywej litery. Gruba kobieta odparła, że to niczego nie dowodzi. Unrat skłamał, że człowiek ten uchodzi za niepewnego pod względem handlowym. Artystka Fröhlich, która widziała, jak Unrat zionie ogniem, kołysała się w biodrach i wąchała nadgryzioną różę.

— Każdemu potrafi pan przypiąć jakąś łatkę — rzekła tęga kobieta. — Do czego pan właściwie zmierza, czy może nam pan to opowiedzieć?

A że Unrat milczał:

— Pan sam nie jest tu przecież niczym.

— Nie, on na nic nie wpadnie — i artystka Fröhlich stuknęła się w kolano, zaś Unrat zalał się rumieńcem.

— Musi mu więc pani pozwolić tylko gadać mądrze — odpowiedziała kobieta — a zadowolić się głupszymi; i oni są coś warci, a przynajmniej wpadają niekiedy na najprostsze rzeczy. Rozumie pani, Różyczko. Mam przecież powody, prawda, żeby pani dawać takie rady, a wiecznie też nie mogę czekać.

Po czym odeszła, aby zaśpiewać z Kiepertem pieśń marynarską. Artystka Fröhlich popadła w płaczliwe rozgoryczenie.

— Do licha, ta baba złości człowieka, że się sinych plam dostaje!

Załamała ręce.

— Rzeczywiście — dodała, opanowując się — ta osoba okropnie mi działa na nerwy.

Zatrzymując się, z rozpaczą:

— Że też pan nie zna litości!

I Unrat uczuł nagle brzemię narastającego codziennie i prawie niepostrzeżenie długu wobec niej, a nie uczuł sił, aby się tego długu pozbyć.

Póki trwała piosenka marynarska, artystka Fröhlich kręciła się, jęcząc, po garderobie.

— Zaraz się skończy!... Zawsze przecież mówiłam, że jeszcze to kiedyś tym grubasom obrzydzę. Czy nie mówiłam? A teraz się skończyło.

I zaledwie małżonkowie Kiepert ukończyli pieśń niemieckich bohaterów morza, artystka Fröhlich wyszła wojowniczo i zaskrzeczała na przejętą jeszcze patriotyzmem salę:

Mein Mann der is'n Schiffskaptän
Woll auf die deutsche Flott,
Un wenn er duhn nach Hause kommt,
Dann haut er mir die —[36]

Początkowo wszyscy zdrętwieli; potem oburzyli się hałaśliwie; wreszcie uświadomili sobie komizm kontrastu. Artystka Fröhlich zwyciężyła w swoim ryzykownym posunięciu, powróciła do garderoby triumfująca.

Tęga kobieta tym razem była poważnie oburzona.

— My dwoje na głowach stajemy, żeby ci ludzie nabrali pojęcia o czymś wyższym. A potem pani przychodzi i wykpiwa nam najświętsze sprawy. Jeżeli to nie jest ordynarne!

Unrat zaprzeczył temu, w przymierzu z artystką Fröhlich. Twierdził, że w sztuce każdy kierunek jest uprawniony; sztuką jest to, co robią wielcy artyści; a najświętszą sprawą jest talent artystki Fröhlich. Uzupełniła ona jego wywody kilkoma słowami do tęgiej kobiety.

— Może mnie pani w ogóle...

[36] *Mein Mann der is'n Schiffskaptän (…) Dann haut er mir die…* (niem.) — „Mój mąż jest kapitanem okrętu w niemieckiej flocie, a gdy wraca do domu...". Niedokończony wiersz ostatni nie nadaje się do przetłumaczenia. [*Dann haut er mir die…*: wtedy wali mnie w...; red. WL]. [przypis tłumacza]

W tej chwili wszedł do garderoby Kiepert, pchając przed sobą przysadzistego mężczyznę o czerwonawej wstędze włosów dokoła mięsistoczerwonej twarzy. Uniósł on brwi w górę i rzekł:

— Do pieruna, panienko, z pani przecież szalona dziewka, z pani przecież. Huhu! „*Denn haut er mich auf'n*"... Ja jestem mianowicie także kapitanem, a jeżeli pani chce wypić coś ze mną...

Unrat już się wmieszał.

— Artystka Fröhlich nie pije... *istotnie zaprawdę*... z nikim. Myli się pan, człowieku. Poza tym nie zdaje pan sobie najwidoczniej sprawy z prywatnego charakteru kab... tej garderoby.

— Panie, żartuje pan chyba — I kapitan uniósł wyżej brwi.

— Bynajmniej — oświadczył Unrat. — Raczej pouczam pana, że musi pan wyjść.

Małżonkom Kiepert było już tego za wiele.

— Panie profesorze — rzekł artysta, urażony i grzmiący — jeżeli sprowadzam sobie przyjaciela, z którym przed chwilą piłem na braterstwo, to to chyba moja sprawa.

Żona jego wybuchła wreszcie:

— Żeby sobie tylko pani nie kupił! Nikomu nie daje tu nic zarobić, smrodu tylko narabia i odstrasza nam ludzi. Różo, niech pani idzie z kapitanem!

Unrat był ziemisto blady, drżał.

— Artystka Fröhlich — zawołał głosem idącym z głębiny i jadowicie zerknął ku niej w trwodze — nie jest taką, aby się jej godziło pić wasze piwo, człowieku!

Spojrzenie jego ukłuło ją; westchnęła.

— Niech pan odejdzie — rzekła — nic się tu nie da zrobić.

Unrat zaś, w triumfie, z zaczerwienionymi nagle kośćmi policzkowymi i z gwałtownym skokiem:

— Słyszycie, człowieku? Sama wam przecież mówi. Artystka Fröhlich skazuje was na banicję. Usłuchajcie! Więc tedy naprzód!

Chwycił już kapitana, wpił się w niego, szarpał go do wyjścia. Silny mężczyzna bez oporu zniósł gorączkowy atak. Otrząsnął się tylko, gdy go Unrat wypuścił. Ale było to już poza progiem i drzwi zamknęły się gwałtownie przed jego zdumionymi brwiami.

Artysta wyrżnął z siłą w stół.

— Człowieku, pan pewnie...

— A pan, człowieku...

Unrat podszedł do niego, dysząc. Kiepert uląkł się.

— ...niech pan sobie zapamięta... *więc tedy*... że artystka Fröhlich znajduje się pod moją opieką i że nie jestem skłonny pozwolić jej obrażać ani też wydrzeć sobie cugli. Niech pan to sobie częściej powtarza! Niech pan to sobie zapisze!

Artysta mruknął coś, ale miał wygląd poskromionego. Po chwili wyniósł się z garderoby. Artystka Fröhlich spojrzała na Unrata i roześmiała się głośno; potem nastąpił śmiech daleko cichszy, drwiący i czuły, taki, jakby się zastanawiała nad nim i nad sobą samą: dlaczego czuje się dumna z niego, który się jej wydaje śmieszny.

Tęga kobieta pohamowała niechęć i położyła Unratowi rękę na ramieniu.

— No, niechże pan posłucha — rzekła.

Unrat otarł czoło, na wpół odwrócony i zupełnie ułagodzony. Po panice tyrana, który nierozumną wściekłością odpowiada na opór, ogarnęło go teraz znużenie.

— Więc tam przez drzwi odchodzi Kiepert, a tu jest Róża, a tu jest pan, a tu jestem ja...

Wnikliwym głosem ukazywała mu rzeczywistość.

— A poza tym był tu jeszcze kapitan okrętu, którego pan wysadził. Przybywa on mianowicie z Finlandii i zrobił świetny interes, bo mianowicie okręt jego utonął, a on był ubezpieczony... Pan pewnie nie ubezpieczał okrętu? No, to przecież niekonieczne. Ma pan za to inne dary duchowe. Musi je pan tylko kiedyś pokazać, to wszystko, co powiadam... Więc oto jest Róża. Rozumie pan? Kapitan ma pieniądze, jest przystojnym człowiekiem i podoba się dziewczynie.

Unrat spojrzał zmieszany na artystkę Fröhlich.

— To wcale nieprawda — rzekła Róża.

— Sama pani przecież powiedziała.

— Boże, jak ona umie kłamać.

— Więc niech pani jeszcze zaprzeczy, że jeden z uczniów pana profesora, ten z czarnym lokiem na oczach, że on się pani zupełnie poważnie oświadczył.

Unrat poderwał się dziko. Artystka Fröhlich uspokoiła go:

— To złośliwa omyłka. Żenić się ze mną chce tylko ten czerwony, który wygląda jak pijany księżyc. Hrabią jest, ale co mi z tego, mnie się on przecież nie podoba...

Uśmiechnęła się do Unrata jak dziecko.

— No, niech będzie, że skłamałam — rzekła gruba kobieta. — Ale prawdą jest chyba, że jest mi pani winna dwieście marek, co, Różyczko? Widzi pan, panie profesorze, nie jest się takim, a ja bym sobie wolała palec odgryźć niż mówić o tym w pańskiej obecności. Ale ostatecznie bliższa ciału koszula, to przecież prawda. A za to, że pan tu wszystkich innych wyrzuca, panie profesorze, niech pan się nie gniewa, za to nie daje pan dość. O pieniądzach nie chcę mówić; ale takie młode stworzenie pragnie też miłości i może jej żądać. A u pana nic się nie widzi, po prostu nie wpada pan na tę myśl. Nie wiem już, czy mam to uważać za przykre czy za śmieszne.

Artystka Fröhlich zawołała:

— Jeżeli ja sama tego nie mówię, to niech się pani nie wtrąca, pani Kiepert.

Ale tęga kobieta nie poddawała się; miała świadomość, że wypowiedziała rozumne słowo w obronie moralności i obyczajów; i wyszła z podniesioną głową.

Artystka Fröhlich wzruszyła ramionami.

— Ona jest przecież nieokrzesana, ale poczciwa. No, niech ją. Żeby pan tylko nie myślał, że ja z nią jestem w zmowie[37] i chcę pana złapać.

Unrat podniósł wzrok od ziemi. Nie, to podejrzenie było od niego dalekie.

— W ogóle z nikim nie jestem w zmowie...

Uśmiechnęła się od dołu, drwiąco i lękliwie.

— Nawet z panem...

Po pauzie:

— To przecież prawda?

Musiała pytać kilka razy. Unrat nie dostrzegał mostu, jaki budowały mu jej słowa. Czuł się tylko ogarnięty powstałym nastrojem, aż mu się zrobiło duszno.

— Niechaj więc tedy będzie... — odparł i wyciągnął drżące ręce do artystki Fröhlich. Podała mu swoje. Jej małe palce, nieco przybrudzone i tłuste, wślizgnęły się miękko między jego kostki. Włosy jej, jej kwiaty z jedwabiu, jej kolorowa twarz wirowały przed nim niby barwne koło. Przedzierał się przez nie.

— Nie będzie pani winna tej kobiecie pieniędzy. Jestem zdecydowany...

Przełknął. Uświadomił sobie ze zgrozą, że uczeń Lohmann mógł go uprzedzić w tym postanowieniu: uczeń Lohmann, którego nie było w szkole i który ukrywał się może w pokoju artystki Fröhlich.

— Będę pani... *istotnie zaprawdę*... opłacał mieszkanie.

— O tym przecież wcale nie mówimy — odpowiedziała cicho. — To u nas sprawa poboczna... Zresztą mój pokój kosztuje niewiele...

Z przerwami:

— Jest tu na górze w domu... Bardzo jest ładny... Chce go pan zobaczyć?

Powieki miała spuszczone i wyglądała na zmieszaną, jak powinno się wyglądać przy oświadczynach poważnego mężczyzny. I dziwiła się, że nie czuje zupełnie ochoty do śmiechu i że małe, uroczyste podniecenie wznosiło jej serce.

Uniosła niezwykle ciemny wzrok i rzekła:

— Więc niech pan idzie naprzód. Te małpy na sali nic nie zauważą.

Rozdział dziesiąty

Kieselack otworzył z zewnątrz drzwi sali, przytknął niebieską łapę do ust i wydał stłumiony gwizd. Natychmiast wyszli Erztum i Lohmann.

— O człeku, pędź! — krzyknął Kieselack każdemu i z zachęcającymi gestami potańczył przed nimi z powrotem, aż do końca bramy w kierunku schodów.

[37] *że ja z nią jestem w zmowie* — w oryginale: *dass ich mit ihr unter einer Decke steck*; dosłownie: „że leżę z nią pod jedną kołdrą", skąd w dalszym ciągu dwuznacznik. [przypis tłumacza]

— Więc już tak daleko zaszło!

— Co już tak daleko zaszło? — zapytał Lohmann obojętnie, chociaż wiedział doskonale i fakt ten trzymał go w napięciu.

— Są już na górze — szepnął Kieselack ze skrzywionymi ustami. Zdjął buciki i zakradł się po trzeszczących płaskich schodach drewnianych o żółtej poręczy. Zaraz na pierwszym niskim pomoście znajdowały się drzwi; Kieselack znał je. Schylił się do dziurki od klucza. Po chwili kiwnął niemo i gwałtownie, nie odsuwając się od dziurki.

Lohmann wzruszył ramionami i pozostał u stóp schodów obok Erztuma, który z otwartymi ustami wybałuszył oczy.

— No, jak się czujesz? — zapytał Lohmann wyrozumiale.

— Bóg świadkiem, nie wiem już, co się dzieje — rzekł von Erztum. — Nie sądzisz chyba, że się tam coś dzieje? Ten Kieselack stroi oczywiście figle.

— Oczywiście — potwierdził Lohmann współczująco.

Kieselack kiwał na nich coraz gwałtowniej.

— Musi ona sobie przecież powiedzieć — zauważył Erztum — że mogę zabić tego człowieka.

— Już znowu?... Zresztą, to może czyni jej tę sprawę ponętniejszą.

Von Erztum nie mógł już za nim nadążyć. Jego pojęcie o miłości było raz na zawsze ustalone przez dziewkę od krów, która przed trzema laty w domu rzuciła go na siano, kiedy osiągnął zwycięstwo nad silnym stajennym... Tutaj wchodził w grę tylko wątły słabeusz; a Róża Fröhlich nie sądziła chyba, że Erztum boi się go?

— Nie sądzi chyba, że się go boję? — zapytał Lohmanna.

— Czyż się go nie boisz? — spytał Lohmann.

— Przekonasz się!

I Erztum, podniecony, wykonał dwa skoki przez sześć stopni.

Ale Kieselack, który opuścił dziurkę od klucza, wykonywał w skarpetkach taniec triumfalny. Nagle, zatrzymując się:

— O człeku! — wyszeptał, a oczy jego zaiskrzyły się na serowo bladej twarzy. Erztum był ogniście czerwony i dyszał. Spojrzenia ich zmierzyły się, walczyły. Erztum żądał wzrokiem: to ma być nieprawdą. Kieselack odpowiadał szyderstwem jednego kącika powieki, która drgała nieco... I nagle Erztum okrył się taką samą bladością, jak jego kolega, pochylił się do przodu, jakby otrzymał uderzenie w żołądek, i jęknął z bólu. Zataczając się zszedł z powrotem po sześciu schodach. Lohmann przyjął go ze skrzyżowanymi ramionami, z ustami w namiętnych fałdach. Erztum padł jak worek na najniższy stopień i ujął głowę w ręce. Po chwili milczenia, głucho, od dołu:

— Lohmann, czy ty to rozumiesz? Kobieta, którą ja stawiałem tak wysoko! Ciągle jeszcze sądzę, że ten wstrętny Kieselack stroi kiepskie żarty. Jeżeli tak, to niech się Bóg nad nim ulituje!... Kobieta, która ma tyle, tyle duszy!

— Przy tym, co ona chwilowo robi, nie idzie właściwie o duszę. Postępuje po prostu po kobiecemu.

Lohmann uśmiechnął się okrutnie. Tym słowem ściągał Dorę Breetpoot w błoto wraz z tamtą — Dorę Breetpoot, pierwszą wśród kobiet. Jakże się tym lubował!

— Ale Kieselack jest znowu przy dziurce od klucza...

Lohmann przywoływał do rzeczywistości Erztuma, który odwracał głowę.

— Kieselack kiwa już znowu gwałtownie... Ten Unrat jest... Erztum, może pójdziemy stąd?

Podniósł przyjaciela z ziemi i pociągnął go do bramy. Na ulicy Erztum nie chciał się dalej ruszyć z miejsca; ciężko i tępo oparł się o dom swoich rozczarowań. Lohmann przemawiał przez pewien czas daremnie. Groził odejściem; wtem zjawił się Kieselack.

— Ale z was to też głupie chłopy. Dlaczego nie wchodzicie? Unrat siedzi tam już ze swoją narzeczoną. Uprzedziłem salę, że nadchodzą, więc przyjęto ich głośnymi wiwatami. Ty, czegoś podobnego jeszcze nie było; siedzą w „kabufie" i czulą się do siebie. Pęknę ze śmiechu! Chodźcie, wkroczymy teraz we trzech mężów do „kabufu".

— Jesteś chyba... — zaczął Lohmann.

Ale Kieselack traktował swoją propozycję poważnie.

— Mam nadzieję, że się chyba nie boicie Unrata! — oburzył się. — Unrat zanadto już się przecież w to wpakował, co nam może jeszcze zrobić! Możemy z nim teraz robić największe świństwa.

— Nie nęci mnie to. Unrat jest poniżej wszelkiego świństwa — oświadczył Lohmann.

Kieselack błagał natarczywie:

— Nie bądźże żabą. Boisz się po prostu.

Erztum zadecydował nagle:

— Więc naprzód! Do „kabufu"!

Ogarnęła go dzika ciekawość. Chciał stanąć naprzeciw tej kobiety, która spadła z takiej wyżyny! Chciał z całej swej wysokości rzucić okiem na nią i jej nędznego uwodziciela i przekonać się, czy wytrzyma ona jego spojrzenie.

Lohmann oświadczył:

— Jesteście wyzbyci smaku.

Ale poszedł z nimi.

W garderobie przyjęło ich brząkanie kieliszków. Gospodarz otwierał właśnie drugą butelkę szampana. Małżonkowie Kiepert pochylali się z promieniejącymi twarzami nad Unratem i artystką Fröhlich, którzy stopieni w jedność tronowali za stołem.

Trzej uczniowie przede wszystkim okrążyli stół. Potem stanęli przed Unratem i jego damą i powiedzieli dobry wieczór. Tylko para Kiepertów odpowiedziała i potrząsnęła im ręce. Potem Erztum sam powtórzył donośnym głosem powitanie. Róża Fröhlich zdumiona podniosła wzrok i rzekła swobodnie, ćwierkającym, gruchającym głosikiem, którego nie znał jeszcze:

— No, jesteście. Patrz, kochanie, są. Siadajcie i *prosit*.

W ten sposób zakończyła z nimi, a wzrok jej ominął Erztuma tak obojętnie, że ogarnęło go drżenie.

Unrat łaskawie podniósł rękę.

— *Owszem więc tedy*... siadajcie i wypijcie kieliszeczek. Jesteście dzisiaj moimi gośćmi.

Zerknął na Lohmanna, który usiadł już i skręcał sobie papierosa... Lohmann, najgorszy, którego elegancja była upokorzeniem dla źle opłacanego autorytetu; Lohmann, który był o tyle bezwstydny, aby nie nazywać Unrata jego przezwiskiem; Lohmann, który nie był mysio szarym, podwładnym uczniem ani też głupim chłopakiem, lecz który swymi obojętnymi manierami, swoim zaciekawionym ubolewaniem przy gniewie nauczyciela *wątpił* w tyrana: do wszystkich spraw pobocznych, którymi się ten Lohmann zajmował, zamierzał dodać także artystkę Fröhlich. Ale pod tym względem rozbił się o spiżową wolę Unrata. Nie będzie siedział w „kabufie" u artystki Fröhlich: Unrat poprzysiągł to sobie. Nie wejdzie w posiadanie artystki Fröhlich: nie wszedł w jej posiadanie. I nie dość, że Lohmann nie siedział w „kabufie" u artystki Fröhlich, siedział tam, przeciwnie, Unrat... Rezultat ten wykraczał daleko poza pierwotny cel Unrata. Zmieszał się i poczuł nagle gorętsze zadośćuczynienie. Zabrał artystkę Fröhlich Lohmannowi i jego dwóm kolegom, zabrał ją zbiegłym uczniom tam na sali, całemu miastu pięćdziesięciu tysięcy opornych uczniów, i on był jedynowładcą w „kabufie"!

Był po prostu odmłodzony. Z krawatem za uchem, kilkoma guzikami odpiętymi i skłębionymi resztkami fryzury miał w sobie coś wytrąconego z kolei, upadle zwycięskiego, niezręcznie pijanego.

Róża Fröhlich, przytulona do niego, wisząca nad stołem, miała w sobie coś miękkiego, znużenie-ciepłego, dziecięcego. Wygląd jej był obelgą dla każdego niezainteresowanego mężczyzny, gdyż był aż nazbyt zdecydowanym triumfem Unrata.

Trzej przybysze spostrzegli to doskonale; Kieselack począł nawet obgryzać paznokcie. Kiepert, który mniej zdawał sobie z tego sprawę, uporał się ze swymi niewyraźnymi uczuciami przez to, że hałaśliwie przypijał do wszystkich. Tęga kobieta zachwycała się nieustannie szczęśliwą odmianą Róży i powszechnym świętem pojednania.

— A pańscy uczniowie, panie profesorze, także się z nami cieszą. Ostatecznie widać, że ci młodzi panowie są do pana bardzo przywiązani.

— *Wszelako więc owszem* — rzekł Unrat. — Wydaje się *istotnie*, że niezupełnie pozbawieni jesteście zmysłu piękna i dobroci.

I uśmiechnął się szyderczo.

— No, Kieselack... *zawsze raz po raz*... jesteś znowu? Zdumiony jestem tylko, że za sprawą czujności swojej babki nie utraciłeś możności opuszczenia domu... Uczeń ten posiada mianowicie babkę, która nie wzdraga się udzielać mu chłosty — rzekł do artystki Fröhlich, w zamiarze poniżenia Kieselacka w jego godności męskiej.

Kieselack był jednak pewien, że innymi zupełnie środkami niż godność męska uzyskał u artystki Fröhlich w swoim czasie *zaliczenie*. Potarł pośladek i zaczął trajkotać, zezując silnie na koniec swego nosa:

— Babka zbije mnie, jeżeli nie odnajdę swego zeszytu do ćwiczeń. Musiał mi na pewno tu w „kabufie" spaść pod stół.

I nagle schylił się, chwycił artystkę Fröhlich za nogę i we wrzawie, jaką sprawiali Kiepertowie, szepnął jej spod stołu swoje żądania. W przeciwnym razie zdradzi wszystko przed Unratem.

— Smarkacz — rzekła tylko Róża w dół i odepchnęła go nogą.

Unrat zagadnął równocześnie drugiego ucznia.

Uczeń, Kochanek

— No więc, von Erztum... *ciągle raz po raz*. Dzięki wyrazowi swej twarzy wywołujesz wrażenie, jakoby twój dar orientacyjny służył ci tutaj równie niedostatecznie jak w klasie. Czy to nie ty właśnie... *baczność więc tedy*!... poważyłeś się uczynić artystce Fröhlich propozycję małżeńską?... Z twego prostackiego wybałuszenia oczu wyczytuję odpowiedź. Więc tedy, von Erztum, artystka Fröhlich pouczyła cię co do obowiązujących ucznia granic. Nie mam potrzeby dodawać do tego nic. Wstań no...

Erztum wstał posłusznie. Gdyż Róża śmiała się; a śmiech jej pozbawiał go ostatniej zdolności oburzania się i resztki jego samopoczucia; obezwładniał go.

— ...i pokaż nam, czy stałe bywanie w Błękitnym Aniele nie doprowadziło ciebie, który jak wiadomo należysz do najgorszych, do tego, że nie tylko nie spełniasz stawianych przez szkołę wymagań, lecz lekkim sercem takowe puszczasz mimo ucha. Powiedz mi zadaną na jutro kantyczkę!

Oczy Erztuma błąkały się rozwarte po pokoju. Czoło jego było mokre. Czuł się w jarzmie, schylił głowę, zaczął:

— Czyliż nie mam sławić Pana?
Czyliż pień[38] nie wznosić doń?
Gdy na każdym widzę kroku,
Jak mnie wspiera jego dłoń.

W tej chwili Róża zaczęła piszczeć. I pani Kiepert gulgotała dobrodusznie. Ale Róża piszczała z zamiarem obrażenia Erztuma; a piszczała miękko, z czułości wobec Unrata, którego ramię przyciskała, i aby mu schlebić, nagrodzić go za jego panowanie nad tym niemrawym, czerwonym człowiekiem, który niezdarnym i poddańczym tonem wygłaszał swoje pobożne rymy.

Von Erztum rzekł jeszcze:

— Wszak to sama miłość tylko,
Która w sercu jego jest...

W tej chwili zachowanie artysty wydało mu się już zbyt szalone. Kiepert teraz dopiero począł smakować sytuację. Ale też teraz zawył Erztumowi w twarz, uderzając się przy tym w kolano:

— Nie panie, ależ panie! Co też pan mówi? Niedobrze się panu chyba zrobiło?

Mrugnął do Unrata, dając mu do zrozumienia, że potrafi ocenić hrabiego Erztuma, wygłaszającego kantyczki w tylnym pokoju Błękitnego Anioła, i że z przekonaniem przyłącza się do tej drwiny z arystokracji i religii. Otworzył drzwi, jakby chciał zamówić u pianisty chorał. Wreszcie zanucił sam... Ale Erztum zamilkł.

Co prawda nie umiałby wcale dalej. Ale niezależnie od tego uczuł nagle, jak go dławi bezgraniczna wściekłość na tego grubego, śmiejącego się, śpiewającego człowieka. Zdało

[38] *pienie* (daw.) — śpiew. [przypis edytorski]

mu się, że nie będzie mógł żyć dłużej inaczej, jak z obydwiema pięściami na tym człowieku, z obydwoma kolanami na piersi Kieperta. Drgnął kilka razy; podniósł zaciśnięte dłonie powyżej ramion... rzucił się naprzód. Atleta tracił oddech ze śmiechu i nie był przygotowany na napaść: dało to przewagę poważnemu Erztumowi, który nareszcie mógł zaspokoić głód swoich mięśni. Zataczali się z kąta w kąt. Pośród tej bójki usłyszał Erztum cichy krzyk Róży. Wiedział, że patrzała na niego; i dlatego odetchnął mocniej: ścisnął członki przeciwnika między swymi; czuł się szczęśnie wybawiony i na swoim właściwym miejscu, gdyż mógł walczyć przed jej oczyma, jak wówczas z parobkiem stajennym przed dziewką od krów.

Tymczasem Unrat, nie poświęcając mniej lub bardziej przelotnego zainteresowania zapasom, zwrócił się do Lohmanna.

— Ale cóż to jest z *tobą*, Lohmann? Siedzisz tu i palisz... *zawsze raz po raz*... papierosa; a dzisiaj rano nie było cię w szkole.

— Byłem niedysponowany, panie profesorze.

— Ale na wizytę w Błękitnym Aniele jesteś... *istotnie zaprawdę*... stale dysponowany.

— To co innego, panie profesorze. Miałem dzisiaj rano migrenę. Lekarz zabronił mi wysiłku myślowego i zalecił rozrywki.

— Tak. Niechaj więc będzie jak chce...

Unrat parsknął najpierw kilka razy. Potem wiedział już.

— Więc siedzisz tu i palisz — powtórzył. — Czy to przystoi uczniowi w obecności nauczyciela?

A że Lohmann przypatrywał mu się tylko ze znużonym zaciekawieniem spod wpółprzymkniętych powiek, Unrat wybuchnął.

— Rzuć papierosa! — krzyknął głucho.

Lohmann przeczekał chwilę. Tymczasem Kiepert i Erztum zatoczyli się na stół; Unrat musiał zabezpieczyć siebie, artystkę Fröhlich, kieliszki i butelki. Gdy się to stało:

— Więc co! Naprzód więc tedy!

— Papieros — odparł Lohmann — należy do sytuacji. Sytuacja jest niezwykła... dla nas obu, panie profesorze.

Unrat przerażony oporem, z podziemnym drżeniem:

— Rzucić papierosa, powiadam!

— Ubolewam — rzekł Lohmann.

— Odważ mi się tylko...! Smarkaczu!

Lohmann wykonał jeszcze tylko wytwornie odpychający ruch wąską dłonią.

Wówczas Unrat, ogarnięty zawrotem głowy zagrożonego tyrana, porwał się z krzesła.

— Rzucisz papierosa, albo powstrzymam cię w twojej karierze! Zmiażdżę cię! Nie jestem skłonny...!

Lohmann wzruszył ramionami.

— Jakie to przykre, panie profesorze. To wszystko przecież minęło. Że też może pan do tego stopnia nie rozumieć okoliczności.

Unrat parskał. Miał oczy wściekłego kota. Szyja jego z chropowatymi żyłami wysunięta była naprzód; przed dziurami w jego uzębieniu ukazała się piana; palec wskazujący na końcu zgiętego pod kątem ramienia godził żółtym paznokciem w nieprzyjaciela.

Artystka Fröhlich uczepiła się go, wyrwana nagle z przeżuwania przebytych rozkoszy, jeszcze trochę nieprzytomna, ze ślepym złorzeczeniem wpadając na Lohmanna.

— Czegóż pani chce? Niech go pani lepiej uspokoi — rzekł Lohmann.

W tej chwili Erztum i Kiepert, wywróciwszy się przez dwa łamiące się krzesła, padli z tyłu na trwającą w objęciu parę i rzucili ją nosami na stół. Ze względnie cichego kąta za stolikiem toaletowym Róży Fröhlich rozległ się głośny okrzyk radosny Kieselacka. Pocieszał się on spokojnie panią Kiepert.

Gdy Unrat i jego przyjaciółka podnieśli się znowu, podjęli złorzeczenia.

— Pan będzie u mnie zawsze ostatni! — wołała artystka do Lohmanna.

— Przypominam sobie, szanowna pani, że mi to pani już przyrzekła, a ja chętnie tego oczekuję.

I nagle, widząc ją potarganą, na wpół rozpiętą, z rozmazaną szminką, dziką i ochrypłą, szarpiącą się przed nim, poczuł niepohamowaną żądzę tej kobiety: znowu ową żądzę, aby upokorzyć swoją okrutną miłość przez ponure pieszczoty występku!

Ale przeszło to zaraz. Gdyż Unrat, w spaźmie trwogi, wmieszał się znowu i zagroził:

— Jeżeli natychmiast nie rzucisz papierosa, odprowadzę cię jak stoję do twego ojca!

Otóż dom Lohmannów gościł tego wieczora kilka osób, między innymi także konsula Breetpoota z żoną. Lohmann wyobraził sobie, jak Unrat wedrze się do salonu... Tym bardziej nie mógł narazić Dory Breetpoot na tą scenę, iż wiedział od wczoraj, że jest ona w odmiennym stanie. Matka jego dowiedziała się o tym... I to też było powodem, że Lohmann nie przyszedł dzisiaj do szkoły. Z głową wspartą na pięściach, w przyjmujących postać wierszy mękach na myśl o tym dziecku, które miała może od asesora Knusta, może od podporucznika von Gierschke, a może nawet od konsula Breetpoota, siedział Lohmann przez cały dzień w swoim zamkniętym pokoju...

— Chodź ze mną! — wołał Unrat. — Uczniu niższej sekundy Lohmannie, rozkazuję ci iść ze mną!

Lohmann niecierpliwie rzucił papierosa. Po czym Unrat zadowolony opadł na krzesło.

— Widzisz! *Owszem, więc tedy*. Tak się godzi uczniowi, który chce się zasłużyć wobec swego nauczyciela... Tobie, Lohmannie, nauczyciel przebacza, gdyż jesteś... *zawsze raz po raz*... tym, co się nazywa *mente captus*[39]. Żywisz przecież właściwie nieszczęśliwą miłość.

Lohmann opuścił ramiona. Był upiornie blady, a oczy jego płonęły tak czarno, że artystka Fröhlich wpatrywała się w niego z podziwem.

— Czy może nie tak? — zapytał Unrat, z jadowitym triumfem. — Piszesz wiersze — nie osiągając przez to wprawdzie...

— ...*zaliczenia*? — uzupełniła lękliwie artystka Fröhlich, gdyż znała ten zwrot przez Kieselacka.

Lohmann powiedział sobie:

„Ten nędznik wie wszystko. Teraz odwrócę się, pójdę do domu, wejdę na strych, skieruję lufę fuzji w swoje serce. A na dole przy fortepianie siedzi Dora. Piosenka, którą śpiewa Dora, wzleci w górę, a skrzydełka jej świecić mi będą aż do śmierci...".

Artystka Fröhlich rzekła:

— Czy pan jeszcze pamięta, jaki wiersz napisał pan o mnie?

Zapytała bardzo łagodnie, z westchnieniem. Pragnęła od niego czegoś więcej. Zawsze właściwie pragnęła od niego więcej, teraz to sobie przypomniała; i uważała go za okrutnego; i za dość głupiego także.

— „Jeśli cię chwycą kiedy ciąży mdłości...". No, kto jest teraz w ciąży?

I to także. Wiedziała i to. Lohmann odwrócił się i skierował do drzwi, skazany. Gdy trzymał już klamkę w ręku, usłyszał, jak Unrat rzekł:

— *Owszem, więc tedy*. Żywisz nieszczęśliwą miłość do artystki Fröhlich, która zdecydowała się jednakże wymknąć ci się i dlatego też nie spełniła owego wyrażonego w twoim bezwstydnym wierszu życzenia. Nie siedzisz teraz w „kabufie" u artystki Fröhlich, Lohmann. Nie wszedłeś w posiadanie artystki Fröhlich, Lohmann. Możesz teraz powrócić do swoich penatów[40], Lohmann.

Jednym ruchem Lohmann odwrócił się znowu. Więc nic więcej.

— Owszem — rzekła Róża. — To prawda, każde słowo jest święte.

Stary głupiec tryskał starczą próżnością. Ta druga istota była tylko nieapetyczną dziewczyną, niczym więcej. Oboje byli zupełnie nieszkodliwi, oboje zupełnie nieświadomi. Tragizm swoich ostatnich minut przeżył Lohmann sam tylko i bez podstawy. Nie zamierzał już zastrzelić się. Wydał się sobie rozczarowany, niemal płytki, znowu zbezczeszczony przez komedię rzeczy, ciągle jeszcze przodujący w życiu i w tym „kabufie".

— Tak, von Erztum — rzekł Unrat. — Teraz i ty... *ciągle znowu raz po raz*... zmykaj z pola. A że poważyłeś się rozpocząć w obecności nauczyciela bójkę, przepiszesz sześć razy kantyczkę, której nie umiałeś na pamięć.

Erztum stał w miejscu, otrzeźwiony, pod brzemieniem świadomości, że doznana przed chwilą radość mięśni była tylko samozłudzeniem, że zwycięstwo nad atletą nie przyniosło

[39] *mente captus* (łac.) — o umyśle urzeczonym, spętanym. [przypis edytorski]

[40] *penaty* (mit. rzym.) — bóstwa opiekuńcze ogniska domowego. [przypis edytorski]

mu żadnej korzyści, że tu jest jeden tylko zwycięzca: Unrat; i z przerażeniem patrzał w obojętną twarz artystki Fröhlich.

— Wynoś się! — zawołał Unrat.

Kieselack chciał się wymknąć.

— Dokąd? Nie będąc zwolnionym przez nauczyciela!... Nauczysz mi się na pamięć czterdziestu wierszy Wergiliusza!

— Dlaczego? — zapytał Kieselack buntowniczo.

— Bo nauczyciel tak chce!

Kieselack rzucił na niego ukośne spojrzenie; odeszła go ochota do zadzierania z nim. Cicho wysunął się z garderoby.

Dwaj koledzy wyprzedzili go o kawał.

Erztum, czując potrzebę wzgardzenia Różą i jej galantem, potępienia ich:

— Dziewczynę trzeba więc uważać za straconą. Przyzwyczajam się już do tej myśli. Zapewniam cię, Lohmann, że nie umrę z tego... Ale co powiesz na tego Unrata? Czy widziałeś już kiedy taki bezwstyd?

Lohmann uśmiechnął się gorzko. Zrozumiał: von Erztum był pokonany i ze skargą cofał się do obwarowanej moralności: do wiecznej ucieczki pobitych. Lohmann gardził nią, chociaż i on tak źle wyszedł dzisiaj z walki.

Powiedział:

— Głupio było z naszej strony pójść tam i przypuszczać, że moglibyśmy go wprawić w zmieszanie. Powinniśmy się byli zastanowić, że on jest ponad tym. Wtajemniczonymi jego jesteśmy dawno. Nieraz się już tu z nim spotykaliśmy. Wlókł nas już do domu, abyśmy nie byli dlań niebezpieczni u tej artystki Fröhlich. Czy uważał zresztą za niemożliwe, aby w tym samym czasie kto inny był dlań u niej niebezpieczny?

Erztum jęknął zraniony.

— Gdyż byłoby dla ciebie niezdrowo, Erztum, gdyby ci się co do tego pozostawiło jeszcze złudzenia. Bądź mężczyzną!

Erztum zapewnił źle zahartowanym głosem, że Róża jest mu obojętna, że nie pyta, czy jest czysta. Tylko Unrat oburza go w jego świadomości moralnej.

— Mnie nie — przyznał Lohmann. — Ten Unrat zaczyna mnie interesować: jest on właściwie ciekawym wyjątkiem. Zastanów się, w jakich warunkach on działa, co stawia na nogi przeciwko sobie. Do tego trzeba mieć, sądzę, pewność siebie — co do mnie, to nie dokonałbym czegoś podobnego. Musi w tym człowieku tkwić kawał anarchisty...

Wszystko to sięgało dalej, niż sięgał von Erztum. Mruknął coś.

— Co? — zapytał Lohmann. — No tak. Scena w „kabufie" była ohydna. Ale miała w sobie coś ohydnie wspaniałego. Albo, jeśli wolisz, coś wspaniale ohydnego. Ale wspaniałego przy tym.

Erztum nie wytrzymał dłużej.

— Lohmann, czy ona rzeczywiście nie była czysta?

— No, teraz jest w każdym razie pokryta *brudem*[41]. Możesz więc sobie lepiej wyobrazić i jej poprzednie życie.

— Uważałem ją za czystą. W ogóle czuję się jak we śnie. Będziesz się śmiał, Lohmann, ale gotów bym się zastrzelić.

— Jeżeli sobie tego życzysz, śmieję się.

— Jak mam przejść nad tym do porządku? Czy już ktoś to kiedy przeżył? Była dla mnie taka wzniosła, właściwie, jeśli się nad tym dokładnie zastanowię, nigdy nie miałem nadziei zdobycia jej. Przypominasz sobie, w jakim podnieceniu znajdowałem się ostatnio, gdy zniszczyłem Grobowiec Olbrzymów. Pycha to nie była; będę zupełnie szczery. Była to wyłącznie trwoga przed rozstrzygnięciem. Bóg świadkiem, dziwiłbym się, gdyby poszła ze mną. Jak mogłem to sobie wyobrazić: ona ma przecież o wiele za dużo duszy dla mnie... A gdy potem kości zostały rzucone...

Lohmann obserwował go z boku, Erztum musiał być w niesłychanym stanie, aby mówić o kościach, które zostały rzucone.

[41] *pokryta brudem* — (niem.) *bedeckt mit Unrat*. [przypis tłumacza]

— ...byłem oczywiście człowiekiem zrozpaczonym, to mogę przyznać. Ale było to rozkoszą w porównaniu z tym, co czuję dzisiaj. Czy rozumiesz w ogóle, Lohmann, jak nisko ona dzisiaj spadła?

— Aż w *błoto*![42]

— Pomyśl tylko! To przecież nie jej miejsce. Ona jest przecież czysta. Albo byłaby najostatniejszą z kobiet.

Lohmann przerwał rozmowę. Erztumowi zależało niezmiernie na tym, aby Róża Fröhlich siedziała na niedostępnym tronie w chmurach. Najwidoczniej było mu to potrzebne. Wmawiał swemu głupszemu ja, że nigdy nie żywił istotnych nadziei co do Róży Fröhlich. Celem tego było, że tym mniej dosięgnąć jej mógł Unrat ze swego bagna. Doświadczenie życiowe, noszące oblicze dziewki od krów, tkwiło poza tym; a egzaltowany marzyciel powstawał z czerwonego junkra wiejskiego: gdyż było to z korzyścią dla miłości własnej Erztuma... Taki jest człowiek, myślał Lohmann.

— A gdy pytam teraz siebie, dlaczego — rzekł jeszcze Erztum — nie znajduję rzeczywiście wyjaśnienia. Zaofiarowałem jej wszystko, co tylko człowiek może zaofiarować... Że mnie pokocha, tego co prawda, szczerze mówiąc, niemal nie mogłem się spodziewać. Nie traktowała mnie przecież lepiej niż ciebie! I dlaczegóż by właśnie mnie!... Ale zamiast mnie Unrata? Czy ty w to uwierzysz, człowieku? Unrata?!

— Kobiety są niepojęte — oświadczył Lohmann i zatonął w myślach.

— Nie mogę w to uwierzyć. Myślę, że czynił jej jakieś oszukańcze obietnice; jeszcze on ją wpędzi w nieszczęście.

I Erztum pomyślał:

„Może... wtedy..."

Potem Kieselack dogonił dwóch przyjaciół. Skradał się już za nimi od niejakiego czasu. Oznajmił hałaśliwie:

— Co się dzieje! Unrat beknął dziesięć marek, sam widziałem przez dziurkę od klucza.

— Kłamiesz, świnio! — zawył Erztum i rzucił się na malca.

Ale Kieselack przewidział to i w następnej chwili umknął, gdzie pieprz rośnie.

Rozdział jedenasty

Kieselack kłamał. Unrat daleki był od proponowania artystce Fröhlich pieniędzy: nie z delikatności; także nie ze skąpstwa; ale — przejrzała to — ponieważ nie wpadł na tę myśl. Kosztowało ją wiele napomknień, aż przypomniała mu znowu o mieszkaniu, które jej chciał wynająć. Gdy począł potem mówić o ulokowaniu jej w umeblowanym pokoju, straciła cierpliwość i krótko zażądała własnego urządzenia. Unrat był niezmiernie zdumiony.

— Ponieważ jednak zwykłaś mieszkać razem z małżonkami Kiepert...

Duch jego był usposobienia konserwatywnego; z tak radykalną zmianą musiał się dopiero oswoić. Pracował z wysiłkiem.

— A gdyby... *baczność więc tedy*!... małżeństwo Kiepertów opuściło miasto?

— I gdybym ja nie chciała zabrać się z nimi? — uzupełniła Róża. — Co zrobię wtedy?

Był bezradny.

— No? Unratku? No?

Skakała dokoła niego; i triumfalnie:

— Wtedy zostanę tutaj!

Blask wykwitnął na jego twarzy. Takie rozwiązanie nigdy by mu nie przyszło na myśl.

— Wtedy zostaniesz... tutaj — powtarzał wielokrotnie, aby się do tego przyzwyczaić.

— To *owszem* bardzo dzielnie — dodał z uznaniem. Był uszczęśliwiony; a mimo to w kilka dni później potrzebowała całej swojej sztuki podszeptywania, aby się domyślił, że nie powinien jej dłużej pozwolić jadać w Błękitnym Aniele, lecz opłacać jej posiłki w dobrym hotelu.

Gdy wpadł już na tę myśl, chciał nawet jadać razem z nią. Odmówiła jednak, a Unrat był rozczarowany. Pozwoliła mu natomiast opłacać za nią w Zajeździe Szwedzkim nie tylko jedzenie, ale i pokój, aż własne jej mieszkanie nie zostanie urządzone.

[42] *Aż w błoto* (niem. *Bis zu Unrat*) — co może też znaczyć: aż do Unrata. [przypis tłumacza]

Z chłopięcym zapałem rzucał się Unrat na wszelką sposobność usunięcia jej jeszcze dalej od jej otoczenia i przyciągnięcia do siebie, na wszelką sposobność zabrania światu artystki Fröhlich. Musiał tylko wpaść na taką możliwość. Popędzał tapicera, gdyż szło przecież o artystkę Fröhlich. Groził handlarzowi mebli niezadowoleniem artystki Fröhlich. W składach porcelany i bielizny przypominał o kapryśnym guście artystki Fröhlich. Miasto należało do artystki Fröhlich; wszędzie, nie przejmując się zgorszonymi spojrzeniami, powtarzał jej imię. Stale znajdował się, obładowany paczkami, w drodze do niej. Zawsze zatopiony był w sprawach o niezmiernej wadze, które równie ważne były dla artystki Fröhlich i które należało wspólnie z nią obmyślić i omówić. Na szarych jego policzkach uszczęśliwiająca zabiegliwość malowała teraz przeważnie czerwone plamy. Sypiał po nocach dobrze i przeżywał wypełnione dni.

Jedyną jego troską było, że nigdy nie wychodziła z nim. Chciałby ją oprowadzać po mieście, zapoznać ją z jej królestwem, przedstawić ją poddanym, bronić jej przed rokoszanami: gdyż w owym czasie Unrat nie lękał się żadnego buntu, rzucał mu raczej wyzwanie. Ale ona miała właśnie próbę, albo była zmęczona, albo czuła się źle, albo tęga kobieta rozzłościła ją. Po takim oświadczeniu urządził kiedyś pani Kiepert scenę, przy czym okazało się, że przez cały dzień nie widziała ona jeszcze artystki Fröhlich. Unrat nie rozumiał tego. Kobieta uśmiechnęła się wieloznacznie. Bezradny powrócił do artystki Fröhlich, która musiała go znowu pohamować.

Prawdziwą jej pobudką było po prostu, że uważała za przedwczesne pokazywać się z nim. Gdyby ujrzano ją publicznie u jego boku, wówczas, przewidywała to, usiłowanoby podburzyć go przeciwko niej. Nie przypisywała sobie jeszcze tak wielkiego wpływu na niego, aby się przeciwstawić wszelkim historyjkom, które mógł o niej usłyszeć. W istocie nie uważała siebie za osobę nieprzyzwoitą; ale ostatecznie każdy miał przecież rozmaite rzeczy za sobą. Nie były one właściwie warte gadania, ale mężczyzna, który ma poważne zamiary, nie powinien o nich wiedzieć. Gdyby mężczyźni byli rozsądniejsi, o ileż łatwiej byłoby żyć. Ujęłoby się swego małego Unrata pod podbródek i po prostu opowiedziało mu: tak a tak. A tymczasem trzeba było kręcić. Najgorsze zaś było, że mógł przy tym wpaść na głupie myśli i wyobrazić sobie, że stara się ona pozostać sama w domu, aby się bez niego bawić. A Bóg świadkiem, że tak nie było. Tego miała przecież dość i rada była, że ma trochę spokoju, razem ze swoim śmiesznym starym Unratem, który tak gorliwie zajmował się nią, jak nikt jeszcze w życiu, i który rzeczywiście — obserwowała go niekiedy długo i z zadumą — był porządnym chłopem.

Podejrzenie, którego się obawiała, dalekie było od Unrata; nie wpadł na to.

Z drugiej strony mogłaby się spokojnie oprzeć u jego boku gadaninie ludzi. Był silniejszy, niż przypuszczała. Spotykał się z atakami, które przezwyciężał, nie wspominając jej nawet o nich. Przeważnie działo się to w szkole.

Tutaj dzięki Kieselackowi wszyscy wiedzieli o pozaurzędowym trybie życia Unrata. Niektórzy z młodszych nauczycieli, niepewni jeszcze, jakie usposobienie korzystniejsze będzie dla ich kariery, unikali go, aby nie musieć mu się kłaniać. Młody nauczyciel Richter, który podniósł oczy ku pannie z bogatej, niedostępnej zazwyczaj dla nauczycieli rodziny, witał go ze złośliwym uśmiechem. Inni wyraźnie zaprzeczali jakiejkolwiek wspólnocie. Jeden mówił wobec własnej klasy Unrata o „moralnym *zepsu*…, a raczej błocie", przez które się uczniowie nie powinni dać ogarnąć. Był to ten sam nauczyciel Hübbenett, który w swoim czasie wyrażał się ujemnie o synu Unrata i jego wykroczeniach moralnych: i wówczas wobec klasy ojca.

Gdy Unrat wychodził teraz na dziedziniec szkolny, rozlegały się dokoła krzyki (dyżurujący nauczyciel przekornie odwracał się w inną stronę):

— Oho! Czuć tutaj *zepsuciem* moralnym!

Stary profesor zbliżał się, wrzawa cichła z wolna pod zjadliwymi spojrzeniami z ukosa Unrata; potem na drodze jego stawał Kieselack i mówił wolno i dobitnie:

— A raczej błotem.

I Unrat, wzdrygnąwszy się, umykał dalej; nie mógł tego Kieselackowi udowodnić.

Nie mógł mu już niczego udowodnić, nigdy już, czuł to, złapać go: podobnież jak von Erztuma lub Lohmanna. On i jego trzej uczniowie żyli tutaj na podstawie wzajemnej tolerancji. Nie posiadał więc Unrat żadnej mocy przeciwko temu, że Lohmann w ogóle nie brał już udziału w nauce, a gdy go wywoływał, odpowiadał swoim aktorskim tonem, że jest zajęty. Nie mógł nic wskórać przeciwko Erztumowi, który rozgoryczony długim i bezowocnym mozoleniem się, wyrywał koledze *ekstemporale*[43] z rąk, żeby je przepisać. Musiał się przyglądać, jak Kieselack przy wszelkich pytaniach zbijał kolegów z tropu wtrącanymi bezsensownymi odpowiedziami; jak rozmawiał głośno, bez zezwolenia spacerował po klasie, ba, pośrodku lekcji rozpoczynał bójki.

Gdy Unrat dał się raz unieść panice zagrożonego tyrana i wsadził buntowników do „kabufu", stała się rzecz znacznie gorsza. Klasa usłyszała strzelanie i bulgotanie otwieranych butelek, głośne okrzyki *prosit*, podejrzane chichoty, dźwięk pocałunków... Na łeb i szyję rzucił się Unrat do drzwi i wpuścił Kieselacka z powrotem. Dwaj pozostali wyszli wraz z nim, nieproszeni, z groźnymi, pogardliwymi minami...

Chwilowo przeżywał Unrat bez wątpienia wiele przykrości. Ale co im to mogło pomóc? Ostatecznie oni przecież byli zwyciężonymi, tymi, którzy nie weszli w posiadanie artystki Fröhlich. Nie Lohmann siedział w „kabufie" u artystki Fröhlich... Zaledwie przekroczywszy bramę szkoły, Unrat otrząsał się ze złego nastroju i kierował myśli ku szarej sukience artystki Fröhlich, którą miał odebrać z pralni, i ku cukierkom, którymi zamierzał sprawić artystce niespodziankę.

Dyrektor gimnazjum nie mógł czekać dłużej z interwencją w stosunki „niższej sekundy". Zaprosił Unrata do swego gabinetu i odmalował mu rozpasanie obyczajów, jakie najwidoczniej grozi klasie. Nie chce badać, skąd pochodzą bakterie zarazy. Gdyby szło o młodszego nauczyciela, zbadałby to niewątpliwie. Ale pan kolega posiwiał w zaszczytach, niechaj więc z jednej strony pomyśli o sobie samym, z drugiej nie zapomina także o przykładzie, jaki winien jest klasie.

Unrat rzekł na to:

— Panie dyrektorze: Ateńczyk Perykles miał... *istotnie zaprawdę*... za kochankę Aspazję.

— To chyba tutaj nie jest odpowiednie — stwierdził dyrektor.

A Unrat:

— Miałbym swe życie... *zawsze raz po raz*... za nic, gdybym opowiadał tylko uczniom o ideałach klasycznych, jak o pustych bajkach. Człowiek o humanistycznym wykształceniu nie ma potrzeby poddawać się moralnym przesądom niższych stanów.

Dyrektor, który nie wiedział, co odpowiedzieć, zwolnił Unrata i zastanawiał się jeszcze długo. Wreszcie zdecydował się zachować to, co usłyszał, dla siebie, z obawy, że profan[44] mógłby tłumaczyć to w sensie niekorzystnym dla szkoły i stanu nauczycielskiego.

Gospodynię swoją — gorszyła się ona odwiedzinami artystki Fröhlich — zmusił Unrat z triumfującym spokojem, o który rozbijała się bezsilnie jej wściekłość, do opuszczenia domu. Zamiast niej wprowadziła się służąca z Błękitnego Anioła. Wyglądała jak ścierka i przyjmowała w swoim pokoju chłopaka od rzeźnika, kominiarza, robotnika z gazowni i całą ulicę.

Pewna krawcowa o żółtawej twarzy, której Unrat z polecenia artystki Fröhlich często składał wizyty, zachowywała się zawsze chłodno i odpychająco. Pewnego razu, gdy Unrat uiścił właśnie rachunek za większe zamówienie, otworzyła usta. Niechajże pan profesor jednak posłucha, co ludzie mówią. Czyż to nie hańba. W jego wieku — i w ogóle. Unrat bez odpowiedzi schował resztę do portmonetki i wyszedł. W półprzymkniętych drzwiach uśmiechnął się jeszcze raz do pokoju i rzekł wyrozumiale:

— Z chwili, jaką pani wybrała dla swoich słów, poczciwa kobieto, wnoszę, iż piastowała pani obawę, że zbytnia szczerość mogłaby panią narazić na straty pieniężne. *Atoli* niech się pani niczego nie obawia! Wolno pani będzie i nadal pracować dla artystki Fröhlich.

I odszedł.

---

[43] *ekstemporale* (z łac. *extemporalis*: spontaniczny, nieprzygotowany) — tu: niezapowiedziany sprawdzian. [przypis edytorski]

[44] *profan* — osoba świecka; tu: niewtajemniczony, osoba nieznająca bliżej szczegółów sprawy. [przypis edytorski]

Wreszcie pewnego poranku niedzielnego, gdy Unrat pokrywał odwrotną stronę kartki ze swoich „Partykuł u Homera" brulionem listu do artystki Fröhlich, zapukano, i w czarnym, fałdzistym surducie i wysokim kapeluszu wszedł majster szewski Rindfleisch. Szurgnął nogami i rzekł zmieszany, ponad swoim spiczastym brzuchem:

— Panie profesorze, dzień dobry, panie profesorze, chciałbym tylko poprosić, aby mi wolno było zadać panu profesorowi jedno pytanie.

— Tylko śmiało, majstrze — rzekł Unrat.

— Długo się nad tym zastanawiałem i łatwo mi też nie będzie. Ale że Bóg chce tego!

— Więc tedy naprzód, człowieku!

— Zwłaszcza, że przecież czegoś podobnego wcale o panu profesorze nie mogę uwierzyć. Ludzie gadają wiele o panu profesorze, to pewnie pan profesor sam wie najlepiej. Ale rzetelny chrześcijanin nie powinien w to wierzyć. Nie. Rzeczywiście nie.

— Jeżeli tak — wtrącił Unrat i skinął na zakończenie — to niechaj tak będzie.

Rindfleisch obracał cylinder w ręku i spoglądał w ziemię.

— Tak. Ale Bóg chce, żebym panu profesorowi przypomniał, że On tego nie chce.

— Czego nie chce? — zapytał Unrat i uśmiechnął się od dołu. — Może artystki Fröhlich?

Szewc oddychał ciężko pod brzemieniem swego posłannictwa. Jego długie, zwisające policzki opadały na klinowatą brodę.

— Wtajemniczyłem pana w to niegdyś, panie profesorze — i głos jego zamroczył się wobec tajemnicy — że Bóg dlatego tylko na to pozwala, żeby...

— Miał więcej aniołków. Słusznie, majstrze. Więc przeto zobaczę, co się da zrobić.

I nie ukrywając swego podstępnego uśmiechu, wypchnął Unrat herrnhutczyka za drzwi.

Gdy tak Unrat żył, nie troszcząc się o nic, na swoich wyżynach — wybuchły nagle straszliwe wypadki.

Jakiś gajowy zameldował, że Grobowiec Olbrzymów w lesie został złośliwie uszkodzony.

Przestępca, Nauczyciel, Wyrzuty sumienia

Owej niedzieli, która jego zdaniem była dniem spełnienia przestępstwa, spotkał na szosie towarzystwo młodych ludzi. Prokuratoria przez długi czas prowadziła bezskuteczne dochodzenia, wreszcie polowy zjawił się pewnego dnia u boku dyrektora w auli gimnazjum. Przez cały czas trwania nabożeństwa — czy to gdy dyrektor odczytywał rozdział z *Biblii*, czy gdy szkoła śpiewała chorał — człowiek z ludu z wysokości podium dyrektorskiego mierzył okiem zebranie. Często ocierał przy tym czoło grzbietem dłoni, i czuł się widocznie niedobrze. Wreszcie musiał jeszcze zejść i prowadzony przez dyrektora przejść przez szeregi uczniów. Zachowywał się przy tym jak człowiek, który dostał się do zbyt wysokiego towarzystwa, nie widział nikogo i ukłonił się Erztumowi, który nastąpił mu na nogę.

Gdy wszelka nadzieja odkrycia przestępcy w murach gimnazjum wydawała się stracona, dyrektor uczynił ostateczną próbę. Najpierw przeczytał jeszcze jeden nadliczbowy rozdział z *Biblii*; potem wyraził przekonanie, że przynajmniej wzruszyło to winnego i zmiękczyło, skłaniając go do skruchy, i że teraz sumienie zmusi go do udania się do gabinetu dyrektora, do wymienienia swoich współwinowajców i wydania ich w ręce sprawiedliwości. W zamian za to szczere wyznanie jemu samemu nie tylko odpuszczona będzie kara, ale otrzyma jeszcze nagrodę pieniężną... Na tym skończyło się nabożeństwo.

Już w trzy dni później zdarzyło się, że Unrat podczas lekcji o Tytusie Liwiuszu, którą zaniedbana klasa wypełniała wrzawą i sprawami pobocznymi, zerwał się nagle z katedry i zawołał:

— Lohmann, swoją lekturę prywatną będziesz mógł teraz uprawiać w innym miejscu. Kieselack, gwizdałeś tutaj przez dłuższy czas na kluczu. A ty będziesz mógł niedługo w domu... *zawsze raz po raz*... zwozić swój gnój, von Erztum. Daleki bardzo od zamykania tych trzech nikczemników do „kabufu", który byłby zbyt szlachetnym miejscem pobytu dla ich niecności, uczynię raczej wszystko, aby kariera ich zakończyła się w zasłużonym

towarzystwie zwyczajnych złodziejów i włamywaczów. Niedługo już będą oni członkami społeczeństwa uczciwych ludzi, oddechy ich pośród nas są policzone!

Wprawdzie Lohmann wstał i zmarszczywszy czoło, poprosił o wyjaśnienie; ale zdławiony głos Unrata był tak pełen sycącej się nienawiści, twarz jego tak przeraźliwie triumfowała, że wszyscy czuli się pobici. Lohmann siadł z powrotem, wzruszywszy z ubolewaniem ramionami.

Na najbliższej pauzie został wraz z Kieselackiem i von Erztumem zawezwany do dyrektora. Po powrocie oznajmili z pozornym lekceważeniem, że to z powodu tego głupiego Grobowca Olbrzymów. Ale natychmiast powstał wokół nich pusty krąg. Kieselack szepnął:

— O człeku, ale kto nas mógł zadenuncjować?

Dwaj pozostali spojrzeli po sobie z odrazą i odwrócili się tyłem do Kieselacka.

Pewnego przedpołudnia wszyscy trzej, zwolnieni od lekcji, pojechali w towarzystwie komisji śledczej do lasu i stawieni zostali przed Grobowcem Olbrzymów, przedmiotem ich występku. Tutaj poznał ich polowy. Dalsze śledztwo dało im jeszcze wiele dni wolnych od szkoły. Wreszcie wkroczyli jako oskarżeni na salę posiedzeń sądu powiatowego. Z ławy świadków powitał ich jadowity uśmiech Unrata.

Na sali znajdowali się także konsul Breetpoot i konsul Lohmann, zaś zastępca prokuratora nie mógł się powstrzymać od złożenia tym dwóm wpływowym panom głębokiego ukłonu. W duchu załamywał ręce nad głupotą młodego Lohmanna i jego przyjaciela, że nie zgłosili się dawno. Władze oskarżycielskie wystrzegałyby się bicia w wielki dzwon. Oczywiście przypuszczano, że idzie tu wyłącznie o chłopców z gatunku Kieselacka.

Po otwarciu rozprawy przewodniczący zapytał trzech oskarżonych, czy przyznają się do winy. Kieselack począł natychmiast zaprzeczać. Ale sam przecież przyznał się do tego dyrektorowi, zaś w czasie śledztwa wyznał wszystko. Dyrektor wystąpił i potwierdził to szczegółowo. Był zaprzysiężony.

— Pan dyrektor skłamał — oświadczył na to Kieselack.

— Ale pan dyrektor poprzysiągł to.

— Ojej — zawołał Kieselack — w takim razie na pewno już skłamał.

Wyzbył się wszelkich skrupułów. Przecież i tak został wyrzucony ze szkoły. A przy tym był gorzko zawiedziony w swojej wierze w ludzi, gdyż zamiast otrzymać przyrzeczoną nagrodę, został postawiony przed sądem.

Lohmann i hrabia Erztum przyznali się do czynu.

— Ja tego nie zrobiłem — seplenił Kieselack.

— Ale my! — zadecydował Lohmann, niemile dotknięty tym koleżeństwem.

— *Pardon* — wtrącił Erztum. — Ja to sam zrobiłem.

— Przepraszam — i Lohmann zrobił minę znużonej surowości. — Z całą stanowczością muszę bronić swego udziału w tym uszkodzeniu mienia publicznego, czy jak się to nazywa.

Von Erztum powtórzył:

— Zniszczyłem grobowiec zupełnie sam. To prawda.

— Mój drogi, nie bujaj — poprosił Lohmann.

A Erztum:

— Powtarzam. Ty przecież byłeś o spory kawał stamtąd. Siedziałeś przecież z...

— Z kim? — zapytał przewodniczący.

— Z nikim... zdaje się — I von Erztum zaczerwienił się silnie.

— Z Kieselackiem prawdopodobnie — rzekł Lohmann.

Zastępca prokuratora uznał za wskazane rozłożyć winę na możliwie wiele głów, aby tym mniej przypadło na syna konsula Lohmanna i wychowanka konsula Breetpoota. Zwrócił von Erztumowi uwagę na niemożliwość jego rzekomego czynu.

— Tyle szkody, ile pan miał niby sam dokonać, nie dokonałby najsilniejszy mężczyzna.

— A jednak — odparł Erztum, dumnie i skromnie.

Przewodniczący zażądał od niego i Lohmanna wymienienia wspólników.

— Musieliście się przecież znajdować w większym, rozbawionym towarzystwie — podpowiadał im życzliwie. — Wymieńcie wszystkich obecnych, a wyświadczycie nam przez to przysługę.

Oskrażeni milczeli. Obrona dała do zrozumienia, jak szlachetne usposobienie przemawia przez to. Już w czasie całego śledztwa pierwiastkowego dwaj młodzieńcy wytrwale obstawali przy tym, by nikogo nie skompromitować.

I Kieselack pozostał wytrwały; ale jemu tego nie zaliczono. Zresztą zachował sobie tylko swój atut na później.

— Więc nikogo więcej przy tym nie było? — powtórzył przewodniczący.

— Nie — rzekł Erztum.

— Nie — rzekł Lohmann.

— Owszem! — zawołał Kieselack sepleniącym dyszkantem gorliwego ucznia, który wie „swoje". — Artystka Fröhlich także przy tym była!

Wszyscy nadstawili uszu.

— Ona to właśnie chciała koniecznie, żebyśmy rozwalili Grobowiec Olbrzymów.

— On kłamie — rzekł Erztum i zazgrzytał zębami.

— Kłamie w każdym słowie — poparł go Lohmann.

— To jest niewątpliwa prawda! — zapewniał Kieselack. — Niech pan zapyta pana profesora! On ją zna najlepiej.

Wyszczerzył zęby w kierunku ławy świadków.

— Czy nieprawda może, że artystka Fröhlich wymknęła się panu owej niedzieli, panie profesorze? Zjadła z nami wtedy śniadanie koło Grobowca Olbrzymów.

Wszyscy spojrzeli na Unrata, który miał wygląd zakłopotany i szczękał zębami.

— Czy dama ta była przy tym? — zapytał jeden z sędziów zdumiony i tonem zwykłej ciekawości ludzkiej dwóch pozostałych oskarżonych. Wzruszyli ramionami, ale Unrat wybuchnął, dusząc się niemal:

— To wasz koniec, nędznicy! Uważajcie się... *zawsze raz po raz*... za trupy!

— Kimże jest ta dama? — zapytał dla formy zastępca prokuratora. Gdyż każdy z obecnych wiedział o niej i o Unracie.

— Pan profesor Raat będzie nam mógł udzielić informacji — domyślił się przewodniczący. Unrat oznajmił tylko, że jest ona artystką. Wówczas zastępca prokuratora zażądał niezwłocznego zawezwania tej osoby, gdyż zachodzi potrzeba zbadania, jak dalece, jako moralna sprawczyni inkryminowanego[45] przestępstwa, może ona być za nie uczyniona współodpowiedzialną. Sąd powziął odpowiednią uchwałę i niezwłocznie wysłano woźnego sądowego.

Tymczasem młody adwokat, który bronił Lohmanna i von Erztuma, w milczeniu oceniał stan duchowy Unrata. Doszedł do wniosku, że jest to właściwa chwila, aby mu się dać wypowiedzieć; i zażądał przesłuchania profesora Raata co do ogólnego, duchowego i moralnego stanu trzech oskarżonych, jego uczniów. Zastępca prokuratora, który obawiał się zeznania niekorzystnego dla wychowanka konsula Breetpoota i syna konsula Lohmanna, daremnie próbował przeszkodzić temu.

Gdy Unrat stanął przed kratkami, poczęto się śmiać. Profesor znajdował się w stanie trwożnego podniecenia, bolesna wściekłość trawiła go, wdawał się spocony.

— Niedopuszczalna jest wątpliwość — zaczął natychmiast — co do faktu, że artystka Fröhlich ani w owym występnym czynie bluźnierczym, ani w całej tej niegodziwej wycieczce nie brała udziału.

Musiał najpierw złożyć przysięgę. Potem chciał jeszcze raz powtórzyć to swoje oświadczenie. Ale przewodniczący przerwał mu znowu; żąda się od niego świadectwa o trzech jego uczniach. Unrat począł więc natychmiast krzyczeć, podnosząc ramiona, z największą udręką w grobowym głosie, jakby został przyciśnięty do muru i nie znajdował już wyjścia.

— Te chłopaki są ostatnimi w społeczeństwie ludzkim! Przypatrzcie się im; tak wygląda pomiot więzienia! Od dawna mieli taką naturę, że przekornie tylko znosząc panowanie nauczyciela, nie tylko bunt przeciw temuż uprawiali, ale nawet wieścili. Dzięki ich agitacji klasa w przeważnej części składa się z nędzników. Uczynili oni wszystko, aby — czy to przez knowania rewolucyjne, czy przez usiłowane oszustwo i wszelkie inne potwierdzenie najnikczemniejszego charakteru — okazać się godnymi przyszłości, która się

[45] *inkryminowany* — będący przedmiotem podejrzeń, śledztwa itp.; tu w oryginale: *des fraglichen Delikts*. [przypis edytorski]

przed nimi tutaj... *istotnie zaprawdę*... rozwiera. To jest miejsce, w którym oczekiwałem ich zawczasu!...

I z krzykiem zemsty straszliwie ugodzonego zwrócił się do trzech uwodzicieli artystki Fröhlich.

— Idźmy po kolei, Lohmann...

Począł obnażać każdego z trzech uczniów przed zebranym sądem i publicznością. Poezje miłosne Lohmanna, nocne wyprawy von Erztuma z balkonu domu pastora Thelandera, zuchwałe wystąpienia Kieselacka w niedozwolonym dla uczniów lokalu; wszystko wybuchało, drżąc z gwałtowności. Opluty został nieudaczny stryj Erztuma, a także pozbawieni skrupułów, chciwi lokalni patrycjusze i zapijaczeni, podupadli urzędnicy portowi, tacy jak ojciec Kieselacka.

Sąd był niemile dotknięty tym fantastycznym wrzeniem. Zastępca prokuratora zwracał się z przepraszającymi spojrzeniami do konsula Lohmanna i konsula Breetpoota. Młody obrońca drwiąco i z zadowoleniem obserwował nastrój na sali. Unrat bawił i oburzał.

Wreszcie przewodniczący dał mu do zrozumienia, że sąd powziął dostatecznie jasny pogląd na stosunek profesora do jego uczniów. Unrat miotał słowa, nie słuchając:

— Jak długo jeszcze te katylinarne[46] egzystencje brzemieniem swojej występności obrażać będą ziemię, którą depczą? Twierdzą oni, jakoby artystka Fröhlich brała udział w ich zbrodniczych orgiach. Zaiste: niczego więcej już im nie brakowało, jeno, żeby się porwali na cześć artystki Fröhlich!

Upadek, Obyczaje, Sąd, Honor

Wśród wesołości, jaką słowa jego wywołały, Unrat załamał się nagle. Gdyż to, co powiedział, nie odpowiadało jego najgłębszemu przekonaniu. W duchu był przeświadczony, że artystka Fröhlich, którą owej niedzieli wyborczej stracił z oczu, była przy Grobowcu Olbrzymów. Więcej jeszcze. Przelotny rzut oka na nie dość jeszcze dotąd uwzględnione okoliczności odebrał mu dech. Artystka Fröhlich wzbraniała się zawsze wychodzić z nim. Wszystkie jej preteksty, aby pozostać samej w domu — cóż one kryły?... Lohmanna...?

Na nowo rzucił się na Lohmanna i krzyknął mu, że potęga jego kasty jest do przełamania! Ale przewodniczący wezwał go, aby powrócił na swoje miejsce, i rozkazał wprowadzić świadkinię Fröhlich.

Zjawienie się jej wywołało pomruki; przewodniczący zagroził, że każe opróżnić salę. Uspokojono się; gdyż podobała się. W szarym kostiumie sukiennym odznaczała się sympatycznie spokojną elegancją, uczesana była skromnie, nosiła kapelusz o umiarkowanych rozmiarach i z jednym tylko strusiem piórem, a na twarzy miała tylko bardzo mało różu. Jakaś młoda panienka głośno wyraziła się do matki, że artystka jest ładna.

Swobodnie stanęła przed sędziami; przewodniczący powitał ją lekkim ukłonem. Na wniosek zastępcy prokuratora została przesłuchana bez zaprzysiężenia i oznajmiła wspaniałomyślnie, z rosnącym uśmiechem, że oczywiście brała udział w owej wycieczce. Obrońca Kieselacka sądził nareszcie, że może wydać westchnienie triumfu.

— Zwracam uwagę na okoliczność, że spośród trzech oskarżonych jedynie mój klient oddał cześć prawdzie.

Ale nikt nie interesował się Kieselackiem.

Zastępca prokuratora był zdania, że teraz wpływ został udowodniony, a za przestępstwo, które dwaj młodzieńcy jedynie ze zrozumiałej galanterii usiłowali wziąć na siebie, spada wina duchowa zupełnie i całkowicie na świadkinię Fröhlich. Obrońca Kieselacka skorzystał ze sposobności, aby zwrócić uwagę, jak uzasadnionym jest owo wystąpienie jego klienta — wystąpienie, musi przyznać, niesympatyczne — wobec korupcji, jaką łatwo sprowadzić może u tak młodych ludzi obcowanie z osobami należącymi do klasy społecznej świadkini.

— Co oni tam robili z tym starym Grobowcem Olbrzymów — rzekła potem świadkini Fröhlich swobodnie — tego nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko — mianowicie co dotyczy korupcji, o której ten pan przed chwilą mówił — że owego popo-

[46] *katylinarny* — tu: buntowniczy, w nawiązaniu do Sprzysiężenia Katyliny, zamachu stanu, jaki zorganizował w Rzymie w 63 r. p.n.e. Lucius Sergius Catilina (109–62 p.n.e.). Zamach powstrzymał urzędujący wówczas konsul, Marcus Tullius Cicero (106–46 p.n.e.), poeta i orator, z którym sympatyzuje Unrat, znawca literatury starożytnej. [przypis edytorski]

łudnia niedzielnego jeden z tych młodych panów oświadczył się formalnie o moją rękę, ja zaś z ubolewaniem musiałam mu odmówić.

Śmiano się i potrząsano głowami. Świadkini Fröhlich wzruszyła ramionami, nie spojrzała jednak na żadnego z oskarżonych. Nagle Ertztum rzekł, zalany rumieńcem:

— Dama ta powiedziała prawdę.

— Oczywiście — dodała świadkini — stosunki między mną i tymi trzema uczniami były zawsze bezwzględnie przyzwoite, a wszystko ograniczało się, jeśli mi wolno tak powiedzieć, do lizania cukru przez szybę.

Wyjaśnienie to przeznaczyła dla Unrata, na którego rzuciła szybkie spojrzenie z boku. Ale profesor miał głowę spuszczoną.

— Czy świadkini — zapytał zastępca prokuratora — chce przez to powiedzieć, że stosunki jej z oskarżonymi pod żadnym względem nie przekroczyły granic tego, co dopuszcza moralność?

— Pod żadnym to za wiele powiedziane... — i powzięła decyzję, aby tą drogą okrężną poprzez sąd wyznać swemu staremu Unratowi prawdę. Za wiele wykrętów prowadziło ją na coraz gorsze bezdroża. — Pod żadnym niezupełnie. Ale w każdym razie pod bardzo podrzędnym.

— Co świadkini nazywa podrzędnym? — zapytał przewodniczący.

— Tego tam — odpowiedziała artystka Fröhlich i wskazała na Kieselacka, który pod uwagą całej sali począł zezować na własny nos. Wzbudzał coraz większą niechęć: teraz także przez szczęście, jakie miał. Po fakcie usiłował wprawdzie twierdzić:

— Ona przecież kłamie.

Ale przewodniczący odwrócił się od niego. Jak wszyscy obecni, był w nastroju podnieconym i wyrozumiale ludzkim. Lohmann, którego zraniło gorzko wyznanie Róży o nieszczęśliwych oświadczynach jego przyjaciela von Erztuma, skorzystał z chwili, aby dodać tonem światowej anegdoty:

— Czegóż można chcieć? Dama ta ma swój smak. Kieselacka wysłuchuje — dowiaduję się o tym zresztą dopiero teraz. Co do innego przedmiotu jej względów jesteśmy lepiej poinformowani... Natomiast wzbrania się uporczywie zostać hrabiną. A mnie, który nigdy nie rościłem sobie do niej żadnych pretensji, oświadcza nieustannie, że będę u niej zawsze ostatnim.

— Racja — rzekła świadkini Fröhlich, i spodziewała się, że Unrat usłyszy to i będzie pochwalał. Śmiano się. Przewodniczący trząsł się tym razem mocniej, jeden z sędziów trąbił przez nos i trzymał się za brzuch. Przedstawiciel prokuratury złośliwie wydął wargi, obrońca ściągnął je sceptycznie. Erztum szepnął do Lohmanna:

— I z Kieselackiem jeszcze... to koniec. Dla mnie ona jest załatwiona.

— No nareszcie... Zresztą wydostaliśmy się elegancko. Wpada jedynie Unrat.

— Nie przerywaj mi tylko — szepnął jeszcze Erztum szybko — gdy biorę Grobowiec Olbrzymów na siebie samego. I tak muszę się przecież wynieść ze szkoły i iść do „prasy".

Przewodniczący, wypocząwszy nieco, ojcowskim głosem zagroził jeszcze raz opróżnieniem sali. Potem oświadczył, że przesłuchanie świadkini Fröhlich jest ukończone; może ona odejść. Artystka udała się jednak do sali widzów, nie pojmowała, gdzie się podział Unrat.

Unrat wysunął się podczas ogólnej wesołości wielkimi krokami z sali. Uciekał po usuwających się spod nóg groblach, pod obrywającymi się chmurami, obok plujących ogniem wulkanów. Wszystko dokoła niego waliło się i pociągało go w przepaść — gdyż artystka Fröhlich zajmowała się sprawami pobocznymi! Lohmann i tamci dwaj, których Unrat uważał za pokonanych na zawsze i powalonych, wynurzali się ze swojej nicości, gdy tylko się odwracał. Artystka Fröhlich nie sprzeciwiała się, aby weszli oni w jej posiadanie. O Kieselacku wyznała to już, o Lohmannie przeczyła jeszcze. Ale Unrat już jej nie wierzył! I był tym bezradnie zdumiony: że artystka Fröhlich okazała się osobą niezasługującą na wiarę. Aż do dzisiejszego dnia, aż do tej straszliwej chwili, była ona cząstką jego samego; i niespodzianie oderwała się odeń, Unrat przyglądał się, jak rana ta krwawiła, i nie rozumiał tego. Ponieważ nigdy nie żył we wspólnocie z ludźmi, nigdy nie był

zdradzony. Cierpiał teraz jak chłopczyk — jak jego uczeń Erztum cierpiał z powodu tej samej kobiety. Cierpiał niezdarnie, nieporęcznie i ze zdumieniem.

Poszedł do domu. Przy pierwszym słowie, jakie służąca jego skierowała doń, oburzył się i wypędził ją na ulicę. Potem uciekł do swego pokoju, zamknął się, wcisnął się w kąt kanapy i kwilił. Ogarnięty wstydem zerwał się i ujął manuskrypt o partykułach u Homera. Oparł się znowu o pulpit, który od trzydziestu lat unosił jego prawe ramię w górę. Ale ta i owa tylna strona pokryta była słowami pisanymi do artystki Fröhlich, niekiedy tylko notatką, która jej dotyczyła. Brakło nawet kartek: przez roztargnienie wysłał je do niej. Nagle ujrzał, że energia jego jest od niej zupełnie uzależniona, że jego wola od dawna skierowana jest już tylko na nią, a wszystkie cele jego życia zatonęły w niej. Po tym odkryciu powrócił w róg swej kanapy.

Nastała noc, a na tle ciemności ukazała mu się jej lekka, kapryśna, kolorowa twarz; i spoglądał w nią z lękiem. Gdyż zrozumiał, że jest w niej ostoja dla wszelkiego podejrzenia, dla wszelkiego. Artystka Fröhlich należała do każdego. Unrat przycisnął ręce do swej smaganej krwią twarzy. Jego późna zmysłowość — owa zmysłowość, wydarta z wysuszonego ciała mocą powolnego, podziemnego uwiedzenia, owa zmysłowość, która zapłonąwszy gwałtownie i nienaturalnie, zmieniła jego życie, pchnęła ducha jego do krańcowości, owa zmysłowość dręczyła go teraz obrazami. Widział artystkę Fröhlich w jej małym pokoju w Błękitnym Aniele, widział jej objawiające gesty, pierwsze gesty z owego dnia, i jej łaskoczące spojrzenie. Teraz kierowała spojrzenie i gesty obok Unrata, na innego — na Lohmanna... Unrat widział tę scenę do końca, a tańczyła ona przed jego oczyma, gdyż łkał.

Rozdział dwunasty

Chodził jeszcze do pracy, mocą resztki państwo-zachowawczego nawyknienia i aczkolwiek przewidywał, że jeden z tych dni szkolnych będzie jego ostatnim. Nauczyciele zdecydowali się teraz bez wyjątku nie dostrzegać go. W pokoju nauczycielskim, gdy tylko Unrat siadał ze swymi zeszytami do poprawiania, wszyscy kryli się za gazetami, unikali stołu, spluwali po kątach. W klasie brakowało Lohmanna, von Erztuma i Kieselacka, wszystkich trzech. Resztą uczniów Unrat gardził i nie zwracał na nich uwagi. Niekiedy syknąwszy skazywał którego na półdniowy karcer. Potem zapominał jednak polecić woźnemu wykonanie wyroku.

Poza szkołą przemykał się po ulicach, nie widząc nikogo, nie słyszał ani obelg, ani objawów sławy, nie spostrzegał też, że dorożkarze zatrzymywali konie, aby zwrócić uwagę cudzoziemców na Unrata, jako na osobliwość miasta. Gdzie tylko przechodził, mówiono o jego procesie. Dla ludzi Unrat był właściwie oskarżonym, zaś wystąpienie jego przed sądem budziło ubolewanie i gniew. Starsi panowie, uczniowie z pierwszych roczników, dla których Unrat stanowił wesołe, subtelnie ozłocone przez czas wspomnienia młodości, na widok profesora zatrzymywali się i potrząsali głowami.

— Co się zrobiło z naszym starym Unratem? To przecież litość bierze, zgroza, co on ostatnio urządza za historie.

— Tak przecież nauczyciel nie powinien występować przeciwko takim chłopcom. Czy to ma być wychowawca młodzieży? A potem jego ataki na kupiectwo i na pierwsze rodziny. Przed sądem, proszę pana.

— I jeżeli kto na domiar w tym wieku ma sobie jeszcze sam do wyrzucenia pikantne wybryki i wpada z tym publicznie. Siedzi on przecież w ogóle w szklanym domu. Podobno w magistracie poruszano tę sprawę, a że nie chcą go widzieć dłużej w gimnazjum, o tym słyszałem od Breetpoota. Może się wynosić ze swoją przyjaciółką.

— Ale ładna dziewka to to jest.

— To prawda.

I panowie uśmiechali się do siebie, każdy z małą iskierką we wzroku.

— Ale jak ten Unrat na to wpadł.

Imię, Los, Plotka

— Ba, czy nie mówiłem panu dawno? Przeciwko takiemu przezwisku nikt nie zdoła przez dłuższy czas walczyć: teraz to już z niego prawdziwe stare *ścierwo*[47].

[47] *ścierwo* — (niem.) *Unrat*. [przypis tłumacza]

Inni przypominali syna Unrata, który niegdyś pokazał się na publicznym rynku z osławioną dziewczyną. Powoływali się na jabłko, które pada niedaleko od jabłoni, i za przykładem nauczyciela Hübbenetta twierdzili, że upadek moralny ojca można było z całą pewnością przepowiedzieć. Uważano też, że od dawna dostrzegano w Unracie coś z odludka, coś niesamowitego, zasadniczo podejrzanego, i oświadczano, że jego przemówienie przed sądem, skierowane przeciwko najbardziej poważanym osobom w mieście, ani na chwilę nikogo nie dziwiło.

— Takiego starego świntucha dawno się już powinno było zabić — twierdził za zbliżaniem się Unrata oparty o drzwi swego sklepu handlarz cygar Meyer, którego rachunki dla profesora Raata zaczynały się zawsze od przekreślonego U.

Dzierżawca Café Central mawiał rano, gdy Unrat przemykał się wzdłuż frontu domu, do sprzątających lokal kelnerów:

— *Śmiecie* moralne też trzeba wyrzucić.

Z drugiej strony byli niezadowoleni mieszczanie, którzy z radością powitali emancypację Unrata, pragnęli w nim widzieć sprzymierzeńca dla swoich wrogich istniejącemu porządkowi rzeczy poczynań i zwoływali zebrania, gdzie debatowano o jego odważnym wystąpieniu przeciwko uprzywilejowanym miasta i gdzie i on miał przemawiać. Publiczne ich okrzyki brzmiały:

— Czołem przed takim człowiekiem!

Unrat nie odpowiadał na ich pisemne zaproszenia. Delegacje ich odprawiał przez zamknięte drzwi. Siedział w domu i z nienawiścią, tęsknotą, okrucieństwem myślał o artystce Fröhlich i o tym, jak mógłby ją zmusić, aby opuściła miasto, odchodząc szybkimi marszami. Przyszło mu na myśl, że przy pierwszym ich spotkaniu domagał się tego od niej surowo. Gdyby wówczas nie sprzeciwiła się nauczycielowi! Teraz nabroiła sporo złego, zgotowała sporo nieszczęścia, a Unrat w swej niepohamowanej, męczeńskiej żądzy zemsty nie mógł sobie wyobrazić nic bardziej upragnionego, jak aby artystka Fröhlich zakończyła życie w głębokim i ciemnym „kabufie".

Podczas dnia unikał najstaranniej ulic, na których mógłby ją spotkać. W nocy tylko zdarzało się, że skradał się w ową okolicę miasta, w godzinie, gdy za zawieszoną szybą żadnego lokalu nie widać już było tułowiów nauczycieli, ruszających szczękami. Wówczas Unrat, lękliwy, wrogi i pełen gorzkiego pożądania, szerokim kołem okrążał hotel zwany Zajazdem Szwedzkim.

Raz wystąpił mu przy tym naprzeciw z ciemności jakiś człowiek, który mu się ukłonił: był to Lohmann. Unrat odskoczył początkowo w tył, z trudnością łapiąc powietrze. Potem rozpostarł ręce i obydwiema naraz sięgnął po Lohmanna, który wymknął się uprzejmie. Gdy Unrat stanął znowu mocno na nogach, począł parskać:

— Więc przeto jednakże ważysz się, nędzniku, pokazywać mi się jeszcze na oczy! Tuż koło mieszkania artystki Fröhlich muszę cię złapać! Znowu zajmowałeś się sprawami pobocznymi!

— Zapewniam pana profesora — odparł Lohmann łagodnie — że się pan myli. Myli się pan od początku do końca.

— A cóż ty tu innego robiłeś, nikczemny smyku!

— Ubolewam, że nie mogę mówić o tym. Niechaj wystarczy, że to pana, panie profesorze, w najmniejszej mierze nie dotyczy.

— Zdruzgoczę cię zupełnie! — obiecał Unrat, z oczyma wściekającego się kota. — Spodziewaj się, że ze wstydem i hańbą wypędzony zostaniesz ze szkoły...

— Cieszyłbym się, gdyby pan doznał tego zadośćuczynienia, panie profesorze — rzekł Lohmann, bez zamiaru szydzenia, raczej boleśnie, i odszedł wolno, ścigany groźbami Unrata.

Nie był już usposobiony do dokuczania Unratowi. Dzisiaj, gdy wszystko waliło się na niego, Lohmann wstydziłby się tego. Czuł litość nad starcem, który mówił o wypędzeniu jego ze szkoły w chwili, gdy własne zwolnienie Unrata było już zadecydowane — litość, a także rodzaj powściągliwej sympatii dla tego samotnego wroga całego świata, który nieopatrznie oburzał przeciwko sobie tak wielu; dla tego ciekawego anarchisty, który wybuchał właśnie...

Jego wieczne podejrzenie wobec Lohmanna w związku z tą Fröhlich było żałosne

Narodziny, Miłość platoniczna

i wzruszające; było nawet pełne tragicznej ironii, gdyby je zestawić z tym, co w rzeczywistości wyciągnęło Lohmanna tej nocy do miasta. Powracał z Kaiserstrasse. Pani Dora Breetpoot zległa dzisiejszego wieczora. A nieznana czułość Lohmanna chyliła się nad jej łożem boleści. Serce jego, bezowocnie i pokornie drgający płomyk, pochyliło się, aby ogrzać małe, drżące ciałko dziecięce, którego powstanie spowodował może asesor Knust, może podporucznik Gierschke, a może nawet konsul Breetpoot... Lohmann poszedł dzisiejszej nocy przed dom Breetpootów i całował zamknięte drzwi.

W kilka dni później losy, zawisłe w powietrzu, spadły na ofiary. Lohmann, któremu na tym nie zależało, miał zezwolone pozostać w szkole, zanim nie wyjedzie do Anglii; krewni jego byli zbyt potężni, aby można było w ogóle pomyśleć o wydaleniu go. Kieselack zawdzięczał usunięcie ze szkoły nie wypadkowi z Grobowcem Olbrzymów; raczej swemu nieprzystojnemu zachowaniu się wobec sądu; przede wszystkim jednak utrzymywanym z artystką Fröhlich i ujawnionym przez nią stosunkom, które wydały się niedopuszczalne dla ucznia „sekundy". Von Erztum wystąpił dobrowolnie i powierzył się „prasie". Unrat został zwolniony.

Przysługiwało mu prawo kontynuowania swojej działalności nauczycielskiej aż do jesieni. Jednakże w porozumieniu z władzami przełożonymi przerwał ją niezwłocznie. Jednego z pierwszych wolnych od szkoły dni Unrata, gdy bez zajęcia i bez planu na zawsze siedział na kanapie, zjawił się pastor Quittjens. Przyglądał się on, jak ktoś tutaj coraz bardziej zagłębiał się w grzech i zamęt. Teraz, gdy człowiek został powalony, doszedł do przeświadczenia, że jest tu coś do zrobienia dla chrześcijaństwa.

Paląc cygaro, jak każdy inny człowiek, począł natychmiast litować się nad smutnym położeniem Unrata, nad jego osamotnieniem, nad nieprzyjaźnią, na jaką naraził się właśnie ze strony lepszych ludzi. Takim rzeczom nikt przecież nie jest rad, trzeba przeciw temu coś zaradzić. Gdyby Unrat posiadał jeszcze przynajmniej swoje zajęcie, do którego przywykł. Zwolnienie jego dopełnia miary nieszczęścia, wydając go bez ratunku na łup złych myśli... No, bez ratunku to za wiele powiedziane. Pastor Quittjens ofiarowuje się zabiegać o przyjęcie Unrata z powrotem do sfery lepszych ludzi, przeforsować go do związku politycznego, do klubu kręglarskiego. Warunkiem jest co prawda — pastor zdawał się ubolewać nad tym i uważać to za zło konieczne — aby Unrat przed Bogiem i ludźmi pożałował swoich błędów i skończył z nimi.

Unrat odpowiedział na to tyleż co nic. Propozycja nie interesowała go. Jeżeli już utracił artystkę Fröhlich, uważał za bezcelowe zamieniać ją na towarzystwo kręglarskie.

Wówczas pastor Quittjens sięgnął do wyższych punktów widzenia. Ubolewał nad uczniami, którym człowiek, przeznaczony do ich pieczy, takim przykładem zatruwa próg ich wieku młodzieńczego. I nie tylko nad uczniami niższej sekundy, nie, podobnież nad wszystkimi innymi; i nie tylko nad wszystkimi innymi w obrębie gimnazjum, ale — poza murami szkoły — nad wszystkimi byłymi uczniami — więc nad całym miastem. Wszyscy oni, i pastor Quittjens pozwolił swemu cygaru zgasnąć, musieli zwątpić w nauczyciela młodości i zachwiać się w swojej skromnej wierze. Czy też Unrat chce wziąć tak ciężkie rzeczy na swoje sumienie? Już chłopiec Kieselack popadł w nieszczęście, a Unrat nie będzie się łudził co do tego, że w sprawie tego dziecka on sam ponosi współodpowiedzialność. Nie jest to jednak z pewnością jedyna szkoda, jaką spowodować musi odstępstwo takiego człowieka jak Unrat od wiary i moralności.

Unrat stropił się. O zagładzie Kieselacka dowiedział się dopiero teraz; i zapłonął nagłą radością, że to on ją sprawił. Że przykład jego może się stać niebezpieczny, że może posiać w mieście zniszczenie, na to jeszcze nie wpadł. Otwierały się tutaj widoki zemsty, które go podniecały. Twarz jego pokryła się czerwonymi plamami, bez tchu zatopiony w sobie, skubał swój skąpy zarost.

Pastor Quittjens zrozumiał go fałszywie i rzekł, iż wiedział od razu, że Unrat przejmie się tym. Zwłaszcza, jeśli wziąć pod rozwagę ową istotę, dla której wystawiał siebie i innych na największe utrapienia, wówczas *faux pas*[48] stanie się zupełnie jasne.

Unrat zapytał, czy pastor Quittjens mówi o artystce Fröhlich.

[48] *faux pas* (fr.: fałszywy krok) — błąd, nietakt. [przypis edytorski]

Naturalnie. Teraz, po jej zeznaniach, złożonych na publicznej rozprawie sądowej, otworzyły się chyba Unratowi oczy. Miłość czyni człowieka ślepym, to należy — i pastor Quittjens zapalił znowu swoje cygaro — przyznać. Z drugiej strony niechaj tylko Unrat wspomni swoje lata studenckie i rozmaite rzeczy, jakich się wówczas w Berlinie dowiedziano. Nie było się przecież żabą, huhu, i o takich damulkach ma się doskonałe pojęcie. Nie są one wszak warte, aby narażać dla nich egzystencję własną i innych ludzi. Tak, gdy pomyśli o Berlinie —

Pastor Quittjens uśmiechnął się błogo i gotował się do poufałości. Unrat zachowywał się coraz niespokojniej i nagle przerwał mu. Czy to wszystko ma się odnosić do artystki Fröhlich? Pastor był zdumiony i potwierdził. Na to zerwał się Unrat z kanapy, dysząc ciężko, i pryskając śliną w twarz pastora Quittjensa, wyrzucił z siebie głucho i groźnie słowa:

— Obraził pan artystkę Fröhlich. Dama ta znajduje się pod moją opieką. Niech pan opuści... *naprzód więc tedy*!... mój dom!

Pastor przerażony odsunął się daleko ze swoim krzesłem. Unrat pobiegł do drzwi i otworzył je. Gdy potem jeszcze raz, drżąc z gniewu, skierował się do pastora Quittjensa, duchowny tchórzliwym łukiem wysunął się razem z krzesłem za drzwi. Unrat zamknął je.

Zazdrość, Zemsta, Upadek

Długo jeszcze dyszał, biegając po pokoju. Musiał sobie wyznać, że niedawno jeszcze życzył artystce Fröhlich wszystkiego najgorszego. Obdarzał ją najgorszymi myślami. Ale co było prawem Unrata, tego bynajmniej jeszcze nie wolno było pastorowi Quittjensowi. Stała ona ponad wszystkimi — sama i święta w obliczu ludzkości. Dobrze było, że w ten sposób Unrat osiągnął znowu prawdziwą świadomość rzeczy. Artystka Fröhlich była przecież jego sprawą! Wykraczano przeciwko niemu samemu, gdy się ważono nie uznawać jej! Gnana lękiem wściekłość tyrana ogarnęła go i musiał się oprzeć: jak wówczas, gdy publiczność Błękitnego Anioła wyśmiała ją. Wyśmiać ją, którą on własnoręcznie uszminkował! Zakwestionować jej produkcje, które on niejako sam wykonywał! Nie były... *owszem więc oczywiście*... budujące owe jej produkcje przy Grobowcu Olbrzymów i kosztowały one Unrata wiele bólu. Ale to była sprawa tylko między nimi dwojgiem, Unratem i artystką Fröhlich. Pójdzie do niej, nie jest skłonny zaniedbywać tego dłużej!

Chwycił kapelusz, ale odwiesił go znowu.

Zdradziła go — wszelako bądź co bądź. Z drugiej strony stała się w ten sposób drogą, która doprowadziła do zguby ucznia Kieselacka. Czy nie była przez to usprawiedliwiona? Jeszcze nie? Ale gdyby i dla innych jeszcze uczniów — stała się zgubą?

Unrat zatrzymał się z pochyloną głową, którą okryła czerwona chmura. Mściwość jego i jego zazdrość walczyły, a on się nie poruszał. Wreszcie mściwość zwyciężyła. Artystka Fröhlich była usprawiedliwiona.

I Unrat począł marzyć o uczniach, dla których powinna by się ona stać zgubą. Jaka szkoda, że handlarz cygar z rynku nie był już w szkole; i ów praktykant, który mu się nie ukłonił, lecz śmiał się; i wszyscy inni w mieście. Dla nich wszystkich powinna by się artystka Fröhlich stać zgubą. Wszyscy oni powinni by być za jej sprawą ze *sromem*[49] i hańbą wypędzeni ze szkoły. Innej zguby nie potrafił sobie Unrat wyobrazić. Upadek, który nie polegałby na tym, że ktoś został wypędzony ze szkoły, nie przyszedł mu na myśl...

Gdy zapukał do artystki Fröhlich, podeszła ona właśnie sama do drzwi, gotowa do wyjścia.

— Huh! Jest! A ja właśnie chciałam iść do ciebie! Nie wierzysz naturalnie, ale niech trupem padnę, jeżeli to nieprawda.

— Więc niechaj tak będzie — rzekł Unrat.

I była to prawda.

Gdy Unrat uporczywie nie pokazywał się, artystka Fröhlich powiedziała początkowo po prostu: „No, to nie" i postanowiła nie wprowadzać się więcej do swego własnego mieszkania, lecz pasożytować jeszcze przez niejaki czas z pieniędzy uzyskanych za podarowane meble, potem zaś — ponieważ para Kiepertów przeniosła się gdzie indziej i już

[49] *srom* (daw.) — tu: wstyd, hańba. [przypis edytorski]

wyjechała, postarać się o inne *engagement*[50]. Bóg świadkiem, że okazywała swemu staremu Unratowi jak najprzyjaźniejsze uczucia; ale nie można ich przecież prezentować człowiekowi na koźle gimnastycznym, a jeżeli nie chciał w nie wierzyć, to trudno. Posiadała swoją filozofię. Daleko łatwiej było okpić kogoś, gdy się coś nabroiło, niż dowieść człowiekowi prawdy, gdy się właśnie istotnie było bez winy. W ogóle z ciuciubabki rzeczami minionymi nie można się wywikłać, gdy człowiek przy takiej jawnej dziecinadzie, jak ta historia Grobowca Olbrzymów, złapał fałszywy trop i wmawia sobie, że ona i po zawarciu z nim znajomości zadawała się z każdym. W takim razie staruszek po prostu nie był w jej guście. Zdarza się przecież, że się człowiek myli. Na ulicy czasem ktoś biegnie za człowiekiem przez pół godziny, aż wreszcie zaryzykuje, przegoni go i zerka z boku. A potem odwraca się nagle i udaje, że nic się nie wydarzyło. Unrat znał ją widocznie dotąd jedynie z tyłu, a gdy tylko ujrzał jej twarz, było po wszystkim. No, niech go tam.

Ale gdy czas począł upływać, gdy artystka Fröhlich zaczęła doznawać nudy i odczuwać brak gotówki, zastanowiła się, że właściwie głupio jest pozwolić się sprawie tak po prostu rozpaść. Stary ostatecznie wstydził się tylko, dąsał się i czekał, aby mu podała mały paluszek. Da się zrobić. Był przecież starym dzieckiem, trochę komicznie upartym. Pomyślała o tym, jak to wysadził kapitana z garderoby i zadarł przy tym nawet z Kiepertem; i roześmiała się. Ale natychmiast oczy jej stały się znowu nieruchome, zadumane, jak widywał je niekiedy Unrat. Był zazdrosny, to musiała być prawda; i napawało ją to szacunkiem. Może siedział teraz sam i truł się i był na nią śmiertelnie zły i żółć nie dawała mu jeść obiadu. To przecież było okropne. Jej poczciwe serce wzruszyło się. I nie tylko ze względu na swoją korzyść, nie, także z litości i także z szacunku wybrała się w drogę. Zazdrość

— Długośmy się przecież nie widzieli — rzekła lękliwie i drwiąco.

— Ma to też swoje powody — odparł Unrat. — Byłem... *zawsze znowu raz po raz*... zajęty.

— Ach tak. A czymże to?

— Swoim zwolnieniem z grona nauczycielskiego tutejszego gimnazjum.

— Rozumiem. Mam to uważać za wyrzut.

— Jesteś usprawiedliwiona. Wszak i uczeń Kieselack został wydalony i utracił na zawsze możność wkroczenia na drogi stojące otworem dla człowieka wykształconego.

— Dobrze mu tak, świńtuchowi.

— Co do tego losu, to można *więc owszem* pragnąć, aby dosięgnął on wielu innych uczniów.

— Tak, ale jak to mamy urządzić? — i uśmiechnęła się od dołu. Unrat zaczerwienił się. Powstała pauza, podczas której wprowadziła go do pokoju i posadziła. Siadła mu na kolanach, ukryła twarz na jego ramieniu i zapytała z pokorną żartobliwością:

— Czy Unratek na pewno nie gniewa się już na swoją małą artystkę Fröhlich? Wiesz, to, co opowiedziałam przed sądem, to było też rzeczywiście wszystko. Bóg mi świadkiem, powiedziałabym niemal — chociaż i to człowiekowi nie pomoże. Ale możesz mi wierzyć. Obyczaje, Zazdrość

— Niechaj tak będzie — powtórzył Unrat. I czując potrzebę zbliżenia się do niej przez wyjaśnienie i usystematyzowanie wydarzeń:

— Jest mi... *istotnie zaprawdę*... doskonale wiadomo, że tak zwana moralność w przeważnej ilości wypadków najściślej związana jest z głupotą. W to może wątpić co najwyżej człowiek niewykształcony humanistycznie. W każdym jednak razie moralność jest korzystna dla tego, kto nie posiadając jej, łatwo osiąga panowanie nad tymi, co nie mogą się jej wyrzec. Można by nawet twierdzić i udowodnić, że od duszy poddanego należy tak zwanej moralności najsurowiej wymagać. Ta konieczność nigdy mnie jednak... *baczność więc tedy*!... nie zwiodła do tego, by uznać, że mogą istnieć inne sfery życiowe z nakazami moralnymi, które się zasadniczo różnią od moralności zwykłego filistra.

Słuchała z wysiłkiem i zdumieniem.

— Ach nie. Gdzież one są? Czy to nie oszustwo?

— Ja sam — ciągnął Unrat — osobiście trzymałem się zawsze zwyczajów moralnych filistra: nie dlatego, abym im przypisywał wartość lub czuł się z nimi związany, ale że... *naprzód więc raz po raz*!... nie napotkałem okazji do rozejścia się z nimi.

[50]*engagement* (fr.) — angaż, miejsce zatrudnienia. [przypis edytorski]

Musiał się sam zagrzewać przy mówieniu, z takim jąkaniem, tak ogarnięty czerwienią i bezsilnością najgwałtowniejszego uczucia wstydu wygłaszał ten śmiały pogląd na życie.

Podziwiała jego mowę i schlebiało jej, że wygłaszał ją dla niej, tylko dla niej. Gdy dodał jeszcze:

— Natomiast po tobie — nie mogę nie stwierdzić tego — nigdy nie spodziewałem się trybu życia, pokrewnego mojemu —

Wówczas ze zdumienia i wzruszenia skrzywiła się przed nim i ucałowała go. Zaledwie puściła jego usta, wyjaśniał już:

— Co jednak nie przeszkodziło...

— No, co znowu? Czemu to nie przeszkodziło, Unratku?

— ...że skłonność, jaką dla ciebie powziąłem, niezmiernie utrudniła mi zniesienie w tym konkretnym wypadku rzeczy, które w myśl zasady należało by pochwalać, ba, że te rzeczy sprawiły mi ból.

Odgadła w przybliżeniu i przebiegle skrzywiła główkę.

— Gdyż uważam cię za kobietę, na posiadanie której nie tak łatwo człowiek może zasłużyć.

Stała się poważna i zadumana.

Unrat zdecydował się:

— Więc niechaj tak będzie.

Ale potem, wybuchając, pod naporem straszliwego wspomnienia:

— Jeden jest tylko, którego bym ci nie przebaczył nigdy, od którego musisz się... *istotnie zaprawdę*... powstrzymać, którego nie wolno ci nigdy więcej zobaczyć. To Lohmann!

Ujrzała go wyczerpanego, zlanego potem, i nie pojmowała tego, gdyż nie wiedziała nic o dręczącej wizji, która go raz opanowała — o wizji Lohmanna i jej.

— Ach, tak — rzekła. — Na tego zawsze byłeś taki zajadły. Chciałeś go przecież posiekać na kiełbasę. I słusznie, mój Unratku. Dla mnie, dzięki Bogu, taki głupi chłopak jest niczym. Gdybym ci to tylko mogła wyjaśnić. Ale tu nic nie pomoże. Chciałoby się płakać.

I istotnie miała na to ochotę: ponieważ absolutnie nie znajdowała wiary co do swego chłodu wobec Lohmanna; i ponieważ w samej głębi swego serca przeczuwała coś dotyczącego Lohmanna, co właściwie pozbawiłoby ją wiarygodności; i ponieważ Unrat, to głupie, stare dziecko, tak często i tak niezręcznie tego dotykał; i że najwidoczniej nie było w życiu spokoju, którego tak tęsknie pragnęła.

Ale że Unrat nie zrozumiałby pochodzenia jej łez i że nie chciała zbytecznie wikłać sytuacji, odmówiła sobie płaczu.

Zresztą nastąpił teraz piękny okres. Wychodzili razem i uzupełniali urządzenie i wyprawę artystki Fröhlich. Prawie co wieczór siedziała w toaletach z Hamburga w loży teatru miejskiego, a Unrat, u jej boku, z podstępnym zadośćuczynieniem przyjmował wszystkie zazdrośnie-oburzone i nieżyczliwie-pożądliwe spojrzenia, jakie na nich padały. Teatr letni był teraz także otwarty i można było usiąść w ogrodzie wśród zamożnego i poważanego towarzystwa, jeść kanapki z łososiem i cieszyć się, że komuś nie było to dane.

Artystka Fröhlich nie lękała się już wystawiania Unrata na cudze podszepty. Niebezpieczeństwo było zażegnane, przyjął na siebie gwoli niej zwolnienie ze szkoły wraz z powszechnym napiętnowaniem. Początkowo czuła się przy tym trochę niesamowicie. Skąd ona właściwie do tego, myślała w duchu, aby ktoś ze względu na nią brał tyle na kark. Potem wzruszała ramionami:

„Mężczyźni już tacy są".

Z wolna poczęła uznawać, że miał rację, i że jest ona warta tyle, a nawet więcej. Unrat tak uporczywie powtarzał jej, jak jest dostojna i jak mało ludzkość zasługuje na jej spojrzenia, że wreszcie poczęła traktować się sama bardzo poważnie. Nikt jej jeszcze tak poważnie nie traktował i dlatego ona sama siebie także nie. Była wdzięczna temu, kto ją tego uczył. Czuła, że musi ze swej strony dokładać starań, aby należycie ocenić mężczyznę, który wskazywał jej takie stanowisko. Czyniła więcej: wysilała się, aby go kochać.

Nagle oświadczyła mu, że chce się uczyć łaciny. Zgodził się natychmiast. Pozwalała mu potem mówić, odpowiadała źle lub nie pojmowała pytania i ciągle tylko przypatrywała mu się, pełna innych pytań, skierowanych do siebie samej. Podczas trzeciej lekcji zapytała:

— Powiedz no, Unratku, co jest właściwie trudniej skapować, łacinę czy grekę?

— Przeważnie grekę — zadecydował Unrat, na co ona:

— W takim razie chcę się uczyć greki.

Unrat był zachwycony; zapytał:

— Ale dlaczego?

— Dlatego, mój Unratku.

Pocałowała go, wyglądało to jak parodia czułości. A jednak było to szczerze pomyślaną czułością. Uczynił ją ambitną; i na jego cześć pragnęła nauki greckiego zamiast łaciny, gdyż było to trudniejsze. Pragnienie jej było wyznaniem miłości — antycypowanym wyznaniem miłości, do której się chciała zmusić.

Bardzo trudnym wydawało się jej przecież kochać swego starego Unratka. Greka nie była trudniejsza. Jakby chciała wziąć go w posiadanie, muskała stale palcami zarys jego drewnianej maski, ruchliwe szczęki, kanciaste jamy, z których kącików zerkały jego oczy, jadowicie ku wszystkim innym, a ku niej z dziecięcą usłużnością. Napawało ją to współczuciem i niejaką czułością. Ruchy jego i jego słowa, bezradny komizm jednych i rozwlekła głębia drugich: wszystko wzruszało ją. Także o szacunku, na jaki zasługiwał, przypominała sobie często. Ale dalej nie zaszła.

Aby naprawić niepowodzenie swego uczucia, kilka razy skupiła umysł przy lekcji greckiego. Unrat czerwienił się i drżąc z rozkoszy zmierzał ku partykułom. Gdy otworzył Homera i po raz pierwszy usłyszał, jak przeczytała μὲν … δὲ νῦν[51] — gdy te ukochane dźwięki rzeczywiście padły oto z kolorowej twarzy artystki Fröhlich i jej wdzięcznie umalowanych warg: serce jego zabiło. Musiał odłożyć książkę i skupić się. Oddech jego był jeszcze w wielkim niepokoju; ujął na stole małą, miękką i zawsze nieco tłustą dłoń artystki Fröhlich i rzekł, że nie jest skłonny rozstawać się z nią na jedną choćby godzinę pozostałego mu jeszcze życia. Pragnie ją poślubić.

Początkowo przeciągnęła usta do płaczu. Potem uśmiechnęła się wzruszona i oparła policzek na jego ramieniu, kołysząc się na nim. Kołysanie to stało się drganiem; radość jej wybuchła, porwała Unrata z krzesła, ciągnęła go dokoła.

— Więc będę panią Unratową! Pęknę przecież ze śmiechu! Pani profesorowa Unrat — nie, Raat, proszę państwa.

I natychmiast poczęła grać pełną godności damę, która siada na fotelu. Przez chwilę mówiła rozsądnie; teraz nie wprowadzi się wcale do swego nowego mieszkania; przeważna ilość rzeczy jest już przecież sprzedana. Przeniesie się do willi Unrata za bramą i urządzi ją zupełnie na nowo! Potem wybuchnęła znowu. Wreszcie uspokoiła się, stała się zadumana i rzekła jeszcze:

— Co się to z człowiekiem może stać.

Gdy zapytał, czy się cieszy, i że sprawy potoczą się teraz szybko, uśmiechała się już tylko z roztargnieniem.

Podczas następnych dni ciągle wydawała mu się nieprzytomna. Niekiedy wyglądała wprost na zatroskaną, uporczywie jednak temu zaprzeczała. Wychodziła często i niecierpliwiła się, gdy chciał z nią pójść. Był stropiony i doznawał wrażenia przykrej zagadki. Pewnego dnia nadszedł, gdy wychodziła z taniego zajazdu. Przez chwilę szli w milczeniu obok siebie, potem rzekła tajemniczo:

— Nie zawsze wszystko jest tak, jak człowiek myśli.

Zaniepokoiło go to jeszcze bardziej, ale ona nie chciała nic wyjaśnić.

Jednego z następnych dni, gdy Unrat szedł sam zasępiony po opustoszałej w południe Siebenbergstrasse, podbiegła do niego mała, biało ubrana dziewczynka i rzekła naiwnym głosikiem dziecięcym:

— Chodź do domu, tatusiu.

Unrat zatrzymał się zdumiony i spojrzał na małą dłoń w białej rękawiczce, którą wyciągnęło do niego dziecko.

— Chodź do domu, tatusiu — powtórzyła dziewczynka.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Unrat. — Gdzież mieszkasz?

— Tam — i wskazała za siebie.

[51] μὲν … δὲ νῦν (daw. gr.) — wprawdzie teraz. [przypis edytorski]

Unrat podniósł głowę i ujrzał na najbliższym rogu artystkę Fröhlich, z pochlebczo przechyloną główką i z półruchem dłoni, która lękliwie poruszała się w pewnym oddaleniu od biodra, jakby przepraszała i jakby prosiła.

Unrat bezradnie zwarł szczęki. Nagle zrozumiał; rączka w białej rękawiczce ciągle jeszcze była do niego wyciągnięta; po prostu ujął ją.

Rozdział trzynasty

Rodzina udała się do pobliskiej nadmorskiej miejscowości kąpielowej. Mieszkała w hotelu uzdrowiskowym i posiadała na plaży jeden z drewnianych szaletów. Artystka Fröhlich nosiła białe pantofle i białe boa z piór do białych sukien letnich. Wyglądała świeżo i powiewnie z białą woalką przy kapeluszu z *crêpe-lisse* i z białym dzieckiem u boku. I Unrat otrzymał białe ubranie plażowe. Na promenadzie wzdłuż długich ławic piaskowych ze wszystkich szałasów drewnianych spoglądano za nimi przez lornetki; a ktoś z miasta opowiedział obcym ich historię.

Gdy dziecko artystki Fröhlich robiło babki z wilgotnego piasku, musiał bardzo mocno trzymać foremki; gdyż zaledwie powstawała najbardziej jeszcze nieokreślona obawa, że któraś z nich zginie w piasku albo w wodzie, natychmiast rzucał się za nią jakiś elegancki pan i przynosił ją — nie dziecku, lecz artystce Fröhlich. Potem z ukłonem przed Unratem wymieniał swoje nazwisko. Wskutek tego rodzina siedziała w swoim domku na plaży przy kawie już z dwoma kupcami hamburskimi, młodym Brazylijczykiem i fabrykantem saskim.

Całe to towarzystwo przedsiębrało wycieczki żaglowe, podczas których wszystkim panom robiło się niedobrze, tylko Unratowi nie. On i artystka Fröhlich śmiali się do siebie. Dziecko otrzymywało codziennie całe funty pralinek, ożaglowane okręciki, drewniane szpadelki i lalki gumowe. Wszyscy byli zawsze w dobrym humorze. Jeżdżono na osłach (Unrat zgubiwszy strzemiona i uczepiony grzywy), galopem mijano orkiestrę kuracyjną, właśnie w porze koncertu. Artystka Fröhlich piszczała, dziecko wydawało okrzyki radości, a przy stolikach padały kwaśne uwagi.

Gdy przyłączył się jeszcze do tego pewien bankier berliński wraz z węgierską tancerką, „hufiec Unratów" zajmował całe miejsce, hałasował przy *table d'hôte*[52], domagał się od kapelmistrza utworów muzycznych, z którymi artystka Fröhlich miała w swojej karierze do czynienia, na własną rękę kazał puszczać fajerwerki, stawiał wszystko na głowie i niecił wesele i oburzenie.

Dla tych, co żyli z Unratem ze względu na jego żonę, był on zagadką. Oddawał się z zapałem pochłanianiu niektórych potraw, na *reunionie*[53] wywrócił się kiedyś jak długi, nosił swoje angielskie garnitury jak przebranie i gdy się tak na niego spoglądało, sądziło się, że nie stanowi on poważnej przeszkody i niezdolny jest wywołać innego wrażenia, jak rozweselającego przez swoją żałosność. Wydawał się z natury przegrywającym. A jednak gdy się było z jego żoną w najlepszym właśnie flircie, chwytało się niespodzianie suche, drwiące spojrzenie, jakie posyłał człowiekowi od tyłu. Gdy podziwiał bransoletę, którą się ofiarowało jego żonie, miało się nagle wrażenie, że się wpadło. I nawet po osiągnięciu decydujących niemal względów — w czasie późnej przechadzki nad morzem, z żoną samą, podczas gdy małżonek siedział z innymi przy misce — wydawał się sobie człowiek przy jego pożegnalnym uścisku wyśmianym i poczynał wątpić, czy dopnie kiedy celu.

I nigdy nie można go było osiągnąć. Gdyż Unrat aż nazbyt dobrze potrafił utrącić każdego u swojej żony. Gdy tylko został z nią sam, wydrwiwał angielskie zwroty dwóch hamburczyków, wzruszał ramionami nad Brazylijczykiem, który zamiast rzucać płaskie kamyki na wodę, używał do tego monet markowych, i przedrzeźniał feudalne ruchy głowy i rąk pana z Lipska, przy zapalaniu papierosa, albo przy otwieraniu butelki. Wówczas artystka Fröhlich śmiała się. Śmiała się, chociaż powody Unrata dla pogardzania tym wszystkim nie przekonywały jej wcale. Nie wytaczał zresztą innych argumentów, jak tylko, że Grecy nie mogliby tego tak czynić. Ale kto ją pobudzał do śmiechu, temu była zawsze wdzięczna. A poza tym znajdowała się pod wpływem upartego i w niepojęto-

[52]*table d'hôte* (fr.: stół gospodarza) — lunch dnia, podstawowa oferta obiadowa restauracji, niewielki wybór dań w stałej cenie. [przypis edytorski]

[53]*reunion* (fr.) — tu: spotkanie towarzyskie, przyjęcie. [przypis edytorski]

ści swej niemal majestatycznego przekonania Unrata, że żadna istota ludzka nie wchodzi w rachubę obok niego i jej. Pod urokiem jego siły i ona zyskiwała na wierze w siebie i postawie. Do Brazylijczyka, który uklęknął przed nią w piasku na samotnej skale i załamał ręce, rzekła, jakby istotnie otworzyły się jej teraz oczy, tonem bezpośredniej obserwacji:

— Więc *jednak* jest pan mazgajem.

Pochlebiło jej przy tym, że ten młodzieniec, który był gościem pewnej rodziny w mieście, zaniedbywał wszystkich swoich znajomych, aby wałęsać się z nią i wydawać pieniądze. Ale był istotnie mazgajem, mocą decyzji Unrata.

Po takich nieobecnościach nie wypytywał jej nigdy. Nie okazywał zaniepokojenia, gdy była zbyt korzystnie ubrana, gdy jej letnie suknie z koronek i lekkiego płótna zbyt sprytnie tamowały zalotnikom oddech. Przeciwnie, gdy panowie czekali za drzwiami, Unrat pomagał artystce Fröhlich stroić się i szminkował ją, jak dawniej w garderobie. Powiadał ze swoim jadowitym uśmiechem:

— Lud się niecierpliwi. Trzeba by kazać grać na fortepianie, żeby wytrzymał.

Albo:

— Gdybyś teraz, na wpół uszminkowana, wytknęła do nich niespodzianie głowę przez drzwi, aj, znowu by zaczęli wołać „hohohoho".

Odjazd z miejscowości kuracyjnej nastąpił nie bez burzliwego zajścia. Na dworzec przybył cały „hufiec Unratów", a Brazylijczyk zdołał właśnie wymienić kilka słów na osobności z artystką Fröhlich, gdy nadbiegł dysząc jakiś starszy pan, makler Vermöhlen, do którego rodziny zaliczał się młody cudzoziemiec, i usiłował położyć rękę na etui, które trzymała artystka Fröhlich.

Otrzymała je przed chwilą z wszelkimi ceremoniami w podarunku od Brazylijczyka. Unrat musiał nadbiec i ująć się za prawami swojej żony. Podczas gdy młodzieniec zawstydzony wypierał się wszystkich swoich krewnych, stary Vermöhlen w wielkim podnieceniu zarzucił małżonkom Unrat, że siostrzeniec jego w ich towarzystwie dawno już przekroczył swoje środki materialne. Tej broszki nie mógł już kupić; niestety słaba jego ciotka dała mu na to pieniędzy; były to jednak pieniądze Vermöhlena i dlatego rzecz ta nie uchodzi.

Unrat odpowiedział na to z napominającym spokojem, że pieniądze pana i pani Vermöhlen są z pewnością tym samym; że nie jest on skłonny wnikać w takie wewnętrzne sprawy rodziny Vermöhlen; i że zresztą dzwoniono już po raz trzeci. I silnie objąwszy etui szarymi palcami, wepchnął artystkę Fröhlich do wagonu. Wszyscy powiewali kapeluszami, z wyjątkiem Vermöhlena, który groził laską.

Artystka Fröhlich rzuciła początkowo lękliwą uwagę o tym, jakie to przykre, i o możliwych następstwach. Ale Unrat wyjaśnił jej bezpodstawność tych obaw. Dodał, że makler Vermöhlen ma synów, którzy są byłymi uczniami i których Unrat nigdy nie mógł „złapać". Vermöhlenowie są spokrewnieni z wieloma rodzinami w mieście.

Artystka Fröhlich uspokoiła się. Pokazywała dziecku małe brylanty, śmiała się z nim i obiecała:

— Wszystkie te wisiorki i świecidełka będą dla Mimi, gdy Mimi będzie kiedyś musiała dostać posag.

Unrat triumfował, gdyż uczniowie Vermöhlen byli teraz „złapani". Z wolna uświadomił sobie w rozmyślaniach, że uczniowie ci wraz z ich szeroko rozgałęzioną rodziną doznali tutaj szkody, która nie wynikała z zamknięcia w „kabufie" ani wypędzenia ze szkoły. Szkoda i... *istotnie zaprawdę*... ostateczna ruina mogły więc być spowodowane w inny sposób, niż przez wypędzenie ze szkoły. W nowy, nieprzewidziany sposób...

W mieście i w wilii zaczęło się znowu dawne życie. Brak było towarzystwa. Aż do wieczora, gdy trzeba było iść do teatru i do restauracji, artystka Fröhlich wylegiwała się w peniuarze po wszystkich meblach, Unrat zaproponował, że rozerwie ją nieco przez lekcje greckiego. Odmówiła niechętnie. Pewnego wieczora odkryła na przedstawieniu w występującej kucharce dawną znajomą.

— Jak Bóg w niebie, to przecież Jadwiga Pielemann, że też ją w ogóle przyjęli, przecież ona nic nie umie.

I przytoczyła natychmiast mnóstwo szczegółów z życia byłej koleżanki. A na zakończenie:

— Ty, ona musi do nas przyjść.

Panna Pielemann przyszła, a artystka Fröhlich, chcąc ją olśnić, wydawała dla niej małe eleganckie śniadanka i obiady. Teraz dwie damy zamiast jednej wylegiwały się na meblach, paliły i przypominały sobie wzajemnie omówione już przeżycia. Unrat przyglądał się z nieczystym sumieniem, jak się nudziły. Czuł obowiązek interwencji, a jednak pozostawał bezradny, utrapiony jak zawsze tajemnymi troskami. Ilekroć dzwoniono, zrywał się z krzesła i szybko biegł do drzwi wejściowych. Damy zwróciły uwagę, że nie pozwalał nigdy służącej otwierać drzwi.

— Albo — rzekła artystka Fröhlich — chce mi zrobić niespodziankę, albo oszukuje mnie. Mój stary Unrat to w ogóle cwany lis!

Pewnego dnia nadszedł list z Hamburga od dwóch przyjaciół. Chcieli przedsięwziąć podróż jesienną, okrętem na wybrzeże hiszpańskie i aż do Tunisu. Prosili, aby Unrat z żoną zabrali się z nimi.

— No więc! — rzekła artystka Fröhlich. — To przynajmniej coś. Pojedziemy do dzikich. Musisz się zabrać z nami, Pielemannka, wyrób sobie urlop. Uszminkujemy się wszyscy na brązowo, wdziejemy prześcieradła, a ja włożę diadem, który mam jeszcze z czasów, kiedy byłam artystką.

Panna Pielemann była zjednana. Unrata nie pytano. Dziwiono się tylko, że okazywał tak mało zapału. Powstrzymywał się z tym, aż panna Pielemann odeszła; potem doszło wreszcie do wyzwalających wyznań. Nie było już pieniędzy.

— To niemożliwe! Profesor musi przecież mieć pieniądze! — zawołała artystka.

Unrat uśmiechnął się zmieszany. Posiadał też trzydzieści tysięcy marek oszczędności. Rozeszły się; urządzenie, toalety, rozrywki. Wydatki bieżące nie dotrzymywały kroku pensji Unrata; wyprzedzały ją znacznie. Unrat powyciągał listy z napomnieniami, które odbierał przy drzwiach, od najrozmaitszych dostawców, restauratorów, krawcowych. Z upokorzeniem i nienawiścią opowiadał o podstępach, których się musiał nauczyć, aby powstrzymać zjawienie się komornika: już nie na długo.

Artystka Fröhlich była przerażona i skruszona. Oczywiście nie miała nic złego na myśli. Ale teraz skończyło się, niech sobie ci dwaj faceci jadą sami do dzikich. Dzisiaj na obiad będzie tylko rosołowe mięso, chociaż co prawda gęś jest już na rożnie; a na kolację serdelki, i będzie się ona znowu uczyła greckiego, gdyż to jest przecież najtańsze. Unrat był wzruszony, zapewniał, że zna... *owszem więc tedy*... swój obowiązek, aby dostarczać artystce Fröhlich wszystkiego, co jej jest potrzebne.

— Ach tak — rzekła artystka — chrabąszczowe pantofle za sześćdziesiąt marek.

Natychmiast doniosła pannie Pielemann piśmiennie:

„Nie mamy pieniędzy".

Okoliczność ta w każdym razie wprowadziła ruch w jej życie.

Panna Pielemann zadecydowała, że Unrat musi udzielać lekcji.

— Gdyby tylko mąż mój nie był tu tak okropnie nielubiany — wtrąciła artystka Fröhlich.

Panna Pielemann, dumna, że może wyświadczyć usługę:

— Przyślę mu swojego przyjaciela. Może go trochę obskubać, ja przymknę na to jedno oko.

— Lorenzena, handlarza win? Tylko z daleka, to były uczeń Unrata, już mi nim nadokuczał. Ciebie toleruje, powiada, ale twój przyjaciel niechaj się w naszym domu nie pokazuje... A gdybym go nawet przekabaciła, Lorenzen będzie się miał na baczności i nie poleci mu w łapy.

— Za mało mnie znasz — odpowiedziała panna Pielemann. — Postawię kwestię *votum* zaufania, albo albo.

Zakomunikowano Unratowi, że handlarz win Lorenzen musi się uczyć greckiego, gdyż sprzedaje greckie wina, a Unrat ma mu udzielać lekcji. Unrat popadł początkowo w żywy niepokój, ale nie wypowiedział sprzeciwu. Z podnieceniem i podstępnym uśmiechem mówił o licznych wykroczeniach i próbach oporu ze strony ucznia Lorenzena, o okazjach, przy których Lorenzen nadawał mu jego przezwisko, przy czym Unrat nigdy nie mógł go „złapać".

— Aj, aj — dodał — nic jeszcze nie jest stracone.

Potem:

— Przypominasz sobie zapewne, moja droga, ową wrzawę, która panowała przy naszym ślubie, ową gromadę, która towarzyszyła naszemu powozowi...

— Tak, tak, daj pokój — rzekła artystka Fröhlich, gdyż wspomnienie tych wydarzeń w obecności panny Pielemann zawstydzało ją.

Unrat, nie pozwalając sobie przerwać:

— ...tę hałastrę, która przed urzędem stanu cywilnego... *ciągle znowu raz po raz*... krzyczała i zajmowała się sprawami pobocznymi, a szczególnie ten żwir, który przy wsiadaniu poplamił twoją atłasową suknię. No więc! Jest faktem niewzruszonym, że wmieszany w tłum młodzieńczych przestępców i wykrzykując moje przezwisko w powietrze, także uczeń Lorenzen okrył się wówczas hańbą!

— Już ja mu to kiedy dam do zrozumienia! — oświadczyła panna Pielemann.

— Niestety nie mogłem go złapać — ciągnął Unrat. — Nie zdołałem mu tego udowodnić. Ale teraz ma się uczyć greki. Wielu było takich, których nie mogłem złapać. Oby się wszyscy uczyli greki!

Po czym Lorenzen zjawił się i został potraktowany łagodnie. Przy każdym brakującym zeszycie lub ołówku Unrat przywoływał artystkę Fröhlich i wciągał ją w rozmowę. Najpierw musiała zaprezentować uczniowi Lorenzenowi swoje wiadomości z greckiego, potem rozmowa schodziła na sprawy bieżące. Uczeń Lorenzen zjawił się z pretensjami do wyższości i ironii. Zrezygnował z nich szybko, gdy ujrzał, że artystka Fröhlich z tak swobodnym i umiarkowanym wdziękiem porusza się pośród swych mebli w mieszczańskim stylu; gdy się przekonał, że ubrana jest lepiej niż jego własna żona, która w teatrze oburzała się zawsze na artystkę Fröhlich; gdy sobie uświadomił, że lekka szminka, nalot żargonu ulicznego i kilka szczypt komedianctwa zaprawiały prostotę życia rodzinnego charakterystycznym posmakiem. A to spryciarz z tego Unrata! W ten sposób nie trzeba było w ogóle chodzić do klubu ani nigdzie indziej. I zamiast pierwotnej wyniosłości nabrał Lorenzen wobec małżonków Unrat czegoś lepko żebraczego.

Uzyskał zezwolenie przyniesienia następnym razem nieco ze swego wina. Przyniósł poza tym pasztet, i małe śniadanko zastąpiło lekcję greckiego. Gdy trzeba było coś załatwić poza pokojem, szedł zawsze Unrat. Najpierw poszedł po korkociąg, potem, gdy wypito nieco i uczeń Lorenzen był już podochocony, po wiele innych rzeczy.

Gdy się te rozrywki powtarzały, artystka Fröhlich wyraziła pogląd, że daleko milej byłoby z kilkoma jeszcze osobami. Uczeń Lorenzen był raczej za intymnością; ale Unrat przyznał rację żonie. Lorenzen musiał zaprosić przyjaciół. Panna Pielemann wprowadziła koleżankę. Rzeczą panów było starać się o ciasto, zakąski, owoce. Natomiast herbaty dostarczała pani domu. Regularnie powstawała ochota na szampana, i regularnie Unrat rzucał z podstępnym uśmiechem uwagę:

— Wiadomo wam, moje panie i panowie, że utraciłem — nie rozstrząsajmy chwilowo, czy zasłużenie, czy też niezasłużenie — swoją przynależność do grona nauczycielskiego tutejszego gimnazjum.

Za każdym razem pozwalano mu dopowiedzieć do końca i weselono się. Potem panowie robili składkę i posyłano po szampana. Niekiedy Unrat sam szedł zrobić zamówienie. Widziano go, jak powracał przez ulicę, krok w krok za niosącym kosz, uważając pilnie, aby kryć transport napojów, jak niegdyś krył go w Błękitnym Aniele.

Gdy humory wzrastały już dostatecznie, artystka Fröhlich ustępowała powszechnym prośbom i śpiewała swoje ulubione piosenki: raz, gdy po pijanemu była nieco nieostrożna, także tę o okrągłym księżycu. Unrat przerwał jej natychmiast i odesłał wszystkich do domu. Dziwili się, sprzeciwiali, stawali się czelni. Ale gdy ujrzeli, jak Unrat parska i nie jest skłonny ścierpieć tego, poddali się. Artystka Fröhlich ze skruchą prosiła męża o przebaczenie. Nie wie rzeczywiście, co ją napadło.

Byli to przeważnie ludzie młodzi, a większość z nich należała do stałych gości Błękitnego Anioła. Póki byli w niewielkiej liczbie, zachowywali się — niezdolni do czysto ludzkiego obcowania z Unratem — lękliwie i bezczelnie; kpinkowali za jego plecami, a gdy mieli odpowiedzieć za swoje żarty, wpadali w uczniowską pokorę. Potem ilość ich zwiększyła się i jednostka stała się nieodpowiedzialnym widzem. Żadna poufałość nie

psuła już nastroju. Było po prostu tak, jakby Unrat przeniósł się ze swoją trupą do mniejszego lokalu, gdzie wygodniej można było obcować z damami. A przy tym zamykano tu znacznie później i zawsze wtedy dopiero, gdy się rozchodzono dobrowolnie. Kiedyś, gdy było jeszcze niewielu, Lorenzen zaproponował bakarata. Unrat okazał zaciekawienie, kazał sobie objaśnić grę, a gdy ją zrozumiał, objął bank. Wygrywał. Gdy tylko skończyło się to, oddał bank. Lorenzen, jako inicjator gry, czuł się zobowiązany do wprowadzenia większego ożywienia. W szybkim tempie wydobywał z portfelu banknoty stumarkowe. Wielu dostało czerwone głowy i ubolewali raz po raz, że nie zagarnęli więcej pieniędzy. Bankier znowu miał szczęście. Artystka Fröhlich stanęła za mężem i szepnęła:

— Widzisz? Dlaczego nie zatrzymałeś banku, stary bałwanie?

Unrat odpowiedział:

— Kapelusz w cenie osiemdziesięciu marek jest twój, moja droga. Jestem też w stanie chwilowo zatkać gębę restauratorowi Zebbelinowi. Niechaj to wystarczy.

Swobodnie przyglądał się banknotom Lorenzena, które nie on zgarniał teraz. Szło o jedno: uczeń Lorenzen przegrywał je; a Unrat, z przyśpieszonym oddechem, czuł się na wstrząsanej lekko podziemnym drżeniem drodze do triumfu. Gdy Lorenzen zajrzał wreszcie otrzeźwiony i z ogłupiałą twarzą do pustego portfelu, Unrat podszedł do niego i rzekł:

— Więc niechaj będzie na dzisiaj dość, Lorenzen, z naszą grecką lekcją.

Plotka, Obyczaje

Wkrótce rozniosła się po mieście wieść, że u Unratów odbywają się orgie. Panowie na giełdzie i w klubie, przy stolikach kawiarnianych, w biurach otrzymywali za pośrednictwem kawalerów soczyście przesadzone opisy. Lekkie echa tego nieśli do swoich rodzin, a małżonki szeptały i chciały wiedzieć więcej. Co to jest kankan, który Unratowa miała tańczyć? Mąż nie potrafił tego dostatecznie wyjaśnić; wyobrażały więc sobie pod tym jakiś przerastający wszelkie siły ludzkie nierząd. A potem gra, która miała być u Unratów stale uprawiana: gra w fanty. Wiele par musiało się kłaść na podłodze pod wielką kołdrą, wszyscy w jednym szeregu, i zawsze pan obok pani. Leżeli tak nakryci po szyję, i póki kołdra się nie poruszała, nikogo nie obchodziło, co się pod nią działo. Gdy się jednak poruszyła, winny lub winni musieli dać fant. Gra ta wywierała w mieście bajeczny urok. Głuche wieści przedostawały się w sfery młodych dziewcząt; godzinami zastanawiały się nad tym razem, z przerażoną ciekawością w oczach. Poza tym twierdzono, że u Unratów damy zjawiały się niekiedy z zupełnie obnażonymi górnymi częściami tułowia. „Jakie to niewiarygodnie nieprzyzwoite!". Ale i komiczne musiało być.

Lorenzen sprowadził kilku oficerów, którzy kupowali u niego wino; między innymi także podporucznika von Gierschke. Asesor Knust był jednym z pierwszych z eleganckiego towarzystwa mieszczańskiego, jacy się zgłosili. Z wybitnym współzawodnictwem z młodym nauczycielem Richterem począł zabiegać o względy artystki Fröhlich. Richter zaręczył się wreszcie z ową panienką z bogatej, niedostępnej zazwyczaj dla nauczycieli rodziny; ale stan narzeczeński nie służył mu. Stał się popędliwy, żądny rozrywek, utracił swoją zwykle tak mocno osadzoną na karku głowę urzędnika. Porwany przykładem Lorenzena, jednego wieczora przegrał w domu Unrata wiele pensji miesięcznych, robił głupie zakłady, w zapale zabiegania o względy pani domu zapominał o wszelkiej powściągliwości. W pokoju nauczycielskim padały złośliwe napomknienia o jego bywaniu w domu stanowiącego zmazę stanu nauczycielskiego Unrata.

Unrat, zależnie od szczęścia w grze, bywał na wozie i pod wozem. Raz dostała artystka Fröhlich futro szynszylowe za tysiąc marek, a kolorowa jej główka wystawała drażniąco z szarych, długowłosych skórek. Potem znowu, gdy goście przychodzili, Unrat musiał się kłaść do łóżka i udawać chorego, gdyż żaden restaurator nie chciał już przysłać nic do jedzenia. Następnego dnia szedł do nich i tłumaczył im, że w razie katastrofy nie mają się czego spodziewać. Nie mogli nie ulec jego argumentom i prolongowali kredyt, aż Unrat wygra znowu.

Artystka Fröhlich rzadko tylko obstawiała, a wtedy nie przestawała grać wcześniej, aż przegrała wszystko. Pewnego wieczora jednak nawiedziło ją takie bezchmurne szczęście, że partner jej, Lorenzen, musiał się wycofać... Był bardzo blady i znikł, miotając groźby.

Artystka Fröhlich siedziała oszołomiona jak dziecko po Gwiazdce i trzymała w bezsilnych rękach papier i złoto. Zaofiarowano się, z nagłym szacunkiem, przeliczyć jej to; było tam przeszło dwanaście tysięcy marek. Powiedziała tylko, że chce iść spać. A pozostawszy sama z Unratem, z rozgorączkowanymi oczyma, słodkim, na wpół zamierającym głosikiem:

— Teraz Mimi ma znowu posag. Wisiorki i świecidełka musieliśmy wszystkie pooddawać, ale teraz ma znowu posag i nie będzie potrzebowała tak robić jak ja.

Lecz wczesnym już rankiem dom oblegli wierzyciele, którzy zwąchali pieniądze; a choćby artystka Fröhlich własnym ciałem bronić chciała posagu swego dziecka, wydarli go jej.

Z drugiej strony rozeszła się pogłoska, że handlarz win Lorenzen zawiesił wypłaty. Unrat pobiegł natychmiast zasięgnąć informacji, a gdy powrócił, był blady, mokry i nie mógł wypowiedzieć słowa. Wreszcie, dysząc i szczękając zębami:

— Bankrutuje. Uczeń Lorenzen bankrutuje!

— Co ja sobie za to kupię? — odpowiedziała artystka Fröhlich, skulona na kanapie i kiwając rękoma między kolanami.

— Uczeń Lorenzen bankrutuje — powtórzył Unrat. — Uczeń Lorenzen leży zdruzgotany na ziemi i nie podniesie się już. Kariera jego... *istotnie zaprawdę*... skończyła się nagle.

Mówił bardzo cicho, jakby się lękał, by go własna radość nie rozsadziła.

— Co ty z tego masz? Posag Mimi już straciliśmy.

— Uczeń Lorenzen został nareszcie złapany. Tym razem udało mi się złapać go i wydać na łup jego zasłużonego losu.

Widziała, jak biegał dokoła, jakby był nieprzytomny. Ręce jego drżały przy przedmiotach, których dotykał, nie uświadamiając sobie tego. Mówiła jeszcze wiele i ciągle słyszała tylko, jak powtarzał drżącym szeptem:

— Uczeń Lorenzen leży zdruzgotany na ziemi.

Z wolna zachowanie jego poczęło ją pociągać. Jego daleko silniejsze wzruszenie przezwyciężyło jej własne wzruszenie i zgasiło je. Zapomniała o swojej trosce, nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w męża, niejasno przerażona tą namiętnością, jakby w duszy Unrata była ona zawsze gotowym do skoku obłędem; a przy tym opętana i ze słodkim dreszczem tym silniej związana ze swoim starym Unratem właśnie przez nią, przez tę namiętność, przez tę rzecz gwałtowną i niebezpieczną.

Rozdział czternasty

Nawet niektórzy pozostający jeszcze pod rygorem szkolnym uczniowie wmieszali się pomiędzy gości Unrata. Jeden z nich, wysoki, pszeniczny blondyn, przegrywał znaczne sumy. Pod koniec sezonu, pewnej soboty, już wiosną, ujrzał Unrat stojącego na progu nauczyciela Hübbenetta, swego wroga, który zgryźliwie wyrażał się o synu Unrata i wobec własnej Unrata klasy mówił o „moralnym *zepsuciu*, a raczej *błocie*". Oto stał teraz niezmiernie podniecony, a Unrat uśmiechał się do niego jadowicie. Oczekiwał kolegi; gdyż uczeń Hübbenett grał o wiele za wysoko; w domu tego nauczyciela coś musiało być nie w porządku.

Hübbenett, czerwony jak rak, krzyknął na syna i zażądał od bezgranicznie wylękłego chłopaka, aby za nim poszedł. Dodał głośno i nie zwracając się do nikogo, że uczyni kroki w celu usunięcia stanu wytworzonego tutaj przez niesumiennych awanturników; stanu obliczonego na kuszenie i uwodzenie słabych młodzieńców; stanu utrzymywanego za pośrednictwem ograbionych kas ojcowskich i innymi, ulepionymi z krwi i błota środkami.

Jakiś oficer wysunął się szybko. Jakiś niezmiernie zaniepokojony uczestnik przyjęcia podszedł do rozgoryczonego nauczyciela i począł mu perswadować dobitnie, jak nierozsądnym byłoby robić wrzawę. Uważa on zebranie za nieczyste? Niechaj się lepiej najpierw przyjrzy jego składowi. Nie wie zapewne, kim jest ten szpakowaty pan przy stoliku gry tuż pod oknem? To jest właśnie konsul Breetpoot. A kto to tam zwraca się do Hübbenetta, marszcząc brew? Nikt inny, jak radca policyjny Flad. Czy Hübbenett spodziewa się istotnie pomyślnych rezultatów przy atakowaniu istniejącego stanu rzeczy, w którym zainteresowani są tacy panowie?

Hübbenett nie spodziewał się ich: widać to było po nim. Wygłosił jeszcze wprawdzie kilka katońskich zdań, ale gasnącym głosem; po czym rozpoczął odwrót. Nikt już więcej nie zwracał na niego uwagi. Tylko Unrat, promieniejąc zwycięstwem, pomknął za nim szybko, zaproponował koledze coś do orzeźwienia się, a gdy nauczyciel wzruszeniem ramion zaznaczył dzielącą ich przepaść moralną, zawołał za nim serdecznie, że dom jego jest stale otwarty dla Hübbenetta ojca i syna.

Potem nadszedł znowu okres kąpielowy. Tym razem cały rok orkan świata hulaszczego mknął w świcie Unratów po małej miejscowości nadmorskiej. Unratowie wynajęli umeblowaną willę. Pokornie skromne kanapki pokryli haftowanymi jedwabnymi kołdrami japońskimi, stół przed nimi obarczyli ruletką, do szklanek z napisem: „Pozdrowienia z wybrzeża”[54] lali szampana. Nowy „hufiec Unratów” grał po całych nocach i oddawał się wszelkim wybrykom, potem udawał się na plażę, aby się przyglądać wschodowi słońca; albo jeśli to była niedziela, jadł śniadanie pod dźwięk chorału porannego kapeli uzdrowiskowej. Inne noce spędzano poza domem. Mocą powagi, jakiej zażywali jej zdolni do płacenia towarzysze, wymuszała artystka Fröhlich to, że restauracja na plaży i kawiarnia, które dawno były już zamknięte, otwierały się przed nią o wszelkiej dowolnej porze.

Była niewyczerpana. Dzień i noc ciągnęła sforę swoich wielbicieli we wszystkich kierunkach, jednemu rzucała laskę do aportowania w jedną stronę, drugiemu z innej strony zachęcającą kość: wszystko to pod przebiegłym mruganiem Unrata, który zacierał ręce. Każdego chciała wystawiać na próbę. Jednemu — był to różowy, tłusty człowiek — rozkazała, aby natychmiast po obiedzie — obejmował on sześć dań — popłynął ku ławicy.

— Człowieku, szlak pana przecież trafi — rzekł ktoś trzeźwiejszy.

A artystka Fröhlich:

— Kogo ma tutaj szlak trafić, tego ja w ogóle nie mogę potrzebować, ten niech się każe wypchać. Jak myślisz, Unratku?

— Ejże, *owszem* — rzekł Unrat — ten się może wypchać.

Dodał:

— Uczeń Jakobi zawsze wszak zręczny był w ćwiczeniach cielesnych. Nawet po opuszczeniu szkoły wdrapał się przez mur dziedzińca, aby do okna klasy na parterze, gdzie prowadziłem właśnie lekcję, skierować za pośrednictwem węża gumowego zapach skwaśniałego mleka owczego. Przez szereg dni niepodobna było powietrza w klasie oczyścić z tego. Po takim człowieku można się zaprawdę spodziewać, że jest on także dzielnym pływakiem.

Mowa ta spotkała się z wielkim uznaniem, a młodzieniec wśród powszechnego śmiechu powziął decyzję.

Wszyscy byli na plaży, gdy wyszedł ze swojej kabiny, i robili zakłady. Jaki on był różowy i tłusty! Na połowie drogi trzeba go było wyłowić do towarzyszącej mu łodzi; leżał na brzegu ciągle jeszcze nieprzytomny.

Próby przywrócenia mu przytomności budziły wielkie zainteresowanie. Niektórzy, przegrawszy swój pierwszy zakład, chcieli odzyskać stratę przez nowy: czy Jakobi odzyska życie czy umrze. Damy przejęły się bardzo; nastąpił atak histeryczny. Gdy nieszczęśliwy po pięćdziesięciu minutach nie poruszał się jeszcze, niektórzy ucichli i oddalili się. Unrat pozostał.

Spoglądał w obwisłą, bezkrwistą twarz ucznia Jakobiego i przywoływał w pamięci obraz tej twarzy, gdy była jeszcze szyderska i buntownicza. To byli oni. Leżeli oto i byli zwyciężeni: zupełnie zwyciężeni. Ponad tym nie istniało zwycięstwo ani kara. Odczuwał przy tym lekkie ściskania brzucha. Droga triumfalna pod jego stopami poczęła się znowu chwiać. Tyran doznawał zawrotu głowy na swoim obłędnym szczycie.

Ale Jakobi otworzył oczy.

[54] *do szklanek z napisem: „Pozdrowienia z wybrzeża” lali szampana* — oryginale gra słów [z niem *Wasser*: woda; red. WL]: „*Gruss von der Wasserkante*”. [przypis tłumacza]

Bardzo niepowściągliwie wyrażali się o tym wypadku dwaj hamburczycy, Brazylijczyk i fabrykant z Lipska. Co prawda wchodziła u nich w grę uraza osobista, gdyż nie znaczyli oni już nic. Nie rozumieli, co się stało. Zamiast dobrodusznej bądź co bądź dziewczyny zeszłorocznej spotkali teraz artystkę Fröhlich, która przybrała zuchwale rozkazujący ton prawdziwej piękności, i której, zupełnie jakby nią była, składano ze wszystkich stron hołdy. A przecież nią nie była: przyjaciele ubiegłego lata uważali to oszustwo za śmieszne. Ale sami z każdym dniem bardziej mu ulegali. Brazylijczyk przez pierwsze dni usiłował jeszcze nawiązać znowu do dawnych poufałości; potem nauczył się lękliwego pożądania z daleka.

Najbliższym celem byli asesor Knust i nauczyciel Richter; gdyż oni mieli najwięcej do oddania. Jeden był najbardziej pożądanym kawalerem w mieście; drugi był zaręczony. Artystka Fröhlich przez długi czas była niezdecydowana. Knust był okazalszy, ale u Richtera doniosłość wydarzenia byłaby daleko pokaźniejsza. Narzeczona jego drażniła ją, gdyż jedynie ta mała osóbka postawiła sobie za zadanie prześcignąć w tej miejscowości nadmorskiej *toalety*[55] artystki Fröhlich.

Od Knusta zażądała, aby podszedł do pierwszego pana, którego nazwisko wymieni przypadkowo następnego wtorku i spoliczkował go. Pulchna twarz pijacka Knusta skurczyła się w uśmiechu; powiedział, że nie zwariował. Na to artystka Fröhlich oświadczyła, że skończyła z nim; zaś człowiek, który rości sobie do niej pewne pretensje, powinien być dla niej zdolny do wszystkiego, ale to do wszystkiego.

Richter był do wszystkiego zdolny: tak dalece dokuczył mu już stan narzeczeński. Pewnego popołudnia podczas muzyki goście kuracyjni przeżyli, że pośrodku hałaśliwej kawalkady przegalopował on na ośle, razem z artystką Fröhlich, siedzącą za nim na siodle i czepiającą się go pijacko, przed szeregami pijących kawę i przed swoją narzeczoną, siedzącą w pierwszym szeregu.

Zaraz po kolacji artystka Fröhlich wstała, ujęła Unrata i Richtera i oznajmiła swoim nikłym, słodkim głosikiem, że chce iść dzisiaj wcześnie spać. Odprowadzono ją do domu procesją, z kolorowymi latarniami papierowymi; a kilku panów zaintonowało pod balkonem serenadę. Gdy wszystko ucichło, Unrat, na wpół już rozebrany, zawołał żonę. Sądził, że jest na balkonie. Nie. Szukał jej i wołał; chciał z nią razem triumfować, gdyż oto i los kolegi Richtera dopełnił się, a dalsza jego kariera była w pocieszający sposób zagrożona. Ale w pustych pokojach radość jego ścichła. Zrobiło mu się nieswojo.

Znał jej kaprysy, oczywiście poszła jeszcze nad morze. Unrat usiadł przy opatrzonym siatką łóżku dziecka i odganiał muchy.

Jeszcze jeden głupi człowiek, który się o tej godzinie dawał wodzić za nos przez artystkę Fröhlich; który na odrobinę blasku księżycowego wymieniał swoje bransolety i srebrne nesesery. Tymczasem Unrat położył się... Ale w głębinach jego myśli, których wolał nie badać, wiadomo już było, że towarzyszem artystki Fröhlich jest Richter; i Richter nie jest w tej chwili głupcem.

Unrat przewracał się na łóżku do północy. Potem zerwał się spod kołdry, wdział ubranie i powiedział sobie głośno, że trzeba obudzić służącą, posłać po ludzi z latarniami; artystce Fröhlich mogło się coś przydarzyć. Chwycił nawet świecę i ruszył do pokoiku służącej. Dopiero na górze, przy schodach na poddasze, otrząsnął się z tego oszukiwania siebie, lękliwie zgasił świecę, aby nic nie zdradziła, i po omacku powrócił do sypialni.

Księżyc blado ukazał mu puste łóżko artystki Fröhlich. Unrat musiał na nie nieustannie spoglądać; oddychał coraz szybciej. Wreszcie skulił się i począł kwilić. Przeraził się swego głosu i wcisnął się pod kołdrę. Po chwili postanowił być mężczyzną; na łeb na szyję ubrał się jeszcze raz i zastanowił się, jak ma przyjąć artystkę Fröhlich. Powie:

„No? Mały spacerek, *zawsze raz po raz*? Słusznie. Przypadek chciał jednak, że i ja nie byłem zmęczony i podobnież wracam dopiero".

Przez godzinę uczył się tej mowy, bez spoczynku sunąc po pokoju. Wtem rozległ się koło drzwi wejściowych lekki szmer; i Unrat dzikim ruchem zerwał z siebie ubranie i skoczył do łóżka. Zacisnąwszy silnie powieki, nadsłuchiwał stłumionego zbliżania się artystki Fröhlich, ukradkowego szelestu jej opadających sukien, ostrożnego trzeszczenia

[55] *toaleta* (z fr.) — tu: strój; komplet dobranej odzieży. [przypis edytorski]

łóżka, gdy się przeciągała; potem lekkiego westchnienia, i wreszcie znajomego i drogiego chrapania.

Rano oboje udawali zaspanych. Artystka Fröhlich pierwsza zdecydowała się ziewnąć. Gdy Unrat zwrócił się ku niej, ujrzał cierpiącą twarz, której zbierało się na płacz. Przytuliła się do jego ramienia i łkała:

— Ach, gdyby Unratek wiedział. Nie wszystko dzieje się tak, jakby się chciało, a przeważnie sam już człowiek nic poradzić nie może.

— Niechaj tak będzie — rzekł Unrat pocieszająco; a ona płakała jeszcze gwałtowniej, że był tak okropnie łagodny i przyjął jej kiepską wymówkę.

Przez cały dzień pozostali zamknięci w sobie; a artystka Fröhlich, leniwa i niezręczna przy wszystkim, do czego się brała, miała wielkie, pełne miękkich, słodkich, przeciągających się wspomnień oczy, od których Unrat odwracał się wstydliwie. Pod wieczór przyszło kilka znajomych osób, pytając, czy wiedzą już o ostatniej nowinie. Skądże, nie wychodzili przecież.

— Zaręczyny Richtera zostały zerwane.

Artystka Fröhlich natychmiast rzuciła spojrzenie na Unrata.

— Człowiek ten jest zgubiony — mówiono dalej. — Jest bezgranicznie skompromitowany. Wobec stanowiska, jakie piastuje rodzina jego eks-narzeczonej, może być pewien, że go usuną z posady. Nie chcą go widzieć więcej w mieście, gdyż byłoby to dla nich blamażem. Niechaj pomyśli, gdzie się podziać.

Artystka Fröhlich ujrzała, jak Unrat zarumienił się i zbladł znowu, ujrzała, jak przestępował z nogi na nogę, jak splatał palce i rozplatał znowu; ujrzała, jak wciągał powietrze, jakby wciągał z niego słodycz wypowiedzianych słów, jakby wciągał z niego szczęście. Rozkoszował się, i dręczył się zarazem. Tym razem musiał za swój triumf zapłacić; z nieczystym sumieniem odczytywała z jego twarzy uczucia, jakimi zań zapłacił.

Wreszcie wyszedł, a ona pod zmyślonym pretekstem pozostawiła gości samych.

— Cieszysz się pewnie? — rzekła do niego z udanym niezadowoleniem. — Brutalne to jednak cieszyć się z cudzego nieszczęścia.

Unrat siedział na swoim balkonie, trzymał się za przeguby rąk i nieprzytomnie spoglądał między koronami buków na morze, z miną, jakby badał nieskończone horyzonty, do których dotrzeć można było tylko poprzez pełne męki przepaści. Artystka Fröhlich odczuwała coś z tego; i teraz ona była pocieszycielką. Powiedziała:

— Nic się przecież nie stało, Unratku. Najważniejsze, że z tym człowiekiem koniec. To przecież z tego zyskujesz.

Musiała westchnąć; gdyż jeśli cofnęła się myślą o kilka godzin, musiała się uważać za bardzo niewdzięczną wobec biednego Richtera. Co prawda, jak się to właściwie stało? Był przecież ładnym, żwawym chłopakiem, lecz gdyby nie Knust, którego chciała rozgniewać, nic by z tego nigdy nie wyszło. Ale teraz już po szkodzie. Z Unratem było przecież coś zupełnie innego. Czasem się człowiekowi w głowie kręciło. Jak on teraz znowu siedział!

— No, my dwoje — rzekła i wyciągnęła rękę.

Ujął ją wprawdzie, ale rzekł:

— Pośród wszystkich rzeczy jedno jest pewne: że człowiek, któremu udało się wedrzeć na najjaśniejsze szczyty — że taki człowiek obznajmiony też jest z najbardziej nieprzebytymi przepaściami.

Rozdział piętnasty

Gdy powrócili do miasta, oczekiwano ich już. W klubie kawalerowie mawiali:

— No, teraz, dzięki Bogu, nuda skończy się niedługo.

Nazajutrz po powrocie wydali pierwsze przyjęcie, a całe miasto interesowało się tym, kto tam poszedł, co jedzono, co nowego nosiła artystka Fröhlich. Podczas następnych dni żonaci kupcy późnym jeszcze wieczorem otrzymywali niezwykłe wiadomości: coś się stało w porcie, w biurze jest jakaś niespodziewana robota; i znikali szybko. Niektórzy co prawda trzymali się z dala, mocą swych zasad moralnych albo dzięki chłodnemu temperamentowi, albo przez oszczędność. Ci ziewali pośród pustych foteli w kasynie i w Towarzystwie Ducha Obywatelskiego; początkowo oburzali się, potem niepokoili, gdyż liczba ich stale malała; zaś ostatni uważali się za pokrzywdzonych i niesłusznie upośledzonych.

Mieszczanin, Obyczaje, Zabawa

Byt teatru miejskiego uzależniony był od wsparć. Nie było porządnego kabaretu. Pięć czy sześć wyszkolonych na użytek lepszych panów dam z półświatka znanych było aż do przesytu, a przyjemności, jakich mogły one dostarczyć, blakły na myśl o willi Unratów i pani domu.

W tym starożytnym mieście, które nie dawało człowiekowi innego wyjścia z nudy czcigodności rodzinnej, jak prostacki i nudny występek, stroiła się willa pod bramą, gdzie grano wysoko, pito drogo, gdzie spotykano się z istotami kobiecymi, które nie były zupełnie ladacznicami, a przecież i nie damami; gdzie pani domu, kobieta zamężna, żona profesora Unrata, śpiewała podniecająco, tańczyła nieprzyzwoicie i, jeśli się umieć rozsądnie urządzić, miała być nawet gotowa do szaleństw — ta zdumiewająca willa pod bramą stroiła się w bajeczny poblask, ze srebrzyście drgającym powietrzem, jakie otacza pałace wróżek. Że coś podobnego istniało! Niepodobna się było od tego wyzwolić, niepodobna było przeżyć wieczoru bez licznych myśli o domu Unratów. Człowiek widział znajomego, przemykającego się za rogiem, słyszał uderzenie zegara, myślał:

„Teraz się tam zaczyna".

Kładł się do łóżka zmęczony, nie wiedząc, od czego jest zmęczony, i wzdychał:

— Tam zabawa wre w najlepsze.

Byli co prawda panowie, bardzo nieliczni, jak konsul Lohmann, którzy spędzili młodość za granicą, w Hamburgu czuli się jak w domu, od czasu do czasu jeździli do Paryża i Londynu, i których najprzelotniejsza nawet ciekawość nie ciągnęła na przyjęcia starego bakałarza, który zszedł na manowce, i jego młodej żony. Ale zamożni mieszkańcy przedmieścia, którzy handlując rybami i masłem, przez trzydzieści lat biegali po tych samych pięciu ulicach, ujrzeli nagle niepojęcie rozkoszną możność zużytkowania swoich pieniędzy. Oślepiającą ukazała się im zapłata za ich trudy i wiedzieli teraz, po co żyli. Inni, którzy niegdyś znali wielkie miasto i czuli się nieco zaśniedziałymi, jak konsul Breetpoot, zamierzali początkowo zadowalać się tym, a potem bawili się doskonale, bez porównań. Inni znowu, mający za sobą studia, przychodzili przez sentymentalne wspomnienie lokali damskich za swoich najpiękniejszych czasów; na przykład sędzia z procesu o Grobowiec Olbrzymów wraz z pastorem Quittjensem. Gdyż i pastor Quittjens brał w tym udział, jak każdy inny człowiek. Jeszcze innym, jak dzierżawcy Café Central i handlarzowi cygar z rynku, schlebiały i podnosiły ich w godności społecznej możliwe tylko u Unratów stosunki z ludźmi stojącymi na szczytach. Z konieczności stanowili oni, mali, większość i nadawali ton.

Ton ten był niezręczny. Przez to tylko był zły, że był niezręczny. Wszyscy ci ludzie znajdowali się tam w oczekiwaniu szczególnego, dwuznacznego wyrafinowania, jakiegoś niesłychanego stanu pośredniego, gdy za miłość nie płaciło się od razu gotówką, a mimo to nie nudzono się, tylko że właśnie ich obecność czyniła zabawę od razu niedwuznaczną. Jeśli nie byli poczciwi jak w rodzinie, musieli być ordynarni jak w domu publicznym. Inaczej nie mogło być. Jeśli ktoś początkowo zadawał sobie nawet trud — to wkrótce, gdy tylko podpił sobie, przegrał trochę, oswoił się, rozmowa wymykała mu się spod kontroli, mówił otwarcie, rozmawiał z damą na ty, wszczynał kłótnie. Dla dobrego zachowania dam wszystko to było zgubne. Przyzwyczajały się do niezachowywania form w przyjemnościach. Panny Pielemann niepodobna było poznać; zdobyła się ona na to, że pozwoliła się wywołać z zamkniętego pokoju, w którym spędziła pół godziny z jednym z gości i nieprzystojnie powróciła z rozweseloną gromadą do pokoju gry. Artystka Fröhlich musiała przyznać, że w ubiegłym sezonie panna Pielemann nie byłaby jeszcze do tego zdolna.

Ona sama, artystka Fröhlich, względnie zachowywała formy. Było rzeczą zrozumiałą, że miała do czynienia tylko z osobami najstaranniej wybranymi, może z konsulem Breetpootem, a może z asesorem Knustem: niczego niewątpliwego nie wiedziano. W jej domu nigdy nic się nie działo. Artystka Fröhlich uprawiała cudzołóstwo z całą oględnością i całym ceremoniałem poważnie zamężnej kobiety; z podwójnymi woalkami, zawieszonymi szybkami powozów, schadzkami na wsi. Tyle etykiety podnosiło ją w randze i nikt nie poważyłby się porównać jej z innymi paniami. Unikano tego już choćby z uwagi na to, że nigdy nie było wiadomo, kto jest teraz jej obrońcą i ile by on ścierpiał. Liczono się i z tym, że Unrat sam nie ścierpiałby niczego. Zdarzyło się, że wśród najlepszego nastroju napadł on na pewnego pana, który przypadkowo tuż za nim zrobił jakąś uwagę o pani

domu. Unrat syczał i parskał, niedostępny był na wszelkie perswazje i w rezultacie zażartej walki na pięści wypchnął wysokiego, tęgiego mężczyznę za drzwi; nieszczęśliwy na zawsze skazany został na wygnanie. A przy tym w grach obstawiał wysoko, zaś to, co powiedział o artystce Fröhlich z pewnością było najniewinniejszą z rzeczy, jakie można było o niej powiedzieć. Wiedziano więc, z czym się należy liczyć u Unrata, gdy szło o artystkę Fröhlich, i miano się na baczności.

Poza tym wszystko mogło się walić na łeb na szyję; Unrat godził się na to. Zacierał ręce, gdy ktoś, bynajmniej nie on, rozbijał bank, zaś stropione, otępiałe z żądzy, mokre i bezradne twarze podnosiły się i nieruchomym wzrokiem spoglądały przed siebie. Życzliwie oceniał stan człowieka pijanego do nieprzytomności, zgranego do nitki darzył życzeniami o niezgłębionym szyderstwie, uśmiechał się przelotnie, gdy jakąś parkę miłosną schwytano na gorącym uczynku; a najradośniejsze swe chwile przeżywał, gdy ktoś okazał się zdyshonorowany. Jakiś młodzieniec z dobrej rodziny grał fałszywie. Unrat upierał się, aby pozostał. Fale zbożnego oburzenia wznosiły się wysoko, niektórzy oddalili się protestując. W dwa czy trzy wieczory później przyszli znowu, a Unrat, uśmiechając się jadowicie, zaproponował im partię z młodym szulerem.

Inny wypadek rozwinął się bardziej jeszcze dramatycznie. Jednemu z grających zginęła paczka banknotów, którą położył przed sobą. Zrobił krzyk, domagał się, aby zamknięto wyjścia i przeszukano wszystkich obecnych. Większość oparła się temu, lżono się wzajemnie, grożono okradzionemu chłostą i w przeciągu pięciu minut podejrzewano bez wyjątku każdego. Głos Unrata, nie wiedziano jak, niby z grobu zagłuszył tę wrzawę. Oświadczył on, że wymieni tych, którzy mają być zrewidowani; czy goście chcą mu się poddać. Wszyscy byli ciekawi, chcieli się okazać wyżsi ponad wszelkie podejrzenia; wołano „tak". Wówczas Unrat, wyciągając i cofając szyję, wymienił podporucznika von Gierschke, ucznia Kieselacka i konsula Breetpoota.

— Breetpoot? Breetpoot?

Owszem, Breetpoot. Unrat uparł się przy tym, nie wyjaśniając dalej tego, co wiedział... I Gierschke, oficer? To nic nie znaczy, twierdził Unrat. A podporucznikowi, który bronił się z wściekłością, dał do zrozumienia:

— Tłum jest przeciwko panu i rozbroi pana. Pozbawiony szabli utraci pan wszak swój honor i nie będzie już posiadał nic, prócz rewolweru, z pomocą którego... *zawsze znów raz po raz*... będzie się pan mógł zastrzelić. Będzie więc... *istotnie zaprawdę*... weselej, gdy się pan da zrewidować.

Postawiony wobec takiej alternatywy, von Gierschke poddał się.

Unrat nie miał przeciwko niemu najlżejszego podejrzenia; chciał go tylko zmusić do ugięcia swojej dumy. Zresztą w tej samej chwili ujęto przy oknie Kieselacka, jak usiłował wyrzucić paczkę banknotów. Konsul Breetpoot natychmiast dobitnie zażądał od Unrata satysfakcji. Ale Unrat powiedział konsulowi tuż koło ucha, tak że inni nie słyszeli, jedno nazwisko, jedno tylko nazwisko; i Breetpoot ułagodził się natychmiast... Przyszedł znowu, zaraz następnego dnia, i usiadł bez tchu. Von Gierschke nie pokazywał się przez tydzień. Kieselack zjawił się jeszcze jeden raz i przegrał nieco. Potem babka jego zgłosiła się do władz podatkowych, gdzie Kieselack piastował niskie stanowisko, i doniosła, że wnuk okradł ją. Nareszcie miano pretekst do wydalenia go. Z powodu skandalu karcianego nie odważono się tego uczynić. Uczeń Kieselack spadł na dno. Unrat obchodził to uroczyście, zupełnie sam.

W używaniu zachowywał się ze złośliwą suchością. W rojowisku biegnących w zawody do bankructwa, do napiętnowania, do szubienicy, wydawał się Unrat, z ugiętymi kolanami i niewzruszony, starym bakałarzem, którego klasa podniosła dziką wrzawę i który za szkłami okularów notuje sobie wszystkie nazwiska buntowników, aby potem zniszczyć ich świadectwa. Poważyli się oni oprzeć potędze władcy; niechaj teraz, wypuszczeni, połamią sobie wzajem żebra i poskręcają karki. Z tyrana powstał wreszcie anarchista.

I wydawał się dumny ze swego nowego stanu, zdradzał wyraźną sympatię dla własnej twarzy w jej obecnym młodzieńczym zabarwieniu. Dwadzieścia razy dziennie wyjmował lusterko kieszonkowe: było ono wpuszczone w małe pudełeczko, z napisem: „bellet".

Wśród nocnej wrzawy i rozgardiaszu wspominał często jakąś z dawnych nocy. Został wyszydzony w Café Central i skradał się do domu. Z jakiegoś ciemnego kąta rzucono mu jego przezwisko, jak kawał błota... Był to jeden jedyny wieczór, gdy chciał czegoś od ludzi. Mieli mu powiedzieć, kto to jest artystka Fröhlich, gdzie można ją znaleźć i jak — to była rzecz największej wagi — można zapobiec, aby trzej uczniowie, wśród nich najgorszy, Lohmann, nie weszli w jej posiadanie. Nikt mu nie odpowiedział. Spotkał się tylko z szerokim śmiechem i sztywno siedzącym na głowach kapeluszem. Musiał skakać między małymi wózkami dzieci, pędzącymi w dół w stromym zaułku, a jasne głosy dziecięce rzucały mu w uszy jego przezwisko. Do żadnego z buntowników nie spróbował już przemówić, przemykając się koło oświetlonych sklepów; przeciskał się wzdłuż domów — wzdłuż domów pięćdziesięciu tysięcy ogarniętych rokoszem uczniów, z uczuciem naprężenia w czaszce, gdyż każdej chwili, niby wiadro pomyj spaść mogło z jakiegoś okna jego przezwisko! Na koniec najcichszej ulicy, daleko w dół, aż do schroniska starych panien musiał uciec przed szarpiącym nerwy prześladowaniem, powątpiewaniem, wyszydzaniem; nietoperze przemykały koło jego kapelusza, i tutaj jeszcze, tutaj jeszcze oczekiwał swego przezwiska.

Jego przezwisko! Teraz nadawał je sobie sam; wdziewał je na siebie niby wieniec zwycięski. Ogranego klepał po ramieniu i mówił:

— Tak, tak, prawdziwe ze mnie *ścierwo*[56].

Jego noce! Tak one teraz wyglądały. Dom jego był najjaśniejszy w mieście, najpoważniej traktowany, najbrzemienniejszy losem. Ileż trwogi, ile żądzy, ile poddańczości, ile fanatycznego szału samozniszczenia tryskało teraz wokół niego! Wszystko to były ofiary płonące dla niego! Wszyscy tłoczyli się, aby mu je zapalać, aby mu je sami zapalać. Spędzała ich tu pustka ich mózgów, tępota ludzi niewykształconych humanistycznie, ich głupia ciekawość, ich źle okrywana cnotliwością rozpusta, ich chciwość, chuć, próżność, a na domiar sto splątanych interesów. Czyż to nie wierzyciele Unrata ściągali tu swoich krewnych, przyjaciół, klientów, aby dłużnikowi swemu, Unratowi, pomóc odzyskać pieniądze? Czyż to nie chciwe łupu małżonki przysyłały tu swoich mężów, aby z latających w powietrzu pieniędzy zgarnęli dla nich ich cząstkę? Inni przychodzili sami. Pod maskami, w karnawale, miały być przyzwoite kobiety. Spostrzeżono nieufne twarze męskie, które szukały żon. Młode dziewczęta szeptały w domu o późnym wyjściu matek: „do domu pod bramą". Nuciły półgłosem fragmenty piosenek artystki Fröhlich. Piosenki te krążyły potajemnie po mieście. Tajemnicza zabawa w fanty, podczas której pary kładły się na podłodze pod jedną kołdrą, stała się popularna w wielu domach; grywano w nią, gdy do córek na wydaniu zapraszano młodych tancerzy; i chichoty szły po mieście o „domu pod bramą".

Zanim jeszcze nadeszło lato, trzy panie z dobrego towarzystwa i dwie panienki wyjechały na — zbyt wczesne, jak uważano — letnisko. Nastąpiły trzy nowe ruiny handlowe. Handlarz cygar Meyer z rynku dopuścił się fałszerstwa weksli i powiesił się. O konsulu Breetpoocie szeptano...

I ta demoralizacja miasta, niemożliwa do powstrzymania, gdyż za wielu było w nią uwikłanych: działa się przez Unrata i jako jego triumf. Jego namiętności, wstrząsającej nim potajemnie — tej namiętności, z której suche jego ciało nie zdradzało nic, tylko od czasu do czasu jadowicie zielony błysk oka i blady uśmiech — jego namiętności hołdowało, przed nią korzyło się miasto. Był silny; mógł być szczęśliwy.

Rozdział szesnasty

Czułby się szczęśliwy, gdyby był jeszcze silniejszy; gdyby nie oddał się w kryzysie swego losu, który był nienawiścią do ludzi, na łup artystki Fröhlich. Była ona odwrotną stroną jego namiętności: musiała otrzymywać wszystko, w tej samej mierze, w jakiej inni wszystko tracili. Zasługiwała na pieczę tym bardziej, im bardziej wszyscy inni zasługiwali na zdruzgotanie. Na nią skierował się przeczulony popęd czułości wroga ludzi. To było źle dla Unrata: powiadał to sobie sam. Powiadał sobie, że artystka Fröhlich powinna by być niczym więcej, jak narzędziem do „łapania" uczniów i „pakowania" ich. A tymczasem stała oto tuż obok Unrata samego, dostojna i święta w obliczu ludzkości, a on był

[56]*ścierwo* — (niem.) *Unrat*. [przypis tłumacza]

zmuszony kochać ją i cierpieć pod swoją miłością, która buntowała się przeciwko służbie jego nienawiści. Miłość Unrata poświęcona była pieczy nad artystką Fröhlich i dla niej wychodziła na rabunek; była to zupełnie męska miłość. A jednak i ta miłość prowadziła ostatecznie do osłabienia...

Małżeństwo, Teatr, Zemsta, Zdrada

Zdarzało się, że po jej powrocie ukrywał się i nie zjawiał już do wieczora. Pertraktowała przez drzwi swoim lekkim, nieco współczującym głosikiem. Ale on nie chciał nawet jeść. Ma pracę naukową. Ostrzegała go przyjaźnie, że się rozchoruje, i z westchnieniem decydowała się czekać, aż jego atak przeminie. Prawdopodobnie znowu przeszukiwał jej garderobę i przewracał jej brudną bieliznę. Może czytał dzisiaj rano ten bilecik[57]. Nagle dostawał w takich razach bzika; gdy powracała zmięta do domu, nie mógł na nią patrzeć, czerwony ze wstydu odwracał się do wszystkich kątów i znikał. Było to bardzo denerwujące. To znaczy, że zupełnie poważnie, no tak aż do głębi poważnie nie można było tego traktować. Na to samemu za wiele się grało. Po pierwsze grała zamężną: niepodobieństwem było dla niej ujmować to inaczej. Gdy posłała wtedy na ulicy do swego starego Unrata małą Mimi — to było świetne, przy tym się coś rzeczywiście czuło. A teraz ten cały kram z mężczyznami, to przekomarzanie się, zanim dojdzie do czegoś prawdziwego, i te wszystkie kłamstwa przez cały czas, żeby się coś tylko człowiekowi nie wymknęło w obecności Unrata — który oczywiście wiedział o wszystkim doskonale. Była mu niemal wdzięczna, że brał udział w komedii i taką jeszcze wagę przywiązywał do jej codziennych drobnych wybryków. To przecież wprowadzało życie do budy! Śmieszne, że się on do tego nigdy nie przyzwyczaił.

A przy tym daleko więcej zależało na tym wszystkim jemu, jak jej samej. Niekiedy zachowywał się, jakby mu klepki brakowało i z jednego dnia na drugi chciał zabić jakieś sumienie. Nie mógł już wytrzymać.

— Polecam ci ucznia Vermöhlena. Skieruj uwagę... *zawsze znowu raz po raz*... na ucznia Vermöhlena.

Co to ma znaczyć, proszę? Czy trzeba było potem jeszcze pytać człowieka? A jeżeli tak się palił do tego, aby się uporała z konsulem Breetpootem?

Artystka Fröhlich wzruszała ramionami.

Unrat, którego nie pojmowała, z drżeniem popadał w prawdziwe orkany namiętności. Miłość jego, którą co dzień musiał ranić, aby nakarmić swoją nienawiść, podniecała tę nienawiść do coraz obłędniejszej gorączki. Nienawiść i miłość czyniły się wzajem szalonymi, chutliwymi i przeraźliwymi. Unrat doznawał łaknącej wizji wyniszczonej, błagającej o łaskę ludzkości; tego miasta, które się waliło i świeciło pustkami; stosu złota i krwi, który rozpływał się w popiołową szarzyznę zagłady rzeczy.

Potem znowu prześladowały go halucynacje kochanej przez innych artystki Fröhlich. Obrazy cudzych uścisków dławiły go: ale wszystkie nosiły twarz Lohmanna! Najgorsze, najgodniejsze nienawiści, co Unrat mógł przeżyć, na zawsze złączone było z rysami Lohmanna — tego ucznia, którego w żaden sposób nie można było „złapać", którego nie było nawet w mieście.

Po takich stanach bezsilnego utrapienia owładała nim litość nad artystką Fröhlich. Obiecywał jej pocieszycielsko, że już niedługo będzie dość, i że się usuną, opuszczą miasto i korzystać będą z tego, „co ci byli dłużni i musieli odstąpić".

— Ile, sądzisz, tego jest? — pytała artystka Fröhlich odpychająco. — Widzisz tylko to, co dostajemy. Ale co nam znowu zabierają, tego jest też niemało. Meble nam zlicytowali, co? Czy myślisz, że za te, które teraz mamy, zapłaciliśmy jedną choćby ratę? Grubo się mylisz, jeżeli tak przypuszczasz. Należy do nas ta poduszka na kanapie i jeszcze ta rama ze starego obrazu olejnego: więcej nic do nas nie należy.

Była w okrutnym nastroju, wyczerpana nagonką mężczyzn; sprzed jej oczu znikła przyjemna strona jej życia, mściła się na tym, kto był najbliższy. Unrat przyjął to ze wstrząsającą powagą.

— Obowiązkiem moim jest zabiegać o twój dobrobyt. Nie jestem skłonny okazać się niedorosłym do tego obowiązku... Zapłacą mi za to! — dodał z sykiem.

[57] *bilecik* — tu: list miłosny, karteczka z informacją o spotkaniu. [przypis edytorski]

Nie słuchała wcale, chodziła po pokoju podniecona i zaciskała pięści.

— Nie wmawiasz sobie chyba, że dla twojej przyjemności biorę udział w tym idiotycznym życiu, żebyś tym mógł zmiażdżyć swoich człowieczków. Nie, gdyby nie Mimi... ale dla Mimi muszę zarabiać. Żeby Mimi była kiedyś inna, niż jej mama. Ach Boże...

Potem wniesiono dziecko w białej koszulce nocnej; a potem nastąpił wybuch łez. Unrat zwiesił ramiona i głowę. Musiał wyjść, artystka Fröhlich położyła się do łóżka. Ale w porze gości była już znowu na wysokości zadania; wobec Unrata naprawiła wszystko; była czuła i życzliwa, często szeptała mu na boku coś poufnego, aby wszyscy widzieli, że jest on nadal główną osobą; wydrwiwała wraz z nim tych właśnie panów, których mógł podejrzewać; pochlebstwami wprawiła go w złudzenie, jakoby nigdy nie zdarzyło się nic poważniejszego. Ba, przez ciąg tej godzinki bliski był złudzenia, jakoby osiągnął swoje sukcesy bez zapłaty. Nie wierzył w to przecież; ale perswadował sobie, że cóż mu przeszkadza wierzyć w to i gdzie są dowody przeciwne. Tak szczęsna była reakcja po jego poprzednich mękach.

Pewnego wesołego dnia wiosną, pierwszego wesołego dnia po wielu kryzysach duchowych, Unrat i artystka Fröhlich wyszli razem na spacer do miasta. Unrat rozkoszował się właśnie świadomością, że ostatecznie jednak byli sprzymierzeńcami: najlepszymi, jedynymi. Artystka Fröhlich, która wraz z lekcjami greckimi zrezygnowała też ze swojej ambicji kochania Unrata, czerpała swe poważanie dla siebie samej i dobry humor z uczciwego uczucia przyjaźni dla Unrata. Dlatego oboje śmiali się tylko z pana Dröge, sklepikarza na rogu ich ulicy, który, gdy go mijali, otworzył drzwi sklepu, pogroził im pięściami i krzyknął za nimi coś obelżywego. Także sprzedawczyni owoców nie mogła pozostać spokojna na ich widok. Podjudzała ona już nawet pana Dröge, aby skierował na przechodzącego Unrata wylot szlaucha.

Takich przypadków niepodobna już było uniknąć, ilekroć małżonkowie Unrat wychodzili z domu. Byli dłużni wszystkim, chociaż na prawo i lewo sypali pieniędzmi; a dostawcy, którzy nie udzielili swego kredytu, lecz go im narzucono, najwięcej robili hałasu. Regułą było, że z Paryża nadchodziły zapłacone z góry toalety, zaś zjedzone w ubiegłym miesiącu bułki ciągle jeszcze nie były ich własnością. Artystka Fröhlich przypuszczała przy tym, że oszczędza dla swego dziecka. Unrat, że rabuje dla artystki Fröhlich.

Ilekroć przychodził komornik — na próżno przychodził — panowało zmieszanie, wściekłość i przygnębienie. Jakże go można było znowu przewidzieć? Artystka Fröhlich od dawna już nie orientowała się w rachunkach i wekslach. Ustawiczna troska Unrata skierowana była na straty innych, nie na zachowanie własnego dobrobytu. Od zgnilizny, jaką siali wszędzie dokoła w stosunkach ludzkich, zarażały się i ich własne stosunki. Oszukani i przyparci do muru przebijali się przez nie, wiedzeni nieokreśloną nadzieją na jakąś nieprawdopodobnie wielką wygraną w grze i na to, że wierzyciele ostatecznie wymrą. Potajemnie czuli wprawdzie, że grunt chwieje im się pod nogami, i porywani starali się jeszcze wyrządzić o ile możliwe najwięcej szkody.

Na Siebenbergstrasse trzeba było przetrwać spotkanie z handlarzem mebli, który twierdził, że z niezapłaconych jeszcze mebli wiele odprzedali dalej, i groził sądem. Unrat zaproponował mu ze zjadliwym uśmiechem, aby się naocznie przekonał. Artystka Fröhlich rzekła:

— Niech pan sobie na to więcej nadziei nie robi. Tacy mądrzy jeszcze jesteśmy, żeby wiedzieć, że z tego by nic dobrego nie wyszło.

W tej chwili rozległ się obok nich brzęk szabli. Artystka Fröhlich podniosła wzrok i szybko odwróciła go znowu.

Jakiś głos rzekł szorstko:

— Do licha!

A drugi, swobodnie zdumiony:

— Patrz no.

Artystka Fröhlich nie słyszała już, co mówił handlarz mebli. Po chwili zostawiła go na miejscu. Poszła dalej w lekkim oszołomieniu. Dopiero naprzeciwko cukiernika Mumma przyszło jej na myśl, że Unrat nic już nie mówi. Uczuła coś jakby nieczyste sumienie

i poczęła mówić niewinnie, czując potrzebę przejednania go po tym, co przed chwilą ujrzeli. I on stał się nagle z podnieceniem serdeczny i zaprosił ją do cukierni. Podczas gdy zamawiał przy bufecie, ona weszła już do bocznego pokoju. Wtem zapukano w szybę. Nie ważyła się spojrzeć w tę stronę; wiedziała i tak, to byli znowu Erztum i Lohmann.

Wieczorem Unrat nie uspokoił się jeszcze. Szybko przemykał się między gośćmi, rzucał uwagi z suchą i dziką ironią, powtarzał: „prawdziwe ze mnie *ścierwo*", i oświadczył:

— Do mnie tutaj... *owszem zaprawdę*... nic więcej nie należy, jak ta poduszka na kanapie i rama tego tam obrazu.

Gdy artystka Fröhlich wbiegła raz do sypialni, poszedł za nią i oznajmił:

— Uczeń Breetpoot w niedalekiej przyszłości osiągnie nareszcie *zaliczenie*.

— Klapa? — zapytała. — Nie może być, Unratku. Znowu jest wypchany brązowymi szmatami[58].

— Niechaj nawet będzie jak mówisz. Na najgłębsze natomiast wniknięcie zasługuje pytanie: skąd pochodzą te szmaty.

— No?

Zbliżył się, z uśmiechem, który wyglądał, jakby drżał pod zasłoną.

— Ja to wiem; przekupiłem jego kasjera. Pochodzą one z pieniędzy Erztuma, które opiekun kradnie.

A widząc, że artystka Fröhlich znieruchomiała ze zdumienia:

— Prawda? Warto żyć? Więc to jest tedy drugi z trzech. Uczeń Kieselack leży zdruzgotany na ziemi. Uczeń von Erztum podobnież padnie z chrzęstem. Pozostanie więc jeszcze tylko ten trzeci.

Nie zniosła jego spojrzenia.

— Ba, o kimże ty mówisz? — zapytała błędnie.

— Trzeci jest jeszcze do złapania. Powinien i musi być złapany.

— Jak to — zapytała i niepewnie podniosła wzrok. Nagle wyzywająco: — Zdaje mi się, że to ten, którego nie możesz strawić, a ja mam na niego nawet nie spojrzeć, gdy przechodzi ulicą. Nawet tego nie możesz strawić.

Unrat pochylił głowę, oddychał z wysiłkiem.

— Wprawdzie nie jestem skłonny... — rzekł głucho. — A jednak ten uczeń musi — musi być złapany. Jest on jeszcze do złapania.

Wzruszyła ramionami.

— Co ty za oczy robisz? W ogóle masz przecież gorączkę. Unratku, powiem ci coś, połóż się do łóżka i wypoć się. Przyślę ci odwaru rumianku. Takie głupie podniecenie, jakie ty nosisz w sobie, kładzie się na żołądek, a wtedy smacznego... Słyszysz, co mówię?... Zdaje mi się naprawdę, że jeszcze będzie nieszczęście.

Unrat nie słuchał. Powiedział:

— Ale nie ty — nie ty masz go złapać!

Powiedział to z rodzajem straszliwego błagania, którego jeszcze nie znała, które ją łaskotało dreszczem, zatrważało nadzieją, jak dzikie pukanie nocą do jej drzwi.

Rozdział siedemnasty

Następnego ranka artystka Fröhlich zastanawiała się długo, co mogłaby mieć do załatwienia w mieście, a gdy jej to przyszło na myśl, wyszła. Zerkała na swoje odbicie w każdym oknie wystawowym; poświęciła na swoją toaletę dwie i pół godziny. W tętnie jej było nieco gorączki oczekiwania. Na początku Siebenbergstrasse, przed księgarnią Redliena przystanęła — nigdy jeszcze nie przystanęła przed księgarnią — schyliła głowę nad wystawą i uczuła w plecach trwożliwe łaskotanie, jakby w następnej chwili ktoś miał ją zaatakować. Wtem odezwano się za jej plecami:

— Szanowna pani? Więc znowu się spotykamy?

Odwracając się, zmusiła się do wdzięcznej powolności ruchów.

— Ach? Pan Lohmann? Jest pan znowu w kraju?

— Nie zasłużę sobie przez to na naganę szanownej pani?

— Skądże by. Ale gdzież pan podział swojego przyjaciela?

[58] *wypchany brązowymi szmatami* — kolor banknotów niemieckich. [przypis tłumacza]

— Czy pani mówi o hrabim Erztumie? Ano, on ma swoje własne drogi... Ale może pójdziemy dalej?

— Tak? A cóż to on zazwyczaj robi?

— Służy jako aspirant oficerski. Chwilowo jest tutaj na urlopie.

— Ach nie, co też pan powiada. Czy jest jeszcze taki miły, jak dawniej?

Że też Lohmann ani na chwilę nie tracił zwykłego spokoju, chociaż wypytywała go ciągle tylko o jego przyjaciela. Miała nawet wrażenie, jakby sobie pokpiwał. I wówczas w Błękitnym Aniele najczęściej miewała w stosunku do Lohmanna to wrażenie, poza tym wobec nikogo. Zrobiło jej się gorąco. Zaproponował jej, aby weszli do cukierni. Odpowiedziała gniewnie:

— Niech pan idzie sam. Ja muszę pójść dalej.

— Zbyt długo stoimy już na tym rogu, szanowna pani, jak na te bystre małomieszczańskie oczy.

Otworzył przed nią drzwi. Westchnęła i weszła z szelestem. W drodze do bocznego pokoju zatrzymał się nieco poza nią i raz jeszcze zdziwił się, jak korzystnie prezentowała się jej długa talia; jak dobrze była uczesana; z jaką elegancją powłóczyła suknią; co się z niej od tego czasu zrobiło. Potem zamówił czekoladę.

— Stała się tu pani tymczasem znaną osobistością?

— Jakoś tam idzie — rzekła; i zmieniając temat: — Ale pan? Co pan właściwie porabiał? Gdzie pan siedział?

Opowiedział chętnie. Przebywał trochę w szkole handlowej w Brukseli, a potem w Anglii jako praktykant u pewnego kupca, z którym ojciec jego utrzymywał przyjazne stosunki.

— Na pewno się pan wspaniale bawił — rzekła artystka Fröhlich.

— Nie. To nie w moim guście — odpowiedział Lohmann sucho, nawet pogardliwie i ze znanym jej aktorskim sfałdowaniem twarzy. Obserwowała go z boku z lękliwym poważaniem. Ubrany był czarno zupełnie i nie zdjął czarnego, okrągłego kapelusza. Twarz jego stała się jeszcze nieco bardziej żółta i szorstka; była gładko ogolona; i zwracała się z na wpół opuszczonymi powiekami, ciemnymi i dziwnie trójkątnymi, gdzieś, gdzie nic się nie działo. Artystka chciała go zmusić, aby na nią spojrzał. Czuła też chętkę przekonania się, czy miał jeszcze czuprynę.

— Dlaczego nie zdejmuje pan kapelusza? — zapytała.

— Szanowna pani ma rację — i usłuchał. Owszem; włosy jego wznosiły się jeszcze zwichrzone w górę i opadały lokami na czoło. Przyjrzał się jej wreszcie pełnym wzrokiem.

— W Błękitnym Aniele nie przywiązywała jeszcze szanowna pani tyle wagi do form. Jak się to człowiek zmienia. Jak się zmieniamy wszyscy. I to w śmiesznym okresie dwóch lat.

Odwrócił znowu wzrok i tak oczywiście myślał o czymś innym, że artystka Fröhlich nie odważyła się nic powiedzieć, chociaż słowa jego ukłuły ją nieco. Ale może nie miał przez to jej na myśli! Tak to brzmiało.

Lohmann miał na myśli panią Dorę Breetpoot, i że odnalazł ją taką inną, taką inną, niż jej obraz, który dusza jego zabrała z sobą. Kochał ją jako wielką damę. Była ona wielką damą miasta. Kiedyś w Szwajcarii zawarła znajomość z pewną księżną angielską, i coś z rytualnego wtajemniczenia pozostało w niej od czasu owej znajomości. Właściwie reprezentowała w mieście księżnę. Że arystokracja angielska była pierwszą w świecie, w to nikt tutaj nie śmiał wątpić. Później w podróży do Niemiec południowych zalecał się do niej pewien rotmistrz z Pragi. Wówczas arystokracja wiedeńska stała się równouprawniona z angielską... Że też Lohmann dał sobie to wszystko wmówić, naiwnie podzielał te poglądy: było to zdumiewające. A przede wszystkim zdumiewające było, że działo się to przed niespełna dwoma laty. Teraz powrócił do miasta — skurczyło się ono, jakby było z gumy. Dom Breetpootów miał jeszcze tylko połowę dawnych rozmiarów — a w domu tym siedziała mała dama prowincjonalna. Niewiele więcej jak dama prowincjonalna. Oczywista, ciągle jeszcze miała kameową[59] głowę Kreolki; ale w ustach kamei gwarowe

[59] *kamea* — mała owalna płaskorzeźba przedstawiająca najczęściej twarz z profilu, ozdoba broszek i innej biżuterii. [przypis edytorski]

wyrażenia! Moda zeszłoroczna i niezupełnie właściwie zrozumiana. Gorzej jeszcze, odstępstwa indywidualno-artystyczne, które się nie udawały. I powitanie przybywającego z daleka, jakby jej przywoził pozdrowienia; i irytujące uroszczenie, jakoby się nie przynależało tutaj. Ba, że go to wcześniej nie irytowało! Co prawda wówczas niemal nie słyszał od niej słowa, niemal nie był dostrzegany. Teraz był panem, kokietowało się go, usiłowało się go przyciągnąć do „kółka" wokół własnej małej osoby... Gorycz wypełniała go po samo gardło. Pomyślał o starej fuzji, która wówczas była przygotowana, poważnie przygotowana na wypadek, gdyby został odkryty. Dzisiaj jeszcze odczuwał melancholijną dumę z namiętności chłopięcej, która trwała aż do progu jego lat dojrzałych, poprzez wstyd, śmieszność, nawet nieco odrazy, ciągle jeszcze trwała. Mimo Knusta, podporucznika von Gierschke i innych. Mimo licznego potomstwa ukochanej kobiety. Jak w nocy po jej ostatnim rozwiązaniu całował bramę jej domu! To było jeszcze coś, tym można się było karmić. Zrozumiał, że był wówczas o tyle lepszy, o tyle bogatszy. (Jak mógł się sobie wówczas wydawać znużony. *Teraz* nim był). Najlepsze, co miał w swoim życiu do darowania, otrzymała nieświadomie ta kobieta. Teraz, gdy był pusty, zabiegała o niego... Lohmann lubił wszelkie rzeczy jedynie ze względu na ich echo, miłość kobiet tylko dla następującej później gorzkiej samotności, szczęście co najwyżej tylko gwoli dławiącej tęsknoty, jaką pozostawiało w gardle. Ta mała, trzeźwo obecna snobka była dlań nieznośna, gdyż zniekształcała mu rzewność tego, co niegdyś odczuwał. Brał jej za złe wszystko, także ślady rozkładu, jakie ukazywały się w jej salonie — co prawda jeszcze nie na jej osobie. Wiedział o złym stanie materialnym Breetpootów. Jakiż nadmiar czułości przyniosłoby jej to od niego wówczas. Teraz widział tylko, jak szerzący się wokół niej niedostatek udaremniał jej wysiłki zachowania wdzięku, i zawczasu wstydził się za nią owej nieco niegodnej sztywności, z jaką będzie znosiła ubóstwo i wypierała się go. Gdy patrzał na nią, był obrażony; obrażony i upokorzony, gdy sobie uświadamiał, jak on sam zachowywał się teraz w duchu. Co też życie robiło z człowieka. Podupadł. Ona podupadła. Gdy odchodził, z trwożliwą dokładnością wyczuwał usuwające się w przeszłość lata, czuł, że zamykały się tutaj drzwi za miłością, która znaczyła tak wiele, jak cała młodość.

Wszystko to stało się rankiem po jego przybyciu. Zaraz potem spotkał się z Erztumem, a potem obaj na Siebenbergstrasse z Unratami. W tej ciasnocie nie mogło się to długo odwlekać. Chociaż Lohmann był dopiero tak krótko w mieście, słyszał już o nich; zaś czyny starego Unrata żywo przemówiły do jego zamiłowania do osobliwości ludzkich. Stwierdził, że Unrat spełnił wszystko, co się w nim przed dwoma laty zapowiadało; raczej więcej niż mniej. Ale jeszcze wspanialszym niemal wydawał mu się rozwój artystki Fröhlich. Z szansonetki Błękitnego Anioła na damę z półświatka w wielkim stylu! Gdyż ostatecznie od pierwszego wejrzenia była tym. Przy bliższym przypatrzeniu się przeświecało później małomieszczaństwo. W każdym razie było to wszystko, czego można było tutaj dokonać. I te liczne zdejmowane kapelusze na drodze małżonków! I ta pokorna pożądliwość, gdziekolwiek artystka Fröhlich powiała swymi perfumami! Pomiędzy nią a jej publicznością, miastem, istniał widocznie stan wzajemnego oszukiwania się. Artystka Fröhlich zachowywała się jak reprezentatywna piękność, z wolna poczęła być traktowana jako taka i wreszcie sama uwierzyła w to ludziom. Podobnież musiało się chyba niegdyś stać z Dorą Breetpoot i jej pretensjami do wielkoświatowego szyku? Lohmann widział podniecającą ironię w tym, że zajmował się teraz artystką Fröhlich. Pamiętał przecież jeszcze czasy, gdy pisywał wiersze do obu, gdy w mściwości swego cierpienia chciał zbrukać Dorę Breetpoot przez to, że z jej obrazem w sercu zamierzał nadać pieszczotom innej posmak ponurego występku. Występku? Teraz, gdy nie odczuwał już miłości, nie rozumiał też występku. Żadna gorycz jego serca przeciwko pani Breetpoot nie wychodziła na korzyść pani Unrat. Nie doznałby najmniejszego wzruszenia, gdyby przechodził z nią obok domu Breetpootów. Po prostu prowadził elegancką kokotę przez wyzbyte boskości miasto.

Erztuma wolał nie zabierać, Erztum, gdy tylko zobaczył tę poczciwą dziewczynę, natychmiast począł nieprzytomnie pobrząkiwać szablą, a głos jego stał się szorstki. Erztum był zdolny zaraz wyruszyć znowu z ciężkimi uczuciami. Dla Erztuma wszystko było zawsze teraźniejszością — gdy natomiast Lohmann w pustej przed południem cukierni, u boku artystki Fröhlich, nie popijał ze swojej nieopróżniającej się nigdy szklanki niczego innego, jak mglisty posmak dawnych nastrojów.

— Czy nalać pani trochę koniaku do czekolady? — zapytał. — To bardzo smaczne.

Potem:

— Ale czegóż się o szanownej pani nie słyszy!

— Jak to? — zapytała czujnie.

— Ano, pani i nasz stary Unrat postawiliście podobno całe miasto na głowie i zgotowaliście wiele złego.

— Ach, to pan ma na myśli. No tak, robi się, co się może. Ludzie bawią się u nas — chociaż nie chcę się sama chwalić jako gospodyni.

— Mówią o tym. Z właściwych pobudek Unrata nikt sobie dobrze sprawy nie zdaje. Ludzie są zdania, że gra jest dla niego środkiem utrzymania. Ja sądzę inaczej. My dwoje, szanowna pani, znamy go przecież lepiej.

Artystka Fröhlich była stropiona i milczała.

Władza, Nienawiść

— On jest tyranem, który woli zginąć, niż ścierpieć jakieś ograniczenie. Szydercze przezwisko — a dociera ono jeszcze w nocy przez purpurowe zasłony jego łóżka aż w jego sen — pokrywa jego skórę sinymi plamami, a żeby się z nich uleczyć, potrzeba mu krwawej kąpieli. Jest on wynalazcą obrazy majestatu: wynalazłby ją, gdyby jeszcze nie istniała. Żaden człowiek nie zdoła oddać mu się z tak obłędnym samozaparciem, aby nie nienawidził go jeszcze jako buntownika. Nienawiść do ludzi staje się dlań trawiącą męką. Że płuca dokoła wdychają i wydychają powietrze, a on nie reguluje tych oddechów, to go napełnia żądzą zemsty, napina jego nerwy aż do pęknięcia. Potrzeba jeszcze tylko jakiejś podniety, jakiegoś przypadkowego oporu okoliczności — jakiegoś uszkodzonego Grobowca Olbrzymów i wszystkiego, co się z tym łączy; potrzeba jeszcze tylko jakiegoś przeczulenia jego skłonności i popędów, na przykład przez kobietę — a tyran, ogarnięty paniką, zwołuje motłoch do pałacu, prowadzi go na mord i pożogę, obwieszcza anarchię!

Artystka Fröhlich siedziała z otwartymi ustami; co zadowoliło Lohmanna. Z damami takimi rozmawiał zawsze w ten sposób, że nie miały innego wyjścia, jak otwierać usta. Zresztą uśmiechał się powątpiewająco. Sądził przecież tylko, że ukazuje abstrakcyjną możliwość. Aby miał opowiadać historię starego, śmiesznego Unrata, tego nie sądził jednak. Na to widział go jeszcze nazbyt z perspektywy spod katedry; za trudno było mu wyobrażać sobie jako rzeczywistość potworności o tym, kto mu dyktował głupie brednie o Dziewicy Orleańskiej.

— Żywię największą sympatię dla pani małżonka — dodał Lohmann z uśmiechem, dopełniając przez to miary zmieszania artystki Fröhlich.

— Domostwo państwa istotnie wszędzie jest wychwalane — rzekł potem.

— No tak, jesteśmy właściwie bosko urządzeni. I w ogóle zresztą...

Ambicja ożywiła ją.

— Dla naszych gości niczego nam nie jest za wiele. Ludzie stają u nas czasem na głowie; będzie się pan śmiał. Ach, gdyby *pan* przyszedł, na *pańską* cześć zaśpiewałabym w ogóle o żonie kapitana. Nigdy tego nie robię, bo to przecież jednak trochę zanadto nieprzyzwoite.

— Szanownej pani niepodobna się oprzeć.

— Znowu pan pewnie kpi?

— Przecenia mnie pani. Odeszły mnie kpinki, gdy panią znowu ujrzałem. Szanowna pani powinna by chyba wiedzieć, że jest pani jedynym, co tutaj wchodzi w rachubę.

— No i? — zapytała zadowolona, ale bez zdziwienia.

— Już sam strój pani. Rezedowa suknia jest oczywiście absolutnie na wysokości zadania. Czarny kapelusz wybrała pani do niej zupełnie słusznie. Jeżeli wolno mi zrobić jedną uwagę: narzutki z *point-lace*[60] już się w tym roku nie nosi.

— Ach, nie?

Przysunęła się bliżej.

— Czy pan to wie na pewno? W takim razie ten łajdak nabrał mnie. Całe szczęście, że za nią nie zapłaciłam.

Zaczerwieniła się; i szybko:

— Oczywiście zapłacę za nią. Ale nosić — nie. Dzisiaj ostatni raz, może pan na mnie polegać.

[60]*point-lace* (fr.) — rodzaj koronki. [przypis edytorski]

Była szczęśliwa, że mogła mu przyznać rację, poddać mu się. Jego świetna orientacja co do Unrata zwiększyła jej poważanie dla Lohmanna bezgranicznie. A oto znał się i na modzie. Mówił znowu tak elegancko:

— Czymże szanowna pani musiała się stać dla tych małomieszczan! Władczynią mienia i krwi, czczoną niszczycielką. Jakąś Semiramidą[61]. Wszyscy, ogarnięci szałem, nieproszeni rzucili się w przepaść, prawda?

A że najwidoczniej nie nadążała za nim:

— Myślę, że mężczyźni nie dają się długo prosić, a pani ma z nich więcej, niż pani potrzeba, ze wszystkich bez wyjątku, jeżeli się nie mylę, szanowna pani.

— No, ale teraz to pan bardzo przesadza. Że mam tu szczęście i jestem dość dużo kochana, no tak.

Wypiła pierw; to musiał wiedzieć.

— Ale jak pan sobie wyobraża, że ja tu mam postępować — nie... Niech pan nie sądzi — i spojrzała mu w oczy — że każdemu wiedzie się tak dobrze, aby mógł siedzieć ze mną sam przy czekoladzie i ciastkach.

Kobieta demoniczna, Obyczaje, Mieszczanin

— Tylko mnie to wolno? W takim razie pewnie teraz moja kolej?

Przechylił głowę i zmarszczył się. Artystka Fröhlich, zmieszana, mogła tylko patrzeć na jego opuszczone powieki.

— Ale — ciągnął Lohmann — jeśli sobie dobrze przypominam, miałem być u pani ostatni? Czy swego czasu nie obiecywała mi szanowna pani tego wiele razy? A zatem... — i bezwstydnie otworzył oczy — ...wszyscy inni są już załatwieni?

Nie była obrażona, tylko udręczona.

— Ach, bzdury, ma pan zupełnie fałszywe pojęcia, ludzie plotkują. Na przykład z Breetpootem. Powiadają, że go Bóg wie jak wyżyłowałam. A teraz mówią nawet, że także Erztumowi jego pieniądze... ach, Boże.

Za późno spostrzegła, co powiedziała, i przerażona spojrzała na swoją filiżankę.

— To niewątpliwie najgorsze — rzekł Lohmann twardo i ponuro. Odwrócił się na wpół i zapanowało milczenie.

Artystka Fröhlich odważyła się wreszcie wtrącić lękliwie:

— To przecież nie ja sama. Gdyby pan wiedział, jak on żebrał. Jak dziecko, powiadam panu. Stara dziura w zębie. Ten cały człowiek jest przecież jedną dziurą w zębie. Nie uwierzy pan, ale chciał ze mną uciekać. On, ze swoją cukrzycą, dziękuję.

Lohmann ubolewał już, że miał skrupuły moralne przy tak zajmującej komedii. Rzekł więc:

— Przyjęciom pani chciałbym się rzeczywiście przyjrzeć.

— Więc jest pan zaproszony! — rzekła artystka Fröhlich szybko i radośnie. — Niech pan przyjdzie, liczę na pana z pewnością. Tak, ale teraz muszę już iść, niech pan siedzi dalej. Ach Boże, nie!

Obracała się żałośnie na wszystkie strony, załamywała ręce.

— To przecież niemożliwe, gdyż Unrat powiedział, że jesteśmy teraz w komplecie i nie chce nowych gości. Ostatnim razem zrobił mi już awanturę. Więc rozumie pan...

— W zupełności, szanowna pani.

— E, co tam, niech pan tylko zaraz nie udaje obrażonego, za to może mnie pan przecież odwiedzić, gdy nikogo nie ma. Na przykład dzisiaj o piątej po południu. No, ale teraz idę.

I ze wszelkimi oznakami największego pośpiechu wysunęła się przez portierę.

Lohmann nie wiedział w ogóle, jak się to stało, że nagle nabrał ochoty. Domyślał się przy tym przyciągania, jakie wywiera zepsucie. Właśnie dlatego, że Erztum przez tę przecież małą Cypris[62] z dobrodusznym cynizmem jej tonu ludowego popadł w swoją zgubę. A Erztum ciągle jeszcze kochał ją. Erztum mógł przynajmniej za swoje pieniądze stać się szczęśliwy. Lohmann szedł tam zupełnie trzeźwy, bez iskry. Szedł zamiast swego przyjaciela, który zasłużył sobie na nią przez długie cierpienie. Jak niemożliwym byłoby to przed dwoma laty. Przypominał sobie, że czuł wówczas dla Unrata — staruszek, sam

[61] *Władczynią mienia i krwi, czczoną niszczycielką. Jakąś Semiramidą* — według Diodora z Sycylii legendarna władczyni babilońska z IX w p.n.e. Semiramida słynęła z przemyślności i waleczności, układała plany bitew i osobiście prowadziła wojska swojego męża w zwycięskich podbojach. [przypis edytorski]

[62] *Cypris* — Afrodyte. [przypis tłumacza]

już zgubiony, chciał jeszcze jego wypędzić ze szkoły — litość, szczerą, wcale nie złośliwą litość. Teraz zaś szedł do jego żony. Co też życie robi z człowieka, pomyślał Lohmann jeszcze raz, melancholijnie i dumnie.

Z głębi mieszkania doszło go głośne wymyślanie. Pokojówka zmieszana otworzyła mu drzwi do salonu. Lohmann ujrzał naprzeciwko artystki Fröhlich, która była bardzo podniecona, spoconego człowieka z arkuszem papieru w ręku.

— Czego pan chce? — zapytał mężczyzny. — Ach tak. Ile tam? Pięćdziesiąt marek! I o to tyle krzyku.

— Hm, panie — odparł wierzyciel — byłem tu już z pięćdziesiąt razy chyba, za każdą markę raz.

Lohmann zapłacił i odprawił go.

— Niechaj szanowna pani nie weźmie mi za złe mego wmieszania — rzekł, niezupełnie już swobodny. Znalazł się w fałszywym położeniu; co otrzymałby teraz, byłoby odpłatą za jego pieniądze. Przynajmniej nie można się było ograniczyć do pięćdziesięciu marek, przeciwko temu opierała się próżność Lohmanna.

— Ponieważ już zacząłem być zuchwały... szanowna pani, opowiadano mi, nie wiem, czy słusznie, że jest pani uwikłana w przykre kłopoty pieniężne.

Artystka Fröhlich zacisnęła kurczowo palce i rozplotła je znowu. Bezradnie obracała głowę na wszystkie strony na sztywnym kołnierzu swego teagown[63]. Tysiączne udręki jej dni, smaganych przez dostawców, kochanków i lichwiarzy, przemknęły jej wszystkie naraz przez myśl — a tam, w podawanym jej portfelu, była gruba paczka brązowych banknotów.

— Ile? — zapytał Lohmann spokojnie; i w każdym razie ostrożnie: — Posunę się jak tylko daleko będę mógł. Pieniądz

Przezwyciężyła się. Nie chciała być kupiona, właśnie przez Lohmanna nie.

— Nie, to w ogóle nieprawda — rzekła. — Nie potrzeba mi nic.

— Tym lepiej. W przeciwnym razie uważałbym sobie za zaszczyt, szanowna pani...

Pomyślał przelotnie o Dorze Breetpoot, i że i ona jest teraz w potrzebie, kto wie, może nawet byłaby do zdobycia za pieniądze?... Aby artystce Fröhlich pozostawić ciągle jeszcze możność wyboru, położył otwarty portfel na stole.

— Usiądźmy nareszcie — rzekła pani domu i wesoło zmieniając temat:

— Ale pan ma grubo wypchany portfelik!

Ponieważ trwał w chłodnym milczeniu:

— Ciekawam tylko, jak się pan tej całej forsy pozbędzie. Nie nosi pan przecież nawet pierścionków.

— To też nigdy się jej nie pozbędę.

I wyjaśnił, nie dbając, czy go rozumie:

— Nie płacę kobietom, gdyż nie chciałbym się sam upokarzać. Zresztą to zbyteczne. Kobieta, Sztuka
Dzieje się z nimi zupełnie jak z dziełami sztuki, za które bym przecież Bóg wie ile oddał. Ale czyż można je właściwie posiadać? Widzi się takie dzieło w sklepie, zabiera się z sobą marzenie. Potem zawraca się i kupuje? Co się kupuje? Tęsknota nie potrzebuje pieniędzy, spełnienie nie jest ich warte.

I nadąsany odwrócił się od swego portfela. Zarazem przełożył to na popularny język:

— Chcę powiedzieć, że już następnego dnia mam tego dość.

Artystka Fröhlich, przejęta czcią a zarazem odrobinkę drwiąca w obliczu swego bożka, zauważyła:

— Więc nie kupuje pan pewnie nic prócz jedzenia i picia?

— Czy może mi pani doradzić coś innego? — I nagle spojrzał jej ze zmarszczonym czołem tak bezwstydnie w oczy, jakby pytał:

„Czy mam panią kupić, panią?"

Wzruszając ramionami, jako odpowiedź na niewypowiedzianą myśl:

— Miłość cielesna jest ostatecznie wstrętna.

Artystka Fröhlich była zupełnie stropiona. Potem odważyła się lękliwie uznać to za komiczne i rzekła:

[63] *teagown* a. *tea-gown* (ang.) — modna w końcu XIX w. długa suknia o kroju luźno inspirowanym japońskim kimonem, używana podczas herbatek, tj. domowych spotkań towarzyskich. Warto obejrzeć fotografię tego stroju, który uchodził za lekki i nieformalny, a zakrywał ciało od szyi po kostki i przeguby, aby uświadomić sobie obyczajowość epoki. [przypis edytorski]

— Ach nie.

— Trzeba się wznieść — rzekł Lohmann — stać się czystym i dostojnym. Jechać na koniu, jak Parsifal. Prawdopodobnie będę służył w kawalerii, a równocześnie przechodził wyższą szkołę jazdy. Pomijając jeźdźców cyrkowych, nie ma w całych Niemczech stu osób, które potrafią jeździć wyższą szkołą.

Teraz śmiała się zupełnie otwarcie.

— No to przecież sam się pan stanie Frycem cyrkowym. Czymś w rodzaju mojego dalekiego kolegi. To mi się podoba.

Z westchnieniem:

— Pamięta pan jeszcze, Błękitny Anioł? To przecież było najlepsze.

Lohmann stropił się.

— Może być — oparł z namysłem — że to było najlepsze. Cała ta epoka.

— W tym czasie można się było jeszcze śmiać, nie trzeba się było włóczyć z tą całą bandą. Kiedy pomyślę, jak my dwoje tańczyliśmy, a potem przyszedł Unrat i pan musiał zmykać przez czerwone okno... Czy pan wie, że on jest jeszcze ciągle bardzo zawzięty na pana... — roześmiała się podniecona — ...i chciałby pana posiekać na kiełbasę?

Erotyzm, Zazdrość, Kochanek, Pokusa

Jednym uchem nadsłuchiwała ciągle ku drzwiom; a przy tym spoglądała na Lohmanna z wyrzutem, gdyż wszystko pozostawiał jej. No, to załatwi sprawę sama. Wbiła sobie Lohmanna w głowę: przede wszystkim dlatego, że wszyscy byli jej dozwoleni, tylko ten jeden nie. Tego przecież niepodobna było wytrzymać. Dalej, że odrobina przekornej żądzy pozostała jeszcze z owych prostszych czasów, o których wspominała teraz z westchnieniem, pozostała dzięki nieufności Unrata i jego ohydnej nienawiści, a teraz przez zwiększoną wyższość Lohmanna i jego osobliwą dystynkcję podrażniona została aż do zawrotu głowy. Wreszcie: że było to niebezpieczne. Że atmosfera dokoła niej naładowana była katastrofami, a sprowadzenie ich wybuchu przejmowało artystkę Fröhlich łaskotaniem.

— I jak pan wtedy uczuciowo pisał wiersze! — rzekła. — Pewnie pan już tego wcale nie robi. Pamięta pan jeszcze swoją pieśń o okrągłym księżycu, którą kiedyś śpiewałam, a ludzie tak się diabelnie śmiali?

Przechyliła się marzycielsko przez boczną poręcz fotelu, przyłożyła palce prawej ręki do piersi i zanuciła, wysoko i słabo:

— „Księżyc okrohągły jest i gwiazdy blado świecą..."

Zaśpiewała całą strofę i pomyślała sobie, że to jest jedyna piosenka na świecie, której jej śpiewać nie wolno; i nieustannie miała przy tym twarz Unrata przed oczyma. Okropna była ta twarz: ale była nieco uszminkowana, zaś pudełeczko z napisem „bellet" i lusterkiem trzymał Unrat w dłoni.

— „Ma dusza łka, a księżyc śmieje się — szyderca".

Lohmann, niemile dotknięty, usiłował jej przerwać. Ale ona zaczęła niepowstrzymanie drugą strofkę:

— „Księżyc okrohągły jest..."

Wtem trząsnęły szarpnięte drzwi i Unrat jednym skokiem kocim znalazł się w pokoju. Artystka Fröhlich pisnęła głośno i uciekła do kąta, za krzesło Lohmanna. Unrat dyszał bez słowa; i ujrzała go zupełnie takim, jakim wyobrażała go sobie podczas śpiewania. Miał znowu ohydne oczy wczorajsze. Dlaczego nie chciał rumianku, myślała w swojej trwodze.

Unrat myślał; teraz koniec. Całe jego dzieło, całe jego karzące dzieło zniszczenia jest daremne, gdyż na koniec uczeń Lohmann siedzi jednak u artystki Fröhlich. Postawił ją w obliczu całej ludzkości, pracował nad tym, aby wszystko wydarte innym stało się jej własnością — a tymczasem ona uczyniła jego najprzeraźliwsze wizje rzeczywistością, jego wizje o niej i o Lohmannie, w którego rysach skupiło się wszystko, co najgorsze, najbardziej godne nienawiści. Cóż jeszcze pozostawało? Koniec z artystką Fröhlich, więc i z Unratem. Musiał skazać ją na śmierć, a wraz z nią i siebie.

Nie mówił nic — i nagle siedział jej na gardle. Gulgotał przy tym, jakby on sam był duszony. Przestał na sekundę i sam zaczerpnął oddechu. Wykorzystała tę sekundę, aby krzyknąć:

— Dla niego miłość cielesna jest wstrętna, przecież to powiedział.

Unrat chwycił ją na nowo. Ale wtem szarpnięto silnie obydwa jego ramiona.

Lohmann uczynił to tylko na próbę. Nie wiedział, czy istotnie przypada mu tu jakaś rola; miał wrażenie, jakby śnił. Czegoś podobnego właściwie przecież nie bywało. W jego mądrym wyobrażeniu dziwaczny rozwój Unrata postępował gładko i poniekąd w ukryciu, jak w książce. Coś tak namacalnego nie zdarzało się w nim. Lohmann stworzył sobie na temat swego starego profesora interesującą teorię; ale przed oczyma nie miał niemal duszy Unrata — nie miał niemal jej przepastnych lotów, jej straszliwego spalania się, jej skazania na obcowanie wyłącznie z sobą samą. Ów pogląd na rzeczy, którego Lohmannowi brakowało, przyszedł teraz nagle, a Lohmann czuł lęk — lęk przed rzeczywistością.

Unrat odwrócił się do niego. Tymczasem artystka Fröhlich wyrwała się, uciekła z piskiem do drugiego pokoju i zamknęła się hałaśliwie. Przez chwilę wyglądał Unrat jak ogłuszony; potem skupił się i począł okrążać Lohmanna skradającymi się skokami. Lohmann, dla nadania sobie postawy, powrócił do stołu, ujął swój portfel i gładził go. Mętnie zastanawiał się nad tym, co można by powiedzieć. Jak ta istota wyglądała! Coś pośredniego między pająkiem a kotem, z obłąkanymi oczyma, po których spływały kolorowe krople potu, i z pianą na szczękających ustach. Nie było to położenie miłe, mieć tę istotę dokoła siebie z zagiętymi mackami. Co ona syczała?

Unrat syczał niezrozumiale:

— Nędzniku — — ważysz się — — Złapać — — nareszcie złapać — — Dawać, oddać wszystko!

I wyrwał Lohmannowi portfel, wybiegając z nim z pokoju.

Lohmann stał jeszcze pełen wielkiego przerażenia: gdyż popełniano tu przestępstwa. Unrat, interesujący anarchista, popełniał niewątpliwe przestępstwa. I oto anarchista stał się osobliwością moralną i łatwo zrozumiałym przypadkiem krańcowym; przestępstwo — spotęgowaniem powszechnych skłonności i afektów ludzkich, niemającym w sobie nic osobliwego. Ale Unrat w obecności Lohmanna usiłował udusić swoją żonę, w stosunku zaś do samego Lohmanna popełnił rabunek. Wobec tego komentator stropił się, życzliwy uśmiech odmówił widzowi posłuszeństwa. Duch Lohmanna, który nigdy jeszcze nie został wypróbowany przez tak niewiarygodne przeżycia, odrzucił wszelką indywidualność i na „przestępstwo" odpowiedział po mieszczańsku „policją". Zachował wprawdzie świadomość, że nie jest to szczególnie rzadki przypadek, ale powiedział sobie: „tu już wszystko ustaje!" i sztywno przekroczył ten skrupuł. Tak, krok Lohmanna stał się sztywny, gdy udał się do drzwi sąsiedniego pokoju, aby nimi potrząsnąć. Usłyszał wyraźnie, jak artystka Fröhlich zamknęła się; ale obowiązkiem jego było przekonać się w zupełności, że po odejściu jego nie może się ona dostać w ręce swego morderczego małżonka... Po czym Lohmann opuścił dom.

Minęła godzinka; potem gromada ludzi, przybierająca jeszcze ciągle, nadpłynęła zza rogu. Miasto triumfowało, gdy aresztowanie Unrata zostało postanowione. Nareszcie! Zdjęto z miasta jarzmo jego własnego występku, gdyż usunięto sposobność do niego. Powracając do przytomności, rzucano spojrzenia na trupy dokoła i odkrywano, że to już najwyższy czas. Dlaczego właściwie czekano tak długo?

Obyczaje, Przestępca, Mieszczanin

Wóz z piwem, naładowany wysoko beczułkami, zamknął już pół ulicy; musiała jeszcze przejechać dorożka; a w niej nadjeżdżali urzędnicy. Sprzedawczyni owoców z rogu ulicy nadbiegła za nimi; pan Dröge, sklepikarz, ciągnął swój szlauch.

Przed domem Unrata ciżba wydawała okrzyki. Wreszcie ukazał się, pomiędzy urzędnikami. Artystka Fröhlich, potargana, wymiętoszona, cała w łzach, drgającej rozpaczy, skrusze i niesłychanym posłuszeństwie, czepiała się go, zawisała na nim, roztapiała się w nim. Została współaresztowana, czego Lohmann nie przewidział. Unrat podniósł ją do zamkniętej karetki, która tonęła w zupełnym mroku za firankami; i z roztargnieniem rozglądał się dokoła wśród wycia. Ktoś w fartuchu skórzanym, woźnica piwiarni, wyciągnął bladą głowę hultajską i zawołał sepleniącym głosem:

— Fura *śmieci*![64]

Unrat odwrócił się, za tym słowem, które nie było już wieńcem zwycięskim, ale znowu padającym za nim kawałkiem błota — i poznał Kieselacka. Potrząsnął pięścią, sapał wyciągnąwszy szyję; ale strumień ze szlaucha pana Dröge trysnął mu prosto w usta. Po-

[64] *śmieci* — (niem.) *Unrat*. [przypis tłumacza]

czął parskać wodą, pchnięto go z tyłu, namacał stopień karetki i głową na dół padł na siedzenie obok artystki Fröhlich i w mrok.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mann-blekitny-aniol-profesor-unrat/

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Mann, Błękitny Anioł (Profesor Unrat). Powieść. Z upoważnienia autora przełożył Marceli Tarnowski, Instytut Wydawniczy „Renaissance", Warszawa; Poznań; Kraków; Lwów; Stanisławów, 1930.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Jacek Barański.

ISBN 978-83-288-8388-8

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.